



17/1/2

1

1

1

CZCICIEL POTĘGI.

POWIEŚĆ

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

A. P.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

—
1891.

Дозволено Цензурою,
Варшава 14 Января 1891 года.



225917

Grecye

SARDES

I.

Pośród jednej z najżyźniejszych i najpiękniejszych równin świata, w pobliżu kwitnącego miasta Sardes, lecz pasmem wzgórz kasztanowemi lasami porośłych z niem rozdzielone, nad błękitnym i złoty piasek toczącym Paktolem, stało domostwo słynnego z rozumu i bogactw, lidyjczyka Pytyona. Nietylko z bogactw był on słynnym, ale także i z rozumu, przez który właśnie stał się najmożniejszym obywatelem Lydyi, tej krainy, wydającej z łona swego, lub w niem zawierającej najcenniejsze płody natury: winograd, pszenicę, oliwę i złoto. Sława Pytyona rozchodziła się daleko i szeroko: bo od ruchliwych, przemysłnych, gęsto nad morzem Egejskiem osiadłych handlarzy jońskich, do mieszkańców starego Egiptu i dalszych jeszcze upalnych płaszczyzn Libii, od wielkiego portu Abydos, przez który Persya, jak przez otwarte okno, spoglądała na Grecyę, do samej Suzy, starej i wielkiej stolicy olbrzymiego Per-

skiego państwa. Na widok prowadzonych przez Pytyona a towarami obładowanych wielbłądów, kupcy jońscy niespokojnie i pilnie skupiali wszystką swoją uwagę i biegłość, bo wiedzieli dobrze, iż najprzenikliwszy z nich i najzręczniejszy, w zręczności i przenikliwości Pytyonowi sprostać nie potrafi; że płynnej jego wymowie, gibkim ruchom rąk towary ukazujących, obfitym a wprost do przekonania trafiającym przedstawieniom i namowom, najbardziej nawet ostrożny i doświadczony umysł, nie zawsze oprzeć się zdoła. Przywoził on im indyjskie kadzidla i perły, z różnych wysp zdobywane jedwabie, jak obłok powiewny, z lnów cienkich tkany „bissus“, niezrównane w piękności swej hafty frygijskie, kobierce, których barwy i wzory stanowiły tajemnicę i wyłączną własność, od niedawna politycznie unicestwionej Babilonii. Przywoził on im jeszcze wory złotego piasku, wyłowionego w nurtach Paktolu i rzecz najrzadszą, najpożądańszą, najdroższą — ogromne kły słoniów, po które wysłańcy jego udawali się aż do ostatnich, znanych pustyń Libii, do silnych, długo żyjących, niepodległych i niepodległości swej dumnie broniących etiopów. Nie z tej przecież tylko zamiany drogocennych

przedmiotów na niezmiernie ilości drachm i staterów, powstały bogactwa Pytyona i nie przez nią tylko one wzrastały. W pobliżu Sardes, nad brzegami Paktolu, posiadał on pola rozległe i niezliczone trzody a w ciemnem wnętrzu niebotycznego Tmolusu, kopalnię złota, którą tysiąc niewolników, napęłniało nieustannie stukami motyk i młotów. Wszystkim zaś było wiadomo, że żadne pola tak dobrze uprawionemi, żadne trzody tak płodnemi i żadne niewolnicze gromady z takim ładem i taką zarazem srogością rządzonemi nie były, jak się to działo w dobrach Pytyonowych. Niegdyś, zdawać się mogło, że posiada on sztukę czarodziejską znajdowania się jednocześnie na miejscach wielu, przeglądania rzeczy oddalonych, odgadywania nieznanych, mieszczenia i rozwiązywania w jednym swoim umyśle mnóstwa naraz zadań i trudności. Odkąd przecież synowie mu podorastali, uczynił z nich sobie pomocników, mniej pewno biegłych od niego, jednak gorliwych i czynnych. Miał pięciu synów; czterej starsi budzili już uszanowanie w handlarzach, uniżoną uprzejmość we współobywatelach, a strach w niewolnikach. Na jednego tylko, najmłodszego, kupcy zarówno jak współobywa-

tele i niewolnicy spoglądali wcale inaczej niż na tamtych i zdawali się myśleć o nim różne dziwne rzeczy... Jednak nie dlatego tylko Pytyona rozumnym zwano, że jak nikt inny bogactwa zgromadzać umiał, lecz i dlatego jeszcze, co o bogactwie mniemał on i mówił. Gdy pośród jednego z wielkich rynków miejskich, w Sardes, Celanei lub Abydos, na grzbiecie swego starego, ulubionego, szeroko znanego wielbłąda Mosza siedząc, do otaczających go tłumów, o znaczeniu, pożytkach i potędze bogactwa przemawiał, ludzie rodów różnych i przybysze ze stron wszelakich, słuchali go z zachwyceniem i zadowoleniem takim, że aż z ruchliwych ramion greków jońskich zsuwały się fałdy chitonów i chlamid, czerwone czapki drżały na głowach frygijczyków, nad czołami medów, baktryan i asyryjczyków wykrzywiały się ciężkie, barwiste tyary a lidyjczycy, uradowani i dumni, na cześć mądrego współobywatela swego wydawali głośnie okrzyki. Nie były to przecież mowy uczone, wspaniałe, ale raczej do broduszne i wesołe, niemniej coś wyższego nad powszedniość, bo przez umysł mówcy wykształtowaną a w serce głęboko mu wrosłą zasadę głoszące. Ten starzec siwobrody, rumiany, nie-

wysoki, krzepki, o siwych źrenicach, ogniście błyszczących pod pomarszczonem czołem i wznoszącą się nad niem tyrań z oplecionej perłami purpury, małą, giętką, pomarszczoną ręką odrzucał na plecy szerokie rękawy swego indyjskimi wzorami mieniaćego się kaftana i raźnie, donośnie, jak zwykły sobie człek z pospólstwa, głosu nie miarkując, wołał:

— Na Cybełę silną i płodną, przysięgam! Niech mi ktokolwiek z was pokaże chrząszcza, którego by jednym postawieniem kopyta nie rozmiądzzył bawół, makolągwę, której by jednym uderzeniem dzioba nie zamordował jastrząb, zwiędły liść, którego by nie uniósł na błędne wędrówki wiatr, kroplę wody, której by w stronę swojego, nie jej płynięcia, nie porwała fala, — niech mi kto z was, którzy przecież znaczną gromadą na mowę moją teraz rozdziawia cie gęby, pokaże jakąś rzecz podobną a wnet wszystko co posiadam wiernie na cztery części rozdzielię i trzy z nich ukazicielowi oddam a jedną tylko dla siebie i pięciu synów swoich zostawię!

Rzecz prosta, iż wezwaniu temu nikt zadość uczynić nie mógł; mówca zaś, drugi rękaw swego kaftana ku plecom odrzucając, prawił dalej:

— Siłą, albo słabością bogowie obdarzyli wszystko, co pod sklepieniem niebem, na płaskiej ziemi żyje. Płaską jest ziemia i tylko to co silne tworzy jej wypukłości, lub wysokie szczyty. Gdyby Tmolus żył i mową władał, powiedziałby nam z pewnością, jak mu jest błogo na niziny z wysoka spoglądać. Pośród śmiertelnych, silni, to szczyty, a słabi — niziny, lub też i bagna. Niech mi kto powie, że woli bagnem być, aniżeli górą! Kiedy zaś siła, najwyższego stopnia swego dosięże, wtedy zwie się potęgą i tę Pytyon lidyjczyk czci, bo ona jest mądrością i pięknnością świata. A bogactwo—to mocny słup, na którym stoi potęga, jej lemiesz i miecz, dlatego też Pytyon lidyjczyk bogactwo czci. Bogacz, jak orzeł, buja w szerokich przestworzach, w słonecznym blasku skrzydła kąpie i nad rzeszami drobnego ptactwa króluje siłą i grozą; biedak, to kret w podziemnych ciemnościach ryjący sobie ciasne gniazdo i w wiecznej trwodze oczekujący, ażali mu wnet tego schronienia nie zburzy a jego samego śmiertelnie w łeb nie ugodzi, rydel ogrodnika. Niech mi kto powie, że wolałby być kretem, niżli orłem?

Raz, gdy siwobrody, rumiany starzec, na spokojnym, siwym wielbłądzie siedzący, pyta-

nie to zadał, a niewielkie oczy jego z pod pomarszczonego czoła od zapалу pobłyskiwały i z tryumfem rozglądały się po tłumie, z tłumu ozwał się głos.

— Ja, lidyjczyku, przekładam swoją czarną polewkę, nad twoje tuczone bażanty i swój wieńiec laurowy, na olimpijskim igrzysku zdobyty, nad twoją tyarę z fenickiej purpury i indyjskich pereł. Biedakiem będąc, nikomu nie podlegam i przed nikim nie czuję trwogi; ciebie zaś, bogacza, jedno słowo twego władcy, w proch obrócić może. Lacedemonczykiem jestem.

Pytyon,—do sprzeczek nieprzywykły, bo ludności napęlniające rynki zazwyczaj jednomyślni z nim były a w dodatku, z tak możnym człekiemi któżby się sprzeczać ważył?—ciekawie zrazu słuchał mowy lacedemonczyka, aż potem śmiechem takim wybuchnął, że aż na grzbiecie swego wielbłąda, zakołysał się we wszystkie strony.

— Cha, cha, cha! śmiał się, cha, cha, cha! Na Sabazyosa klę się, żem nic jeszcze tak ucieśznego w życiu swem nie słyszał! Wy szczęśliwi, wy, mieszkańcy Peloponezu, na którego skalistej powierzchni kury nawet jaj znosić nie chcą a którego przestrzeń jedne tylko moje ba-

rany szczególnie okryćby mogły, szczęśliwsi od nas, obywatele rozległej, żyznej, złotorodnej, potężnej Persyi! Wiem zdawna, żeście zarozumiałcy i pyszałki, pychę swoją poczytujący za siłę, której nie posiadacie ani okrucy. Lecz poczekajcie, poczekajcie nieco, myszy! Na was to najwyraźniej przeznaczenie sprawdzi to, co ja wyznaję, gdy jak kopyto bawoła kruszy chrząszcza, nasza potęga skruszy waszą słabość! Mój władca,—niech mu wszystkie dobre duchy Ormuzda, którego jest wyznawcą, przyjaznemi będą!—mnie w proch nie zamieni, bom dość rozumny, aby go czcić jak ziemskiego boga i dość bogaty, aby w potrzebie być mu użytecznym. Lecz wy, zuchwalcy, piśnecie kiedyś w dłoni mocarza, jak makolągwa piszczy w szponach jastrzębia i wtedy dopiero, lecz już zapóźno, poznacie wolę i zamiary bogów!

Śmiał się i zarazem gniewem płonął, lacedemonczyk zaś, wzgardliwy i obojętny, na bok zszedł, bo wedle obyczaju ojczyzny swojej, to co myślał i czuł, raz tylko i słowy krótkimi, zwykł był wyrażać.

Ale w pobliżu, stało tam także chłopię ateńskie, młode, wątłe, z rozpuszczonemi na białą tiunikę złotemi włosy i złotem strun

pobłyskującą lirą u piersi. Było to dziecko ubogie, może sieroce, które do kwitnących miast Lidyi przywędrowało z pieśniami i cza-rem ich zdobywało tu sobie kęs chleba. Kiedy na hardą mowę lacedemończyka odpowiadając, Pytyon słabości greckiej urągał a wysławiał potęgę persów, młody atęcznyk palcami struny szczypał, dźwięczności ich próbując a potem, pośród chwilowej ciszy, srebrnym głosem zawiodł pieśń o Maratonie, jako tam na atyckiej ziemi, szczupła garść greków mężnych i wolnych, nad wielkiem wojskiem niewolniczych persów, wiekopomnie odniosła zwycięstwo. Śpiewał i oczy zachwyczone, trochę też szyderskie, ku Pytyonowi wznosił a różni ludzie, mniej słowami pieśni, niżeli dźwiękami liry i głosem śpiewaka oczarowani, otaczać i uważnie słuchać go zaczęli. Wtem Pytyon zawołał:

— Hej, gdzie są słudzy wielkorządcy Lidyi, niewolnika wielkiego króla? Ten malec świętej Persyi i boskiemu jej władcy bluźni, gdy śmie opiewać to maratońskie zdarzenie, które za wyjątek w kronice świata i osobliwe przez bogów własnych ich praw złamanie poczytywać trzeba! Do więzienia go tymczasem, a potem, na łodzi byle jakiej z powrotem do Aten odprawić! Hoj-

nie nagrodzę i przed wielkorządcą zalecę tych, którzy rozkazu mego usłuchają!

Któżby śmiał nieposłusznym okazać się bogaczowi, który z wielkorządcą poufale do biesiadnego stołu zasiadał a nie był wcale skąpym, owszem, szeroko sakwę otwierać umiał wszędzie, gdzie widział tego potrzebę i korzyść.

Ateńskie chłopię, przez uzbrojonych mężów porwane, z rynku zniknęło; tłum w osobie Pytyona potęgę, której udziela bogactwo, czcił coraz głębiej, a Pytyon sam, sprzeciwieństwa żadnego już nie spotykając, rozchmurzał czoło, pomarszczoną dłoń tkliwie głaskał grzbiet swego starego wielbłąda i znowu rażą, dobroduszną, wesołą mową liczną gromadę słuchaczów bawił i nauczał.

W ogóle przecież Pytyon lidyjczyk, wrogiem pieśni nie był, znajdując je miłemi w chwilach odpoczynku dla ucha i serca; kwiatom, których miał pełne rozległe ogrody, przypatrywał się czasem z lubością i w cnotę ludzką wierzył, mniemając wszakże, że jest ona, tak jak bogactwo, jednym z lemiędzy potęgi.

— Łotrom źle się powodzi — powiadał — w kajdany ich zakuwają, do ciemnic wtracają i okrywają hańbą. Jak drachma w talencie,

tak cnota mieści się w potędzie, lecz ktokolwiekby jedną drachmę posiadając nie dążył do zgromadzenia talentu, wierutnym głupcem byłby.

Może z takiego upatrywania korzyści cnoty, — może i z innych pobudek, których sam w sobie nie czuł, lecz które niemniej w nim istniały, — nigdy, w niezmiernie rozległych czynnościach swych handlowych, ani na jeden obol nie oszukał nikogo, a wszyscy wiedzieli, że w całej Lidyi nie było niewiasty szczęśliwszej i wierniej kochanej nad jego żonę, Gorgę, i młodzieńców troskliwiej chowanych, nad jego synów. Wszakże, ilekroć na wadze sądu jego z jednej strony spoczęło bogactwo a z drugiej cnota, łącniej swoją przychylność i wiarę przechylał na stronę bogactwa. Kiedy mu raz wspomniano, że jednak w niektórych sercach śmiertelnych istnieje ten szczyt cnoty, który zwie się wspaniałomyślną litością zwycięzcy nad zwyciężonym, czego dowód dał wielki Cyrus, z rozpalonego już stosu przywołując ostatniego z lidyjskich królów, Krezusa, i jaknajmilszego przyjaciela u swego umieszczając go boku, Pytyon myślał długo, potem uśmiechnął się filuternie i z cicha wyszeptał.

— Skłonny do wierzenia, że przebiegły Krezus kilku dobrze przechowanemi kiesami zjednał dla siebie przybocznych Cyrusa w ten sposób, że w nim tę wspaniałomyślność, namowami swemi obudzili. Gdyby był nie posiadał bogactw, któremi sobie obrońców kupił, na Cybelę! byłby podówczas na stosie zgorzał, jak sucha gałązka.

Potem jednak, poważnie i z nizkiem schyleciem głowy dodał, raczej poprawił się.

— Cyrus zresztą, przyjaciele moi, potężnym mocarzem był; wszystko więc, cokolwiek bogowie najlepszego wymyślili i stworzyli, w nim mieścić się musiało.

Jakkolwiek Pytyon cenił bogactwo przeważnie za to, że zadawalnia ono dumę i pożądanie władzy człowieka, jednak nie gardził też wcale i wszelkimi rozkoszami, których dostarczać ono może. Niegdyś, w dalekich i długich wędrówkach, mężnie i wytrwale znosił on głód i pragnienie, skwary i trudy a lata młodości spędził, wraz z małżonką swoją, częścią pod wędrownymi namiotami, częścią w wielce skromnem, z niezgrabnych bierwion skleconem domostwie. Od kąd przecież ze znacznej już poojcowskiej spuścizny uczynił majątek prawie bajecznej wiel-

kości i oparł go na niewzruszonych podstawach, siedlisko jego zasłynęło po świecie ze wspaniałości swojej budowy i z nagromadzonych w niem skarbów sztuki, zarówno greckiej jak wschodniej.

Grecka i wschodnia sztuka budownictwa, greckie i wschodnie kamienie i metale, łączyły się w domostwie Pytyona, wznoszącem się u stóp wzgórz kasztanowych. Ściany jego, obyczajem sąsiedniej Frygii, składały się z odłamów skał, które tysiączne gromady niewolników, kosztem niezmiernych trudów rozłupywały młotami i w różne kształty ociosane spajały silnym cementem. Na tych ciemnych i różnowzorych ścianach spoczywał płaski dach z miedzi korynckiej, tę posiadającej własność, że w blasku słonecznym płonęła jak roztopione złoto, a szerokie ze wszech stron obiegające je tarasy wspierał tłum kolumn, z dostarczonych przez jońskie wyspy, białych i żółtych marmurów. Te same marmury, z asyryjskimi malowanemi ceglami zmieszane, tworzyły szerokie i wspaniałe wschody, z wysokich tarasów spuszcające się ku rozległym trawnikom i ogrodom. Najprzezroczystsze ze szkieł, obficie przez fenicyan i na wyspie Lesbos wyrabianych, w spiżową oprawę ujęte, nakszałt wody w szczelinach skalnych, świeci

ły w głębi wązkich, ze skały wykutych nisz, a po tarasach, trawnikach, ogrodach, u stóp wschodów i u rzeźbionych z cennego drzewa, lub z metalów kutych drzwi, rozsiadały się ciężkie, srogie lub tajemnicze, spiżowe lub marmurowe lwy, smoki, sfinksy.

Na widok tego niezmiernego gmachu, atenczyk, z łona przyrody genialnym artystą wyszły, uśmiechnąłby się lekceważąco i wzgardliwie; lecz mijający go azyaci z krajów różnych, szeroko od zachwycenia rozwierali oczy i nisko przed nim pochylali głowy. Nie było w nim tej boskiej poezyi myśli i uczuć, która z głązów najgrubszych wykuwa i uplata arcydzieła harmonii, wzniosłości i gracyi; lecz z ogromnej, ciężkiej, ciemnej, a przecież blaskami płonącej jego całości, w oczy i duszę każdego patrzącego biły i w powietrzu unosić się nad nią zdawały dwa wyrazy, będące nazwami dwu ideałów i pana tego gmachu i Azyi: bogactwo i potęga!

II.

O bardzo wczesnej porze, bo przy pierwszych brzaskach świtania, ze wschodów Pytyonowego domu zstąpił młody mężczyzna i przez szerokie trawniki, potem przez pola, oliwnemi drzewami zasadzone, dążył ku kasztanowym wzgórzom. Od białej, do kolan tylko sięgającej i czerwonym pasem przewiązanej sukni, silnie odrzynała się ciemna śniadość jego odsłoniętych ramion i nagich nóg, w lekkie tylko sandały obutych. Mała czerwona czapka frygijska osłaniała zaledwie wierzch jego głowy, bogato kruczemi włosy okrytej, a jaskrawą swoją barwą uwydatniała śniadość jego podłużnej twarzy i czarną aksamitność źrenic. Był bardzo młody, nie zdawał się mieć więcej lat nad dwadzieścia, a w wysmukłej jego postaci i w wszystkich jej ruchach, z niewieścim prawie wdziękiem łączyło się coś nakształt marzycielskiego lenistwa, lub do wszystkiego na ziemi zniechęconej obojętności. Powoli, obojętnie, przechodził mimo wyła-

niających się ze zmroku ciężkich lwów spiżowych i tajemniczo bielejących sfinksów, na nie z tego, co otaczało go nie patrząc, owszem, zdając się niechętnie od codziennie spotykanych widoków odwracać i niecierpliwie od nich się oddalać. Im dłużej szedł, tem więcej przyspieszał kroku i ze wzrokiem utkwionym daleko, pragnął, zda się, co najprędzej zejść jaknajdalej. Szybko też przebył wielki łąn oliwny i jeszcze parę stadyów pomiędzy drzewami perskich śliw i rozwieszonymi wśród nich splotami brzoskwiń uszedłszy, uprawne pola opuścił i na jedno z kasztanowych wzgórz wstępować zaczął. Tam, na znacznej wysokości, u brzegu leśnej zarośli, pod szeroko rozpostartymi gałęziami, stała szeroka ława marmurowa, z wezłowiem naśladowującym łagodną i wielkouchą głowę słonia. Na tej ławie młody lidyjczyk wyciągnął swoje gibkie, delikatne członki, ramiona nad głowę zarzucił i w tej leniwej postawie powolnem spojrzeniem toczył dokoła. Śniade jego ciało, czerwony pas i czapka, jaskrawo wśród zmroku odbijały od śnieżnej białości ławy, która wraz z nim i na tle gęstej zieleni wznosiła się wysoko nad całym, rozległym i w różnaitość barw, kształtów i linii bardzo bogatym brajobrazem.

Było to w miesiącu, który po grecku zwał się Anthesterion, czyli pierwszy miesiąc kwiatów. Istotnie, świat płynął morzem kwiatów. Po wzgórzach, które od wschodu otaczały równinę szeroko rozwartem półkolem, puszyste, białawe kiście gęsto okryły kasztanowe lasy; w rozległym, zwanym po persku rajem, ogrodzie, który za ciężką, wielką, w tej chwili uśpioną masą Pytyonowego domu, wspinając się na wzgórze i wraz z niemi falując, zdawał się być zawieszonym w powietrzu, pod wyniosłemi wachlarzami palm, u stóp rozłożystych platanów i figusów, wśród ciemnych cyprysów i mirtów; łany tulipanów ognistą czerwienią płonęły przy śnieżnej białości narcyzów i wszelkiemi barwy, z niezliczonemi ich odcieniami, mieniących się róż i hyacyntów. Na równinie, nad trawnikami pełnemi fiołków, kwitły śliwowe i migdałowe drzewa; tu także, z za ostatniego z kasztanowych wzgórz, błękitny, szeroki, poważny, jakby z posiadanych w sobie bogactw dumny, wypływał Paktol, brzegami wód swych muskał oliwne i brzoskwiniowe sady, z pomiędzy gęstych winnic spływał na wielkie łąki i znikał u ostatniego kresu widnokładu, u kresu przeciwległego stronie, wśród której jak olbrzymi mglisty

cień tylko widzialny, wznosił się złotodajny i źródło złotodajnej rzeki w sobie zawierający Tmolus. Ztąd, ta najwyższa z gór lidyjskich, wydawała się cieniem olbrzymim, ciężkimi i dziwnymi wyźłobieniami swemi szeroko uścielającym północny skłon nieba, siną mgłą owianym i u szczytu świecącym siwizną wiecznego śniegu. Ten cień olbrzymi panował nad całym widzialnym ztąd światem bardzo zdaleka; bliżej zaś, zupełnie widoczny i wyraźny, wznosił się nad nim, u szczytu najwyższego z kasztanowych wzgórz umieszczony posąg Cybelli. Było to miejsce święte, na którem w dniach oznaczonych, ku czci bogini płodności i uciech cielesnych, kapłani i kapłanki odbywali procesye i orgie. Nie była to grecka Pallada, z hełmem męztwa nad czołem a ptakiem mądrości u stóp, ani Artemida dumna i dziewicza, ani nawet Afrodyta zmysłowa, lecz łagodna i jaśniejąca wdziękiem. Była to bogini Azyi, ogromna, ciężka, z piersią olbrzymią i groźną postawą. Biała jak śnieg, bo z paryjskiego marmuru wykuta, stała na wozie przez cztery lwy, równie jak ona, ogromne i srogie, ciągniętym i brzemieniem swoim, zarówno jak swego wczu i zaprzęgu zdawała się przytłaczać służące jej za piedestał,

zielone i gęstemi liśćmi kwiatów obwieszone wzgórze.

Wszystko to, w miarę przemijania minut, coraz więcej wypływało z szarego zmierzchu i wsinawym, a coraz jaśniejszym świetle stało zdjęte tą zaklętą nieruchomością i ciszą, która poprzedza wejście jutrzeńki. Całe to niezmierne bogactwo barw i kształtów wydawało się martwem, lub w kamiennym śnie pogrążonem. Najłżejsza woń nie mieszała się w powietrzu ze świeżością niezupełnie jeszcze minionej nocy i pobliskiej wody; najłżejszy dźwięk, albo szelest nie mącił milczenia; najślabszy połysk nie świecił nigdzie. Wiatry, w oczekiwaniu na wschód słońca, cicho do ziemi przypadły, ptaki w gęstwinach spały i rosa nie padała jeszcze z okrytego białawą krepą nieba. Wtem, na stoku wzgórza, niedaleko spoczywającego na szerokiej ławie lidyjczyka, lecz w takim kierunku i oddaleniu, że spostrzedz i usłyszeć tego nie mógł, zamigotał pośród zieleni pierwszy dnia tego srebrzysty błysk i ozwał się pierwszy słaby szelest. Zarazem, biała ręka w złote pierścienie zdobna rozchyliła gęstwinę gałęzi i na skraj lasu wyszła młoda dziewczyna, jednym zaokrąglonem ramieniem trzymająca na głowie wysmukły dzban srebrny,

a drugim, przyciskająca do piersi pierzastą więź kasztanowych kwiatów. Suknię miała białą krótką, szyję, ramiona i część nóg odsłaniającą, poniżej piersi, wzorzystym pasem przepasaną, a tak przezroczystą, że nawet bardzo gęstymi fałdami swemi, nie ukrywała zupełnie atlasowej i karminami młodości mieniającej się białości jej ciała. Bardzo biała, wysoka, lekka, z koroną kasztanowych warkoczy nad zgrabną głową, w złotych pierścieniach, naramiennikach i kolcach, ze srebrnym dzbanem na głowie i pękiem kwiatów u piersi, u skraju lasu stanęła i wnet niespokojne wejrzenie zwróciła ku niedalekiej ławie. Jednocześnie na twarz jej okrągłą, zarumienioną, prawie dziecinną, wytrysnął wyraz radości, szczerym uśmiechem rozlał się po policzkach i ustach a namiętym ogniem błysnął w oczach. Z za wielkich uszu marmurowego słonia dostrzegła frygijską czapkę i na tle nieruchomej, milczącej przyrody, stała się obrazem świetnego, wesołego, szczęśliwego życia. Ze szczęśliwą, swawolną myślą w oczach i uśmiechu, na palcach drobnych stóp bez najlżejszego, szelestu stąpając, zbliżała się do ławy a gdy o parę zaledwie kroków od niej się znalazła szybko, z ruchami rozbawionego dziecka dzban

z głowy zdjęty na ziemi umieściła i pęk kasztanowych liści zanurzywszy na chwilę w napęniającej go wodzie, lekkim wstrząśnieniem ramienia na twarz nieruchomo spoczywającego lidyjczyka rzuciła deszcz kropeł. Jednocześnie nad głową mu zabrzmiał świeży, jak wiosna i młodość, śmiech. Lidyjczyk ani powstał, ani nawet poruszenia żadnego nie uczynił, tylko z nagłym uśmiechem na zamysłonej przedtem twarzy, zeicha wymówił:

— Melissa!

Dziewczyna poskoczyła i w pełnej swej krasie, przed nim stanęła.

— Jakże lękałam się, o Diloramie, że cię dziś tutaj nie znajdę! — zawołała. — Jedyna to cicha godzina, w której we dwoje z sobą być możemy! droga godzina! boska godzina!

Mówiąc to, na szerokiej ławie obok niego usiadła i pieśzczotliwymi ruchami białych dłoni, ze śniadego jego czoła ocierała krople wody, któremi go przed chwilą była zrosiła. Wtedy i on podnosząc się nieco, ramieniem swem ją otoczył i długo oboje, z upojeniem na siebie patrzyli. Koralowe jej usta, drżąc, szeptały:

— Jakiś ty piękny, Diloramie i jaki mnie miły! Każdego rana biegnę do ciebie, jak łania

do źródła, aby na dzień cały napoić się tobą i na nieodstępного towarzysza duszy, wzięść sobie słodki twój obraz! Kiedy nadejdzie błogosławiona chwila, w której twój ojciec, Pytyon, odda ci mnie na małżonkę, nie już rozłączać nas nie będzie. Ale teraz, matka twoja, Gorgo, srogo mię przez dnie całe w oddaleniu cd ciebie trzyma i do różnych zaprawia robót, które ja, wdzięczna sierota, spełniam pilnie, lecz często łzami tęsknoty za Diloramem moim oblewam. Tylko poranki, tylko te wczesne, drogie poranki są szczęściem mojem!

Diloram nie mówił nic, ale wzrok, coraz więcej zachwycony i płomienny przesunął po ożywionych rysach i pięknych kształtach dziewczyny, której kibić obejmowało jego ramię. Nakoniec, żartobliwie na suknię jej ukazując, przemówił:

— Ten bissus, tak kosztowny i przez was ulubiony, źle strzeże tajemnic niewieścich! Poznaje, żeś przed chwilą kąpała się w Paktołu....

Melissa spojrzeniem po własnej powiodła postaci. Istotnie, pyłki złotego piasku toczzonego przez Paktol świeciły gdzieniegdzie na obnażonych jej ramionach i za przezroczystą osłoną

sukni. Zaśmiała się wesoło, ale wnet od sposobu, w jaki na nią patrzył Diloram tak cała spłonęła, że od czoła do stóp różowe cienie rozplynęły się po alabastrach jej ciała. Chciała rzec także coś żartobliwego, ale nie mogła, bo Diloram ją mocno do piersi swojej przycisnął. Nie broniła się, owszem, oba ramiona zarzuciła mu na szyję i drżąca, płonąca, gibka, jak powój do topoli, do wysmukłego młodzieńca przyłgnęła. Teraz, obie ich głowy spoczywały na głowie słonia, łagodnie marmurowemi oczami zdającej się ku nim spoglądać, a usta, to łączyły się pocałunkami, to drżały zaledwie dosłyszalnym szeptem.

Świat zaś stał jeszcze w błękitnawem świtaniu, nieruchomy, bez dźwięków i blasków, a okrywająca wzgórza i równinę gęstwina zieleni i kwiatów, zdawała się być kolebką tej upalnej sielanki młodości i wschodu.

Pierwsza Melissa podjęła głowę, z której warkocze brązową strugą na plecy jej spłynęły i kibić swą z uścisku kochanka uwolniła. Nie był to srom dziewiczy, który ją z upojenia zbudził, bo miłość dla Dilorama przencsiła w niej wszystkie inne uczucia, ale właściwa niewia-
stom przebiegłość nasunęła jej myśl, że w tej

chwili właśnie najłatwiej od ukochanego otrzymać może to, czego pragnęła, a czego on jej dotąd odmawiał zawsze. Ta myśl trochę podstępna, a trochę swawolna z za rzęs spuszczonech świeciła jej w oczach, kiedy ramieniem o węgłowie wsparta, poważnie mówić zaczęła:

— Jeżeli prawdą jest, że kochasz mię, Diloramie, czemu tak często smutnym i zamyślnym bywasz? Wiele już razy pytałam cię o to, ale jak dziecko zbywasz mię zawsze żartem, lub odpowiedziami, którym uwierzyć nie mogę. Czy mniemasz, że mię ta skrytość nie boli? Pocałunki twoje nie są mi zupełnie słodkie, bo za niemi połowę swojej duszy przedemną ukrywasz. Nie jestem, Diloramie, dzieckiem, ani niewolnicą i miłość moja ma dumę, którą nieufność obraża!

Słowa te, zgasiły na twarzy Dilorama miłosne płomie i powlekły ją chmurą prawie ponurą. Z odwróconym od kochanki wzrokiem, milczał. Ona zaś, coraz żywiej i zarazem żałośniej nalegała.

— Bo i czegoż ci w domu twego ojca i w grobie twojej rodziny niedostawać może? Posiadasz wszystko, co żywi i pieści usta, oczy i serce. Posiadasz to, czegom ja nie posiadała nigdy: rodziców i braci, a nikt ci żadnej krzywdy nie

wyrządza. Posiadasz nawet wolność, bo odkąd z tajemniczej wędrówki swojej powróciłeś, ojciec nie rozkazuje ci nic i żadnym udziałem w zarządzie dóbr swoich i dalszem ich powiększaniu, ciebie nie obarcza. Posiadasz na koniec miłość moją i wkrótce ma nadejść dzień naszych zaślubin.... Czegóż więc nie dostaje ci jeszcze? Czego więcej pragnąć możesz?

Po chwili milczenia, nie patrząc na nią, chmurnie odrzekł:

— Pragnę ciebie jedną wziąć i odejść ztąd daleko.... gdziekolwiek... byle na inną drogę i do innego życia!...

Melissa splasnęła w dłonie.

— Takim był mój domysł! — zawołała. — Nie darmo, trzy lata temu, zniknąłeś nagle z domu i po dwuletniej nieobecności, wróciłeś dopiero przed rokiem. Ten lekarz joński, Chileas, którego do chorej matki twojej przywiozł był wówczas Pytyon, powiadał, że duszę masz niespokojną i że cię w świat pociągnął jakiś uczony ateńczyk, z którym poznałeś się w Sardes. Zapamiętałam to sobie dobrze i myślałam nieraz, że cię znowu niespokojna twoja dusza w daleki świat ciągnie. Powinieneś jednak pamiętać o tem, ile ciężkiej zgryzoty zniknięcie twoje sprawiło

twojej matce, która z żalu po tobie wychudła wtedy, postarzała i odtąd już zdrowia nie odzyskała nigdy. Powinna też cię dla Pytyona jednac wielką dobroć, z którą obszedł się on z tobą, gdy powróciłeś. Żadnych nie czynił ci wyrzutów, tylko, gdy schyliwszy się przed nim, kolana jego objąłeś, z radości, że cię odzyskał, zapłakał. Bardzo dobrym jest ojciec twój, Diloramie, dla ciebie, dla mnie, dla wszystkich...

— Jesteś dzieckiem brata jego, Melisso, więc opieki swojej udzielając tobie, Pytyon okazał tylko przyjaźń dla krwi własnej — chmurnie przerwał Diloram.

Ale Melissa w zapale swej mowy, na przerwę tę nie zwróciła uwagi i mówiła dalej:

— Drobną dzieciną, osieroconą po ojcu i matce, wziął on mnie do domu swego i byłam mu odtąd zawsze najulubieńszą córką. Dwaj synowie jego, Bubares i Toraks, wielkie majątki wzięli wraz z żonami; dwaj inni, dlatego żadnej niewiasty nie poślubili dotąd, że Pytyon dla nich i oni dla samych siebie dość bogatych i dostojnych małżonek wynaleźć nie mogą. Tobie zaś, gdyś mu tylko miłość swą dla mnie wyznał, mnie sierotę ubogą, z jego tylko łaski wszystko mającą, bez wahania zaślubić pozwo-

lił. O, wdzięcznam mu tak, że często wdzięczność łzami tryska mi z serca! I tego nie rozumiem, Diloramie, jak mogłeś wówczas opuścić tak dobrego ojca i jak możesz teraz znowu opuszczenia go pożądać!

Istotnie, łzy potoczyły się po jej policzkach i tak wymownie sprawy Pytyona przed sercem syna jego broniły, że szybkim ruchem podniósł się on na ławie i wyprostowany, z brwią zsuniętą i popędliwym żalem w oczach, zawołał:

— Jak mogłem go opuścić! O, nie przez pustotę dziecinną, ani dla marnych uciech to uczyniłem! O tem, co mię podówczas z pod jego dachu wyгнаło, nie mówiłem nikomu, prócz niego i dlatego to on odtąd obdarzył mię wolnością, którą, Melisso, za część szczęścia mego poczytujesz. Teraz wiedz i ty, że oddaliłem się wtedy od zadania, które mi spełniać rozkazywał a którego przyrodzenie moje znieść nie mogło. Szesnaście lat zaledwie ukończyłem, kiedy rozkazał mi on, abym u boku doświadczonego już Bubaresa, dozorował niewolników, dobywających złoto z wnętrzości Tmolusu. Żadna fantazyja, Melisso, nie wynajdzie tego, na com ja wówczas patrzył. W podziemnym chłodzie, w wiecznej ciemności, tylko dymnemi światłami

lamp rozpraszaney, tysiąc ciał nagich, od pracy nadludzkiej zczerniałych, od spadającej na nie chłosty zakrwawionych, uderza tam młotami w ciekące wilgocią, okryte pleśnią, skały. Nic tam nie słychać oprócz stukania młotów, świstu biczów, grubego krzyku dozorców i cichych jęków, szemrań, przekleństw uciśnionych. Silny Bubares, z podniesioną głową stał nad wszystkimi, groźby i chłosty spuszczać na starszyznę, która ze zdwojoną przez strach zaciętością osypywała niemi najniższych. Ja zaś, łzami zrazu zalany, z piekielnej tej czeluści uciekałem na jasne pola i jak skrzywdzone a nie nierozumiejące dziecko, cicho skarżyłem się słońcu. Raz przecież, szalonym gniewem zdjęty, z rąk jednego z okrutników wydarłem bicz i smagnąłem go nim po obliczu, tak że całe krwią się zalało. Bubares zgromił mię za to, a Toraks wyszydził, ja zaś ojcu do stóp upadłszy, błagałem, aby mię, z tego podziemnego państwa ciemności i mąk, wyba-
wił. Wówczas Pytyon rozgniewał się i głośno zapytywał bogów, za jakie winy ukarali go synem tak ze wszelkiego rozumu obranym? Ale gdy matka zaczęła płakać nad moją zgryzotą i ukazała mu moje lica wychudłe i zeschupłale członki, dłonią po włosach mi powiódł i rzekł:

„Będziesz odtąd u boku Fredegunda uczył się towarami handlować w Sardes⁴. Jak Bubares w wydobywaniu złota z Tmolusu, a Toraks w dozorowaniu trzód i pola, tak Fredegund biegłym już był w sprzedawaniu płodów ziemi i drzew. W ogromnych składach zboża i owoców, które Pytyon w Sardes posiada, chłost, jęków, przekleństw i męczarni nadludzkich nie było. W zamian, zgiełk, ścisk, targi zacięte, przez chciwość wzniecane sprzeczki, od wczesnych ranków do późnych zmroków panowały tam nieustannie. Od rana do zmroku, Fredegund drżącemi od pożądliwości palcami, rachował greckie, perskie i egipskie pieniądze; to samo czynili pomocnicy jego, to samo tłumnie przybywający do składów kupcy. Nic tam słyszeć nie było można, oprócz wymienianych wag, miar, cyfr i nic widzieć, oprócz przelewających się strumieni ziarn pszenicznych, cieczy oliwnej, pieniędzy złotych, srebrnych i miedzianych. Powietrze gęstem tam było od stęchłego pyłu zboża, woni oliwy i cikliwego zapachu metalów, a napełnione wrzaskiem targujących się tłumów i obrazem twarzy tak od niepokojów i żądź rozpalonych i wykrzywionych, że ilekroć przybliżały się ku sobie, mniemać było można, że pragną nawzajem gryźć się i po-

żerać. Tu miasto żalu i gniewu, których w wnętrznościach Tmolusu doświadczałem, cpanowały mię nieznosniejsze od tamtych: nuda i ohyda. Gdy Fredegund zwierzał mi dozór nad niewolnikami mierzącymi oliwę, lub zboże, myśl moja ulatywała od obecności i po szerokich przestworach morza, albo po szczytach gór niedostępnych, albo po dzikich, lecz wolnych pustyniach błędziła. Dziwne dźwięki, rytmy, strofy niesłyszane nigdy powstawały mi w głowie i tak zagłuszały szum przesypywanych ziarn i szmer lejącej się cieczy, że o miarę i wagę zapytany, oblewałem się rumieńcem wstydu, lub wybuchałem przekornym śmiechem, bom o nich nie wiedział nic. Ilekroć zaś, pomiędzy sprzedającymi a kupującymi wybuchała sprzeczka, a mnie do roztrzygnięcia jej posłano, przez wykrzykiwane mi w same uszy żądania i zarzuty śmiertelnie znużony, często też, nad kupującym biedakiem litością zdjęty, towar za najlichszą sprzedawałem cenę, a na wyrzuty czynione mi przez Fredegunda odpowiadałem tylko ukazaniem mu moich pleców, bom corychlej i wielkim pędem ze składów uciekał.... Przy tem wspomnieniu o przekorach i psotach, kiedyś w ojcowskich składach wyrządzanych, opowiadający rozchmu-

rzył brwi i uśmiechał się prawie swawolnie. Uśmiechała się też z psot Dilorama i nadarem-
nego gniewu Fredegunda Melissa, a czoło ko-
chanka całując, wołała:

— O wszystkim tem wiedziałam już potrochu,
ale teraz dopiero otworzyły się zupełnie moje
oczy! Cóż dalej? ptaku mój, co stało się dalej?

Diloram pocałunkiem za pocałunek jej zapła-
ciwszy, mówił:

— Fredegund przed ojcem mię oskarżył,
a ten, srożej niż przedtem zawiedziony i roz-
gniewany, na prośby i łzy mej matki już nie
zważając, dla ukarania mię i zmęznienia, znowu
mi w tmolusowe podziemia, pod twardą dłoń
Bubaresa wracać rozkazał. Daremnie błagałem
i matka wstawiała się za mną, aby mię przy
podślonecznej roli i nad łagodnymi trzodami
ustanowił; zawiastny Toraks oddawna już miej-
sce to zajął i pomocnika, w którym chęć współ-
zawodniczenia z nim podejrzywał, znieśćby nie
mógł, a wiele pożytecznym będąc ojcu i ogrom-
nych dostarczając mu zysków, z łatwością opo-
rem swoim prośby moje i matki zwyciężył.
Wtedy potajemnie do Sardes wróciłem i ztam-
tąd, w towarzystwie pewnego atenczyka, dla
którego nauk i rozmów wielką powziąłem mi-
łość, oddaliłem się w świat szeroki...

Melissa dłoń po kruczych jego włosach przesuwając, rzekła:

— Gdybym sto dni mówiła, opowiedziećbym nie mogła, jaką po sobie pozostawiłeś żal. Gorgo zwyczajem swoim krzątając się po domu i tysiące spełniając robót, noce spędzała w płaczu, chudła, aż też srodze na zdrowiu zapadła. Pytyon na wsze strony rozsyłał za tobą gońców, kiesy złota i najwspanialsze dary przyrzekając temu, kto cię znajdzie, silny Bubares na wieść o twojem zniknięciu zapłakał, Fredegund z Sardes do domu przybiegłszy, biadał i ręce łamał, że się okazał zbyt srogim dla ciebie.

— Nawet przebiegły i o ojcowskie łaski najdbalszy, Wamik, przez czas jakiś w głębokie wpadał zadumy, nad tem zapewne jakby wynaleźć cię, rozmyślając. Jeden tylko Toraks smutku nie okazywał żadnego, rad prawie, że władzy nad ukochanemi jego trzodami i rolą, nikt z nim dzielić nie będzie. Ja zaś, mała jeszcze dziewczynka, czułam przecież srogą po tobie boleść i często wśród nocy, do sypialni twej matki się wkradłszy i dziecięcemi rękoma mocno ją objąwszy, wraz z nią płakałam....

— Żałuję, żem was wszystkich tak srodze zmartwił — głosem z głębi serca idącym, odrzekł

po chwili Diloram — lecz gdybym wzajemnie tych, co mnie kochają, nie kochał, byłżebym wrócił? Wróciłem i znowu...

Umilkł, a Melissa, patrząc mu w chmurne oczy, zapytywała:

— Co znaczy to: znowu? Przecież ci teraz Pytyon ani tmolusowej kopalni stróżować, ani w Sardes towarów sprzedawać nie rozkazuje? W obawie pewno, abyś raz jeszcze, okrutny swawolniku, nie zniknął mu z domu i oczu, obchodzi się on z tobą tak ostrożnie, jak gruboręki strzelec z pochwyconym przez traf ptakiem rajskim. Więc cóż znaczy to: znowu?

Zamiast bezpośredniej odpowiedzi, Diloram zapytał:

— Czy wiesz dla czego Paktol złoty piasek w wodach swoich toczy?

— Nie — odpowiedziała Melissa — wielu rzeczy już mię nauczyłeś, ale o tem nie mówiłeś nigdy.

Diloram, po chwili namysłu, opowiadać zaczął:

— Nad Frygią, dawno temu, panował król, Midasem zwany, któremu bogowie w zamian oddanej im ważnej przysługi, przyrzekli speł-

nić wszelkie żądanie, jakieby zaniósł przed ich oblicze. Uradowany Midas zażądał bogactwa tak wielkiego, jakiego dotąd nie posiadał żaden śmiertelnik, a bogowie przyrzeczenia swego dotrzymując, wszystko, czegokolwiek dotknęła Midasowa stopa lub ręka zmieniali w złoto. Złotemi bryłami kładły się przed nim na misach najwytworniejsze jadła, złotemi strugi płynęło w puharach wino, twarde pokłady złota, miasto miękkich kobierców słały się mu do stóp i w złotą skorupę przemieniały się szaty, któremi chciał przyoblekać ciało. Zrazu uszczęśliwiony nad miarę, Midas chciwie olbrzymie skarbce napełniał tym drogocennym metalem, ale wkrótce śmiertelnie zgłodniały, spragniony, zbolały i jednostajnością widoków znudzony, ręce ku bogom wyciągnął i błagał: „Pozwólcie mi, o potężni, pastuchem być, albo kopaczem ziemi, byłbym łaskę, którą sobie wyjednałem u was, utracił!” Bogowie wtedy, litością nad tym niezmiernym głupcem zdjęci, rozkazali mu, aby wykąpał się w Paktolu, a gdy to uczynił, wyszedł z rzeki obmyty z przekleństwa złota, które natomiast wzięła w siebie rzeka i odtąd, na falach swoich toczyć je zaczęła.....

Opowiadanie to rozpoczynał z uśmiechem, lecz ukończywszy je, wyprostował się, na ławie usiadł i ramiona ku górze wznosząc, zawołał:

— Jakkolwiek nigdy nie żądałem od bogów bogactwa, jestem jak Midas, gotów zawsze do błagania; „pozwólcie mi, o potężni, pastuchem być, albo kopaczem ziemi, bylebym tylko do koła siebie nie słyszał ciągle: „złoto! złoto! złoto! bądź pochwalone, złoto! przybądź, o złoto! Złoto miłosierne, ty zmywasz winy i zbrodnie śmiertelnych! Złoto wszytkomogące, ty dajesz potęgę! Potęgo, na złocie i sile oparta, tyś najwspanialsza i najżarliwszej miłości godna ze wszystkiego, co pod sklepieniem nieba, na płaskiej ziemi istnieje! hymny i peany na cześć złota i potęgi wyśpiewują tu wszyscy i wszystko, nawet gniotące ziemię ściany tego domu, nawet dach jego, który pod promieniami słońca zapala się złotym pożarem. Całe życie Pytyona, Gorgi i czterech ich synów, jak kadzidło płonie na tym ołtarzu; a moja dusza, tym hymnom i ofiarom odpowiada krzykiem: kłamstwo! i dusi się w złotej niewoli. Niegdyś, dziecię nieświadome, anim wiedział, anim rozumiał dlaczego żal i wściekłość budziły we mnie męki kujących złoto niewolników a nudę i ohydę targi i spory

rynkowe. W tej dwuletniej dopiero wędrówce otworzyłem oczy na światło, a to, co było niewyraźnym głosem mego geniusza-stróża, stało się moją własną myślą i wolą...

Zagorzał cały, śniada twarz stanęła mu w rumieńcach, a czarne oczy w blaskach gniewu i buntu. Meliszę, to uniesienie, które po raz pierwszy w nim widziała, trwogą i żalem zdjęło. Drżąca i tak jak on zarumieniona, miękko przylgnęła mu do piersi.

— Nie mogę twojej rozpaczyci obojętnie znieść, Dilramie — łagodnie szeptała; — nie w mojej mocy świat dla ciebie odmienić, ale mniemam, że od tego, co nienawiść twoją obudza, oddalić się możesz w taki sposób, że i serca tych, którzy kochają cię nie zranisz i sam będziesz mógł postępować według własnej myśli i woli. Kiedy mię już zaślubisz, poprosimy Pytyona, aby nam część niedużą pól i trzód swoich wydzielił, wzniesiemy domek taki, któregooby brzemie nie przygniatało ziemi, a dach nie płonął złotym pożarem i tam żyć będziemy zdala od Tmolusa i Paktolu, od tłuszczy gnębionych niewolników, od wszystkiego, co ci, mój ptaku, skrzydła wiąże i strzałą tkwi w piersi. Wtedy dni twoje popłyną w spokoju i wolności i będziesz mógł

uskutecznić każdy dobry zamiar, który ci twój geniusz-stróż poszepta. Kim jest ten geniusz-stróż twój, Diloramie? Gdzie przebywa? jak się nazywa?

Może zajęty nasuniętą mu przez nią myślą pytań jej nie słyszał, może też na nie odpowiedzieć nie chciał, lecz z niewymowną miłością we wzniesione ku niemu oczy jej patrząc, wzajem zapytał:

— Chciałabyś opuścić wspaniały dom Pytyona i mieszkać w dolinie, górami przed światem ukrytej, cienistemi platanami zarosłej, którąbym ja, własnemi rękoma i z pomocą kilku życzliwych sług uprawiał, wtedy gdy tybyś trzody doglądała i tkała odzież dla mnie i dla siebie?...

Nie dając mu dokończyć, z wybuchem powracającej wesołości, zawołała:

— Ochotnie! o, jak ochotnie, poszłabym tam za tobą! Gorgo mię od dzieciństwa do gospodarskich robót zaprawiała. Kocham dobre zwierzęta; wielbłądy i konie twego ojca głos mój rozpoznają, barany do ręki mej idą, a tkać umiem prędko i ślicznie...

Uspokojona już i rozweselona, widząc też że z jego twarzy miłość jej i łagodność spędziły gniew i cierpienie, zapytała znowu:

— Nie powiedziałeś jeszcze, jakim był cel twojej wędrówki? gdzie byłeś, drogi?

Przez chwilę wahał się i milczał, potem jednak odpowiedział:

— W Atenach.

A kiedy wyraz ten wymawiał, pochylił głowę tak, jak ktoś, oddający czemuś dla niego świętemu, pokłon głęboki.

— Czemu tak nisko głowę pochylasz, nazwę tego greckiego miasta wymawiając? — Zapytała zdziwiona Melissa.

Miękkim głosem odrzekł:

— Bo tam na żywe oczy ujrzałem prawdziwą piękność i wolność...

Poważnie Melissa zastanowiła się nad słowami temi. Widać było, że dzisiejsza rozmowa z kochankiem budziła i rozszerzała jej umysł z przyrodzenia żywy i pojętny. Miała znowu coś powiedzieć, o coś zapytać, lecz nagle, jakiś widok zatrzymał na sobie wzrok jej po przeszczeni błędzący i zadziwiony zachwyt w niej obudził. Naprzód nieco pochylona, wyciągnęła ramię i palcem wskazując na szczyt najwyższego ze wzgórz kasztanowych, zawołała:

— Patrz, patrz, Diloramie! jak dziwną postać przybrała teraz wielka bogini!

Diloram zwrócił spojrzenie w ukazywanym mu przez nią kierunku.

Od czasu gdy zaczęli rozmawiać z sobą, w przyrodzie zaszły zmiany, postępem dnia sprowadzone. Lekkie obłoki, białą krepą przedtem osłaniające niebo zniknęły a błękit jego pociemniał i zaśkrzył się od smug różowych, które z za kasztanowych wzgórz wytryskały. Powietrze stało się tak przezroczystem i łagodną światłością napojonem, że w oddali wyraźnie rozpoznać się dawały olbrzymie kształty Tmolusa, jak białą chmurą zwieńczone śnieżystym szczytem, nad którym, na kształt ofiarne-
go dymu, zawisł lekki obłok ze złota i fioletu. Wszystkie te blaski były oznaką wejścia jutrze-
nki i po nich tu tylko odgadnąć je było można, bo wschodni skłon nieba ukrywał się za wzgó-
rzami. Najszerszą zaś i najbogatszą smugą swych światel poprzedniczka słońca oblała panujące nad całą równiną wyobrażenie Cybelli i dziwną istotnie nadała jej postać. Przedtem, w mglistem świtaniu, majaczyła ona tylko bielą swoich marmurów i ogromem kształtów; teraz, na tle poświęconego jej lasu oderznęła się z doskonałą wyrazistością najdrobniejszych nawet linii i naj-
subtelniejszego ich wyrazu. Ogromna, ciężka,

z piersią tak olbrzymią, że wszyscy zda się śmiertelni zawisnąć u niej i pokarm życia ssaćby z niej mogli, stała ona z ramionami wyciągniętymi u cugli lwów, jakby bieg i zażartość ich podniecać, a kołami swego wozu świat miażdżyć chciała.

W opływających je światłach ruchomych, paszczęki lwów zdawały się we wściekłym chrapaniu rozwierać, grzywy ich płonąć i każdym rozwianym włosem w powietrzu igrać. Oblicze zaś bogini, wielkie i wydęte, wraz z grą przesuwających się po niem światel, unosiło się nad przestworzem to srogie i ponure, to dumne i zwyciężkie, aż promień jeden, od innych gorętszy po ustach jej zaigrał i wymalował na nich uśmiech lubieżny. Z tym uśmiechem długo już pozostała i wtedy rzeczy można, że swemi lwaw i kołami gotowa ludzkość zmiażdżyć, pragnęła ją zarazem całą, w szale żądry, do swej olbrzymiej piersi przycisnąć. Tak nad kwiecistą równiną i budzącemi się pośród niej cichemi szmerami wiatrów, wznosiła wysoko obraz dumnej potęgi, druzgoczącego podboju i cielesnej płodności i rozkoszy.

Melissa, naprzód cała podana, ze wzrokiem wlepionym w Cybellę i napełnionym grozą, nabożnie szeptała:

— O, wielka bogini! Potężna, hojna bogini, modlącym się do ciebie, darów swoich nie skąp, ziemi naszej daj żyzność a trzodom płodność. O, straszna bogini, błogosław wnętrzościom skrzyni i kies, a łonom niewiast i wielbłądzie naszym!

Tak ją nauczono modlić się w dzieciństwie, tę modlitwę i teraz powtarzała, podziwem i grozą zdjeta dla wyłonionego z mgieł świtania najwyższego bóstwa swojego kraju i rodu. Lecz z zapomnienia o obecności, obudziło ją ściśnienie ręki Dilorama tak silne, że aż ból przez nie sprawiony uczuła i głos jego przyciszony, a jednak popędliwy, którym nad głową jej przemówił:

— Nie módl się do Cybelli, Melisso, nie błagaj o pełność kies i płodność wielbłądzie bogini, która nic nad nie droższego nie daje! Posłuchaj tego, co ci opowiem, posłuchaj... posłuchaj!...

Cybelli lękała się a Dilorama kochała; nie też dziwnego, że od przejmującego trwogą obrazu bogini odwróciła się natychmiast a do piersi kochanka przytulona, w twarz mu wpatrzona, cała zmieniła się w słuch. Diloram zaś mówić zaczął:

— Przedtem, nim z towarzyszem moim udałem się do Aten, zwiedziłem Hipajpę, jedyne miasto lidijskie, w którem siedlisko sobie obrali kapłani nauki Zoroastra, stróża wiecznego ognia. Nie ogień oni czczą, jak o tem nieświadomi utrzymują, lecz pod postacią jego pierwiastek wszelkiego dobra na ziemi: Ormuzda. Słyszałem już był dawniej o tym dobrym i jasnym duchu, toczącym walkę z Arymanem, duchem ciemności i złości, i ta to właśnie wieść zasłyszana, pociągnęła mię ku Hipajpie. Atarwowie, kapłani Ormuzda, przyjaźnie mię przyjęli, a gdy dokoła świętego ognia zasiadłszy i płomień jego wonnem drzewem podsycając, objawiali mi tajemnice swej wiary, piłem ją duszą tak, jak ślepiec pije oczami nagle mu objawione światło dnia. Dowiedziałem się wtedy, czyj to głos przemawiał we mnie, kiedy okrucieństwa i chciwości znieść nie mogłem, do czego zmierza przeznaczenie moje i czyim sługą jestem...

Zamyślił się i na chwilę umilkł, ale Melissa, zaciekawiona i uszczęśliwiona tem, że najskrytsze myśli swe z nią podzielał, przynaglała go do mówienia.

— Mów, ptaku mój! śpiewaj, słowiku! — miłośnie i z prośbą szeptała.

Więc mówił dalej:

— Na początku była ciemność, lecz powstał Ormuzd i geniuszowi Mitrze słońce na sklepienie niebo wprowadzić rozkazawszy, stworzył światłość; naprzeciw zaś Ormuzda podniósł się Aryman, rozproszone ciemności zgromadził i światłości stworzonej przez Ormuzda wypowiedział wojnę. Aryman jest duchem złym a hufce jego składają się z Dewów, duchów zawiści, chciwości, zemsty i krzywdy. Wojskiem dobrego i jasnego Ormuzda dowodzą geniusze Ameszaspany, którzy dają blask słońcu, czystość wodzie, cień lasom a sercom ludzkim dobroć i sprawiedliwość. Aryman stworzył śmierć i Ormuzd zwyciężyć jej nie mógł, lecz posłał geniuszów Jazadów, aby dusze, z ciał umarłych wyszłe odbierali Dewom i wiedli je na sąd Ameszaspany Bachmana, który im wstęp do Ormuzdowego raju otwiera, lub gdy za życia Arymanowi służąc obciążyli się winami, w królestwo Arymanowe strąca. Aryman w śmiertelniku każdym umieścił Dewa, aby w nim żądze rozkoszy i złota wzniecał i myśli zemsty, nienawiści, krzywdy obudzał. Ormuzd wnet każdej duszy przydał geniusza-stróża, który Ferwaszem zwie się i przemawia do niej głosami dobroci i sprawie-

dliwości. Kto słucha Dewa, ten jest żołnierzem, do hufców Arymanowych najętym za rozkosz i złoto; lecz kto posłusznym okazuje się Ferwaszowi, ten sługą Ormuzda zostaje. Każdy z nas ma w sobie Dewa i Ferwasza i w każdym dwa te duchy, ciemności i światła, złości i dobroci, toczą z sobą walkę. Wszystko zresztą na ziemi dotąd jest w stanie walki; geniusze powstają przeciw Dewom, ludzie dobrzy przeciw złym, zwierzęta drapieżne przeciw łagodnym, zima przeciw wiosnie, śmierć przeciw życiu. I długo jeszcze słudzy Ormuzda padać pod ciosami Arymanowych hufców a Dewy i niewolnicy ich tryumfować będą, aż przyjdzie czas...

Tu znowu przerwał mowę, natchnieniem rozpłomienioną twarz ku słuchaczce swej pochylił, łagodnie pytając:

— Czy słuchasz mię, Melisso? czy rozumiesz?

Lecz odpowiedzi usłyszeć nie potrzebował, bo wyczytał ją w oczach kochanki, z namiętną ciekawością w niego utkwionych i w zachwyconym uśmiechu, który rozchyłał jej usta. Więc na niebo, coraz gorętszemi blaskami okrywające się ukazał i mowę swoją kończył.

— Lecz przyjdzie czas, w którym walka dwu pierwiastków, trzymających rządy nad ziemią

ustanie, bo pierwiastek dobry i jasny zwycięży. Ziemia od krańca do krańca zadrży, gdy ogniem wybuchną góry a strumienie roztopioną miedzią popłyną. Ormuzd z hufcami swoich Ameszaspantów, Jazadów i Ferwaszów zasiądzie na wysokościach, aby sądzić Arymana i sługi jego; Aryman pokonany i przelękły, obliczem przed nim padnie, o zlitowanie błagając a dobry i jasny Ormuzd, pokonanemu wrogowi swemu i wszystkim zastępom, które mu posłuszne były, przebaczy. Wtedy, po Czynewadzie, złotym moście, pomiędzy niebem a ziemią zawieszonym, wstępować zaczną wszyscy śmiertelni, których ziemia od początku swego widziała: dobrzy i źli, niewinni i obarczeni zbrodniami, ci, którzy oblewali się łzami i ci, którzy kąpali się w rozkoszach. Dobry Ormuzd wszystkim przebaczy i dla wszystkich w nieskończoną wieczność popłyną niezmacone czasy niewinności, pokoju i szczęścia.

Skończył, a potem dodał tylko:

— Tej ja wiary wyznawcą jestem. Ormuzda sługą postanowiłem być. Osądź, czy mogłem słuchać modlitwy twojej do Cybelli — i milczeć?

Nie odpowiedziała nic; patrzała jeszcze na ten punkt przestrzeni, gdzie przed chwilą ukazywał

on jej, pomiędzy niebem a ziemią zawieszony, oczom śmiertelnych niewidzialny, most nadziei, łaski i powszechnego zbawienia. Jakieś szerokie, rozległe przestworza rozwarły się przed jej wzrokiem, ujrzała jakąś długą, daleką jak wieczność drogę; serce jej mężniało, rosło i zarazem uczuwało w niem nadzieję i wdzięczność dziwnie słodką, a tak wielką, że wszystkie dotąd przez nią zaznane dziewczęce nadzieje i wdzięczności, zmalwały i zbladły jak drobne lampy przed słońcem.

Słońce też już za kasztanowemi wzgórzami wschodziło, a ukośne jego promienie snopami kładły się po wzgórzach i równinie, złotem malując cieniste spody lasu i ogniem przepajając liczne barwy kwiatów. Na kwiatkach, trawach, drzewach, deszczem dyamentów zaświeciła rosa; ptaki obudziły się i wielkim chórem zaśpiewały w lasach, ogrodach i sadach; na dalekich łąkach zamajaczyły różnobarwne trzody i stada; łagodne wiatry powiały delikatnym liściem oliwnych i puszystymi kiśćmi kasztanowych drzew. Kamiennie przed godziną śpiąca równina, zakiśniała blaskami, barwami, dźwiękami i zmieszana wonią tysiącznych roślin, która jak z olbrzymiej kadzielnicy z niej wybuchnęła i rozlała się

w powietrzu, pod same zda się roziskrzzone szafiry nieba.

Diloram wstał i rękę Melissy w dłoni swej ściskając, wymówił:

— Módlmy się!

Potem głośno mówić zaczął modlitwę, którą wyznawcy Ormuzda zwykli byli witać wschód słońca:

— „Modlę się całym, pełnem sercem, czystością myśli, czystością słowa, czystością czynów. Oddaję się wszystek dobrej myśli, dobremu słowu, dobremu czynom. Wyrzekam się wszelkiego złego. Oddaję się w opiekę Ameszaspantom, chwalić ich myślą, słowem i czynem przyrzekam. Niechaj ciało i dusza moja poświęcone będą duchowi dobra i światłości. Wołam go pełnością i czystością serca.

„Zbawienie Ormuzda sprawiedliwemu, który czystym jest. Chcę się trzymać świętego prawa Ormuzda, który walczy z Arymanem. Lecz o, Ormuzdzie, jeżeli człowiek rozgniewa się myślą, mową albo uczynkiem, a upokorzony woła ku tobie, abyś mu był przyjaznym, uczyn to ty święty, ty wielki, ty najdoskonalszy, jako ja przyjacielem będę człowiekowi, który mię obrazi, a o przebaczenie do mnie zawoła!”

Melissa głośno powtarzała za nim słowa modlitwy, a gdy skończyli, spojrzenia ich utonęły w sobie z wyrazem nie tylko już tej miłości, która uściśnień i pocałunków pożąda, ale i tej, która z porozumienia i zgody umysłów, ciepłym strumieniem przyjaźni i zaufania wypływa.

Tym razem jednak, Diloram pierwszy spostrzegł na widnokręgu coś, co go od rozmowy z kochanką oderwało.

— Patrz, Melisso — dalekie winnice i łąki ukazując, rzekł — jeżeli wzrok mię nie myli, to ojciec mój z Kelanei wraca...

— A tak! — zawołała dziewczyna — rozpoznaję nawet Mosza, na którym jedzie Pytyon, starego, dobrego Mosza, a za nim pięknego, młodego wielbłąda, niedawno przez Wamika wybranego z trzody... Otóż i słudzy Pytyona za nim jadący...

Istotnie, z za dalekich winnic stopniowo się wynurzające objuczone wysoko pietrzącemi się ciężarami wielbłądy długim sznurem rozciągały się na łąkach, wśród których rozpoznać było można w oddaleniu największem stada pasących się koni, bliżej zaś ogromne trzody krów i baranów. Zresztą w wielkim pytyonowym domu, ruch także budzić się zaczął, z okien po-

wiały purpurowe lub śnieżne zasłony, po schodach i tarasach, przebiegali niewolnicy, na głowach i w rękach niosący kosze, misy i dzbany, pełne owoców, mięs i wina. Znać już i ztamtąd dostrzeżono wracającego z podróży pana domu i na przyjęcie go śpieszne przygotowania czyniono. Kiedy Diloram i Melissa, ze wzgórza zbiegłszy i szybko przebywszy śliwowe i oliwne sady, przed domem stanęli, u stóp schodów znaleźli już na powitanie małżonkę wybiegłą, Gorgę, i w pobliżu jej stojących trzech synów Pytyona; przez gońca bowiem przysłanego z drogi wezwani, Bubares z tmolusowej kopalni, a Fredegund z Sardes, wczoraj przybyli. Ta chęć zgromadzenia do koła siebie całej rodziny, którą przez swe poselstwa objawił był Pytyon, zapowiadała sprawę ważną i niezwykłą, to też wszyscy spoglądali w stronę powolnie kroczących wielbłądów z takim natężeniem wzroku, że nadejścia Dilorama i Melissy nie spostrzegł nikt. Dziewczyna stanęła w pobliżu kobiety, nad której chudą, pomarszczoną twarzą wznosił się zawój wysoki i żółty, a której suknię z kwiecistej, perskiej materii, od szyi do stóp okrywał biały fartuch. Diloram wmieszał się pomiędzy braci, a dalej nieco, pod ciemnymi

ścianami domu i pośród zdobiących je kolumn, gromady niewolników, różnemi barwami ciał i rysami oblicz objawiające pochodzenie z różnych stron i rodów, stały w postawach pełnych pokory i trwogi takiej, że u wielu pobladły usta, oczy innych nabrały wyrazu nieprzytomności, a inni jeszcze, w przedwczesnym pokłonie do samej ziemi pochyłili głowy. Synowie Pytyona przed ojcem trwogi nie czuli, niemniej i nimi władał w tej chwili niepokój. Silny Bubares czerwoną swą czapkę wciąż po kruczych i krętych włosach przesuwiał; ogromny Toraks w niecierpliwości łamał swe żylaste, ogorzałe ręce, wysoki lecz giętki Fredegund, drżącą nieco ręką głaskał rudą brodę. Co znaczyło to nagle wezwanie ich tutaj? Czy Pytyon w swej podróży nowe źródła zysków wynalazł i pragnie o nich z doświadczonymi już synami poimować? Czy też może, — strzeż i broń ich od tego, Cybello! — o własnych jakich stratach i zawiedzionych rachubach dowiedzieć się mają? Jedna tylko Gorgo w tej chwili nie lękała się niczego i nie niepokoiła się niczem; chude i spracowane ręce na białym fartuchu splótłszy, wyglądała ona małżonka z uśmiechem, który wyraz nieopisanej słodyczy rzucił na zestarzałe jej lica

i w czarnych, zmęczonych, głęboko zapadłych oczach zapalił łagodny ogień. Lecz trwoga i niepokój innych nadaremnie się okazały. Już w dźwięku głosu, którym Pytyon zdaleka zawołał: „witajcie!” zabrzmiała niezwykła wesołość, a gdy наконец oczekujący dostrzedz mogli zbliiska jego siwobrode, okrągłe, rumiane oblicze, ujrzeli na niem rozlaną radość taką, że aż tryskała mu ona z oczu, uśmiechu i każdej prawie zmarszczki policzków i czoła, nad którem iskrzyła się w słońcu wzorzysta tyara. W czasie, gdy wielbłądy w dalszym szeregu nadchodzące, nie wyłączając tego, na którym jechał syn Pytyonowy, Wamik, trudnem i usilnem pociąganiem rzemieni, u głów ich przywiązanych, do przyklęknienia zmuszano, stary Mosz, dobrowolnie i powoli zgiął swe kościste, niezgrabne kolana i wydał przytem dźwięk wpół radośny, a wpół żałośny, zdający się do zgromadzonych mówić: „witam was! o, jakże jestem zmęczony!” Z grzbietu tego doświadczonego i pieszczonego zwierzęcia, Pytyon, przez synów wspomagany, ale z rześkimi ruchy zsunął się na ziemię i na przód, tkliwie pogłaskał dobrego Mosza, potem, dotknięciem dłoni do głów i policzków powitał chylących się przed nim kornie członków swej

rodziny, aż nakoniec, jakby ani chwili dłużej powściągnąć nie mógł wezbranej w nim radości, wykrzyknął:

— Bogom niech będzie chwała! Pan nasz i świata, wielki, potężny Kserkses, już na czele wojska swego w krainę naszą wstąpił! Już pomysłnie przeprawił się przez Hyles, przebył Frygię i dwa dni drogi rozdzielają go tylko z Sardes. Za dwa dni to słońce ziemskie zaświeci nad naszą równiną a my na żywe oczy ujrzemy oblicze mocarza! Chwała bogom! radość nam! biada tym, którzy gniew jego na siebie ściągnęli!

Dla Bubaresa, Toraksa i Fredegunda wiadomość ta była zawodem, bo w niezmiernej radości, którą z twarzy ojca wyczytali, spodziewali się oznajmienia o osobistych, a jakichś niesłychanych korzyściach, albo nadziejach korzyści. Jednak ze czcią głęboką pochyłili głowy i kornie wymówili:

— Chwała niech będzie bogom, a wielkiemu Kserksesowi szczęście i długie życie!

Ale Gorgo, dla usłyszanej nowiny zupełnie obojętna, nieco gderliwym i żałosnym głosem mówiła:

— Czy długo jeszcze, Pytyonie, przed progiem swego domu zabawiać się będziesz spr-

wami do ciebie nienależącemi? Pora już przecie, abyś po dalekiej drodze posilił się i spoczął...

Nie do posiłku przecież, ani do spoczynku Pytyon czuł ochotę. Wnętrzem jego targały ra-
dośne jakieś myśli i wielkie zamiary. Chwilę w milczeniu głaskał swą siwą brodę, aż do synów, z którymi połączył się teraz i Wamik, rzekł:

— Chodźcie za mną wszyscy, a śpiesznie!

I tak szybko, a gibko, jakby mu połowa lat ubyła, dążył do wejścia domu. Tu, w progu, niskimi ukłony powitały go żony Toraksa i Bubaresa, młode i piękne kobiety, z których pierwsza, skromna i cicha, u piersi trzymała niemowlę, a druga świeciła cała od wesółych uśmiechów i bogatych ozdób stroju.

Na synowę i małego wnuka nie zwróciwszy żadnej uwagi, a z niezwykłą popędliwością odprawiając żonę, która go ciągle i w gderliwy sposób do spoczynku i jadła zachęcała, Pytyon wspaniały przedsiónek przebył i wnet u progu pierwszej komnaty twarzą obrócił się ku synom. Stali przed nim wszyscy, w postawach oczekujących i objawiających chętną gotowość do spełnienia wszelkich jego rozkazów. Bubares i Toraks mieli wzrosty i bary olbrzymów, twarze

surowe, ręce zgrubiałe, a grube ich tuniki i ciężkie sandały, zdradzały oszczędność, którą się rzadzili, zarówno jak naturę górniczych i rolniczych zajęć, którym poświęcali wszystkie swe dnie i myśli. Fredegund i Wamik, biegli handlarze, mniej przez cielesne prace ćwiczeni i hartowani, szczuplejsze mieli postawy, bogatsze stroje i bledszą śniadość na rękach i licach. Bystry spryt świecił w ich oczach, w wysokich, a szczupłych ciałach czuć było gibkość, do skoków sprężystych, zarówno jak do podstępnych zaczajów się i oczekiwań cierpliwych sposobną. Wysmukły Diloram, z delikatnemi członkami swemi i marzycielskiem wejrzeniem aksamitnych źrenic, miał pośród swych braci pozór niedorosłego pacholęcia, albo za męża przebranej niewiasty.

Milcząc i siwą brodę dłonią głaszcząc, Pytyon czas jakiś bystry wzrok w twarzy każdego ze swoich synów zatapiał, jak gdyby wartość i zdolność każdego z nich w umyśle swoim rozważał. Potem rzekł:

— Jeden z was, spełnić dziś musi zlecenie moje ważne i tajemnicze, do którego wszystkie siły rozumu swego, jak cięciwę łuku natężyć musi.

Nakształt kłosów przez wiatr pochylonych, skłoniły się nisko głowy czterech starszych jego synów i wszyscy czterej jednogłośnie odpowiedzieli:

— Sługami i niewolnikami twoimi jesteśmy. Rozkazuj!

Diloram tylko, niedbale o piedestał wykute go ze złota młodzieńca wsparty, nie pochylił głowy i milczał. To też gdy wzrok Pytyona szybko przesunął się po nim, promienistą jego radość przyćmił cień żalu, czy gniewu; na Bubaresa i Toraksa patrzył dłużej, lecz najdłużej ważył w umyśle wartość dwóch innych jeszcze swoich synów.

— Fredegund czy Wamik? — Kilka razy z zamyślonem pytaniem powtórzył, aż nakoniec zawołał:

— Wamik! tak, Wamikowi to arcyważne zadanie powierzę!

Skinąwszy na Wamika, aby szedł za nim, szybko w głąb domu pobiegł; zaś inni bracia oddalili się, obojętnie z sobą rozmawiając. Najświadomszy spraw szerokiego świata, Fredegund, opowiadał innym, że od wielu już dni w Sardes wiadano, jako Kserkses, — niech pochwalonem i błogosławionem będzie imię jego! — wojnę

przeciwko Grecyi wieść postanowił, jako różne o tem były zdania doradców i dowódców jego, lecz jako on, sławie ojca swego Daryusza, co najprędzej sprostac pragnąc, a przeciw atenczykom szczególniej najsrozsza nienawiścią płonąc, z wojskiem, jakiego nikt przedtem nie widział, ku Europie dążył. Artabana, stryja swego, który mu toczenie tej wojny odradzał, na śmierć był skazał i choć potem go ułaskawił, jednak został największym przyjacielem Mardoniusza, który mu właśnie myśl jej poddał i najzarliwiej go do niej zagrzewał. Zaciekawieni Bubares i Toraks, dopytywali się u światowszego od nich brata o różne szczegóły Kserksesowych wojsk i zamiarow, i nikt nie spostrzegł, jak przy opowiadaniu o srogim gniewie króla przeciw atenczykom, Diloram pobladł i śpiesznemi krokami oddaliwszy się od braci, przededrzwia domu wybiegł. Tam wzrokiem szukał kogoś, aż w oddali ujrzał Meliszę, prowadzącą ku Paktolowi wielbłąda Mosza i co chwilę podającą mu w drobnej dłoni pęki zerwanych traw i gałęzi. Niezgrabne, ogromnym garbem sterczące, ale łagodne, jak dziecko, zwierzę, postępowało za nią i od czasu do czasu, paszczą swą małej jej głowy i obnażonych ramion dotykało. Tymczasem

w najodleglejszej komnacie domu, Pytyon rozmawiał z Wamikiem. Z twarzą ku twarzy syna przybliżoną, z żywymi gestami rąk i głosem aż prawie zanoszącym się od nadziei i żądz, które go trawiły, mówił:

— Weź pięć, dziesięć, piętnaście wielbłądów, naładuj je kiesami złota, najwspanialszemi z ko-bierców, najcenniejszemi z dzbanów, które się w skarbcu naszym znajdują, nadewszystko zgromadź cały swój spryt, wszystką swoją przebiegłość, pokorę, wymowę i staraj się zbliżyć do królewskiego orszaku tak, aby cię zobaczyli tylko ludzie przyjaznego wzroku i chęci dla mego zamiaru pomysłnych. Oblicza swego, tak jak i bogactw, które przywieziesz, strzeż się ukazywać głupcom, a do mądrych zbliżaj się z przenikliwością jastrzębia i przebiegłością lisa...

Wamik, nietylko przez uszy, ale przez oczy, usta i oddech, zdawał się wchłaniać w siebie ojcowskie słowa. Pytyon mówił dalej:

— Przed stryjem wielkiego króla, Artabaniem, strzeż się i niech on nawet cienia twojego nie dostrzeże. Wiem od przyjaciół z Suzy, że mąż ten, za skrupulatnego sługę Ormuzda siebie ogłasza, słabych broni, potężnym się sprzeciwia i pieniędzmi gardzi... Wybaczcie mi, bo-

gowie, że osobie tak dostojnej i mocarzowi tak bliskiej, przyganiam! — lecz głupi jest Artaban!... Dlatego też najbardziej strzeż się przed nim, bo lepiej jest człowiekowi, gdy na drodze swojej spotka tygrysa — niż głupca!...

Z cichem, ale głębokiem szyderstwem śmiał się z królewskiego stryja, a potem znowu syna nauczał.

— Mardoniusza natomiast szukaj, co najlepiej myśl pana odgadłszy, wojnę z grekami jemu doradzał i mądrością swoją zdobył sobie jego łaskę. Mądry jest Mardoniusz! pierwszy w wojsku dowódzca, bogaty, lecz bogactw nigdy niesyty! Mądry! do jego ucha zbliż się. Nie w złocie już samem, ale w kupowanych za nie drogo dziełach sztuki greckiej, kocha się znowu brat królewski, Mazistas. Mniej go za to pochwalam niż Mardoniusza, lecz i przyganiać nie mogę, bo błogo jest czasem człowiekowi dziełami ludzkiego geniuszu i przemysłu zachwycać oczy i umysł. Dlatego mieć będziesz dwa dzbany greckie cudnej roboty i egipski pierścień z pięknie rzeźbionym rubinem, który niedawno za wielką cenę od jończyka w Abydos nabyłem. Mardoniusza król kocha najwięcej, ale z Mazistasem obchodzi się przyjaźnie, bo...

Tu Pytyon do cichego szeptu zniżył głos, błysk filuterności przebiegł mu w oczach.

— Bo... żona Mazistasa najpiękniejszemu i największemu z mocarzy w oko wpadła... a z bratem swoim, jak z niewolnikiem, postąpić nie mogąc, Kserkses dla siebie pobłażliwość jego zjednywa... Znajduje się tam jeszcze drugi brat królewski, a imię mu Histaspes; ten jest podobno surowy, waleczny i w wojenne cnoty swoje ufny, niemniej podobać mu się może koronne uderzenie czołem i dań jego waleczności w postaci bogato osiadłanego wierzchowca złożona... Ci są trzej, którzy wszystko mogą... Błagaj ich, aby, gdy Kserkses nadjeżdżać tu będzie, a ja twarzą do stóp jego upadnę, prośbę moją poparli przyjazną namową i życzliwemi słowy! Powiedziałem.

Wamik wyprostował się i zaiskrzone wejrzenie rzucił przez wąskie okno na niebo.

— Słońce podniosło się już wysoko — rzekł — pośpieszać muszę!

— Dwa dni drogi tylko dzieli Kserksesa od Sardes — niespokojnie zaczął Pytyon — nie później jak przed wschodem jutrzejszego słońca spotkać musisz orszak królewski, a nim drugi raz wejdzie ono na niebo, tu powrócić!

Wamik odpowiedział:

— W pokoju ciało swe, ojcze, pokrzepiaj spoczynkiem i jadłem. Ten z synów twoich, którego powiernikiem swym i nieodstępny towarzyszem uczyniłeś, dla spełnienia twej woli będzie miał wzrok jastrzębia, chód lisa i szybkość jaskółki!

Miał już odejść, ale zatrzymał go jeszcze Pytyon.

— Nadewszystko nie zapominaj — rzekł — że brzmienie głosu człowieka mdłym jest, a prośba jego obmierzła, jeżeli nie towarzyszy im dźwięk złota! Pamiętaj też o niezmiernej chwale i rozkoszy, któremi zamiar mój, gdy spełnionym będzie, cały nasz ród obdarzy i niech cię myśl o nich zagrzewa!

Po śniadaniu, od wczesnych namysłów i rachub nieco zwiędłym, a czerwoną czapkę do połowy okrytem czołem Wamika, kilka razy czule przesunął dłonią i za odchodzącym jeszcze patrząc, z głęboką radością wyrzekł:

— Ozdobą i podporą domu mojego jest ten, i niech wraz z mojem błogosławieństwem zleją się na niego wszystkie łaski bogów!

Gdy opuściwszy ustronną komnatę, Pytyon zmierzał do tej, w której zastawiono mu posi-

lek, w przedsionku ujrzał żonę swoją, Gorgę, pogrążoną w biadaniach i troskach. Spostrzegłszy go, załamała ręce i z głośnem wyrzekaniem go spotkała.

— Znowu więc z domu nieszczęsnego Wamika wygnałeś! Zaledwie po długiem niewidzeniu, ujrzały go moje oczy, już wypadł ku łakom, ludzi zwołał, wielbłądy juczyc i konie siodłać rozkazał! A wszystko z takim pośpiechem, jakby się gdziekolwiek twoje składy z towarami, albo zbożowe spichrze paliły. Niech wszystko spłonie raczej, niżbym miała syna przez okrucieństwo twoje utracić! Tak zmęczony, paść gdzie może śród drogi martwy, jak koń mający właściciela o twardem sercu! Zaledwie czarą wina pokrzepić go zdołałam i wyrwał się z rąk moich jak niewolnik, którego biczem gnają! Czy ci na posyłki niewolników niedostaje? Czy zdrowie Gorgi tyle u ciebie waży, ile liść zeschły, lub garść lichego śmiecia?

Mowy tej Pytyon słuchał z pobłażliwym i żartobliwym uśmiechem, ale gdy Gorgo o zdrowiu wspomniała, ujął jej chudą, spracowaną rękę i przyjaźnie przekonywać ją zaczął, iż młodemu i silnemu Wamikowi niebezpieczeństwo żadne nie grozi. Pamiętał dobrze, co lekarz Chi-

leas powiadał, że Gorgo ma chore serce i że wszelkie smutki i troski o groźne omdlenia ją przyprawiać i życie jej skrócić mogą. A przecież—Pytyon nie zapomniał o tem nigdy, że siły tej niewiasty i spokojne bicie jej serca nadwerężonemi zostały wtedy, gdy przez długie lata, na wzór skrzętnej pszczoły, domem jego i gromadzonemi w nim bogactwami zarządzała, synów mu rodziła i nad ich wzrostem, snem, pożywieniem, jak wiecznie pilna i trwożna kokosz czuwała, więc przyjaźnie i łagodnie troskę jej uspokajał; cóż, kiedy Gorgo wiecznie o coś troszczyć się i trwożyć musiała! Teraz zobaczyła kilkunastu niewolników, widocznie wśród najroślejszych i najsilniejszych wybranych, niosących ku oddalonej części domu wielkie jakieś, z wielbłąda zdjęte, brzemie. Czem był przedmiot starannie w grube zasłony upowity rozpoznać nie mogła, widziała tylko, że jest ogromnym i że posiada kształt, prawie bajecznie wielkiego krzesła. Znowu splasnęła w dłonie i zawołała:

— Czemże jest znowu to, co najolbrzymi z naszych traków, za ledwie udźwignąć mogą? Czy królem masz zostać, żeś tron dla siebie sporządzić kazał? A może też króla gościć u siebie zamierzasz? Mało jeszcze zaprawdę stołków na-

pełnia i dom nasz i skarbiec, abys na jeden więcej sporą zapewne garść staterów, albo i min marnie wydawał! Wolałabym już, abys za te pieniądze przywiózł piękne krosna dla Melissy i Labdy, chętniejby może te wietrznice oddawały się tkaniu.

Pytyon, tak się zapatrzył na niesiony przez niewolników przedmiot, że na gderliwą mowę żony prawie nie zważał i wielką błogość miał przytem w oczach. Kilka słów Gorgi, uderzyły jednak o słuch jego, bo z cichym, pełnym uszczęśliwienia śmiechem, odpowiedział:

— Królem nie stanę się, to niezawodnie; ale czy króla gościć u siebie nie będę? — wiedzą o tem tylko bogowie.

— Ja zaś wiem — odparła niezadowolona Gorgo, że dzisiejszego poranku wiele wina ubyć musiało w jukach wielbłądzich, bo prawisz tak, jakbyś się darami Sabazyoza hojnie uczęstował! Zaśmiał się Pytyon.

— Zapominasz, niewiasto — rzekł — gadaniem swoim tak długo mię zabawiając, żem podróżą strudzony i głodny...

Teraz Gorgo popadła w zgryzotę, że istotnie zbyt długo gadaniem swem zabawiła męża i obu dłońmi za żółty zawój się chwytając, nad wła-

szą złością i nieroztropnością biadając, wiodła go do zastawionego jadłem i napojami stołu. Bogaci lidyjczycy, na wzór greków, od których też wiele innych obyczajów przejmowali, wzajem im swoich wytworności i kunsztów używając, do jedzenia zasiadali na miękkich, ozdobnych, często drogocennych łóżach. Kiedy więc Pytyon na łożu z cedrowego drzewa, w kość słoniową zdobnem i kwiecistemi kobiercami usłanem, członki swe wyciągnął, Bubaresowa żona, świetna i wystrojona Labda, stanęła przed nim i spojrzeniami, uśmiechami, haftami, kolcami błyskając, podała mu w srebrnem naczyniu wodę, w której miał ręce zanurzyć. Uczynił to, a potem od skromnej, nieśmiałej, na stronie stojącej Anteli, wziął wyciągające ku niemu ręce niemowlę i ucałowawszy je pieścizotliwie przemawiać doń zaczął. Wtedy znowu uczucie niezmiernej dumy i radości zajaśniało mu w oczach i na czole, po otaczających spojrzał i na wnuka wskazując, rzekł.

— Zaprawdę mówię wam, że ten, kiedy na męża wyrośnie, z chlubą rówieśnikom opowiadać będzie, jak w domu dziadka jego, Pytyona, wielki Kserkses wspaniałe, gościnne dary przyjmował!

III.

Kiedy Wamik z tajemniczej podróży swej powrócił a Pytyon po krótkiej z nim rozmowie oznajmił członkom swojej rodziny, że ciągnący na wojnę z grekami Kserkses, wraz z orszakiem i pułkiem nieodstępnej swej straży, w domu jego gościć będzie, Gorgo popadła zrazu w gniew i rozpacz. Dziwna to była niewiasta. Gdy z rękoma na białym fartuchu splecionemi, wysmukła i chuda, stała w spokoju, żadnym smutkiem ani kłopotem niedotknięta, rysy jej, pomimo chudości i uwiednienia, delikatne i piękne, posiadały wyraz czarującej i niewymownej słodyczy, z cichem, do twarzy tej, jakby przyrośłem cierpieniem złączonej. Szczególniej czarne jej oczy pod pomarszczonem czołem i żółtym turbanem zapadłe, zdawały się wtedy zawierać w sobie morze słodyczy i cierpienia. Niewiele ją znający, ze zdumieniem zapytywali siebie: nad czem i kiedy cierpieć mogła żona bogacza, będącego także, jak powszechnie było wiadomem, przywiązany, wyrozumiały i wiernym małżonkiem? Ale ci, którzy ją od wiosennych dni życia jej znali, wiedzieli o tem, z jak niestrudzoną i namiętą gorliwością dopomagała ona

Pytyonowi w dziele zbierania bogactw i ile trudów ciężkich, nocy bezsennych, zachodów i trosk nużących, kosztowało ją to zacięte, bezustanne, wierne dążenie ku najwyższemu celowi pragnień, dumy i uwielbienia jej męża. Wiecznie czujna i ruchliwa, z otwartem na wszystko okiem, z wytężonym słuchem i rękoma, nie gardzącemi żadną robotą, ba, owszem, bądź z potrzeby, bądź dla przykładu i nauki innych z zapalem i wytrwałością imającemi się każdej, była ona uosobieniem tej zapobiegliwości i oszczędności, pilnej, biegłej, niezmordowanej, która najdrobniejszego pyłku bogactwa żarliwie od zmarnowania się strzeże i po najdrobniejszy gotową jest biedz dopóty, dopóki z sił obrona, pośród drogi nie upadnie. Jednak nie zdawało się wcale, aby Gorgo sama przez się ubóstwiała bogactwa i pożywała dostarczanych przez nie rozkoszy. Kiedy Pytyon, w wielkich miastach z dostojnikami państwa, dumny swym znaczeniem, do biesiadnych stołów zasiadał a na rynkach, z nieskończoną lubością widział ciekawie na niego zwracające się oczy i kornie przed nim chylące się głowy tłumów, ona, pokorna, prawie nikomu nieznana i szerokiego świata nieznająca, jego tylko po powro-

cie z każdej podróży śpiesznie i chciwie o wszystkie jej szczegóły zapytywała i namiętnie, prawie dziecinnie jego tryumfem i powodzeniem każdym się cieszyła. Kiedy on wśród pożytków dostarczanych przez bogactwo, oprócz uczucia siły i władzy, widział jeszcze zadowolenie zmysłów, a na mięko usłanem łożu wyciągnięty z rozkoszą przybliżał do ust wykwintne jadło i wybornem winem napełnioną czarę, — ona, w wiecznej gorączce drobiazgowych, nigdy nieustających zachodów, na najwadszych stołkach przysiadła tylko jak ptak na gałęzi, jadła tyle co ptak i jak on piła najchętniej czystą, źródlaną wodę. Pytyon kochał się także w stroju kosztownym, którego blaski i barwy oczy ludzkie na niego zwracały i podziwienie lub zazdrość budziły. Gorgo, drogocennych naszyjników, naramienników, kolców, których przecież całe skrzynie posiadała, nie nosiła nigdy, żółte w perskie wzory tkane turbany, po lat wiele głowę jej osłaniały, a na białych fartuchach, z kosztownych wprawdzie materyj sporządzonych, często spostrzedz można było pył i plamy, ze skarbcu, śpichrzów, z kuchen, z szop i namiotów, przez tłumy niewolników zamieszkiwanych, wyniesione. W skarbcu strzegła całości

i nieskazitelnej świeżości mnóstwa napelniających go przedmiotów, ze śpichrzów wydzielala codzienną żywność dla mnóstwa zwierząt i ludzi, w kuchniach doglądała porządku i oszczędności, do szop i namiotów nakoniec wnosila bacznosc więziennego stróża i srogość dozorczy robót. Nietylko baczną i surową, ale często nawet srogą dla niewolników i niewolnic swoich bywała; z łatwością jednak spostrzedz było można, że srogość ta nie pochodziła u niej z przyrodzonej twardości serca, albo okrutnych instynktów, lecz z tej trwogi o uronienie najmniejszego pyłku bogactwa i z żądzy powiększenia go choćby o pyłek i co by były panującami i przewodniemi cechami istoty jej i życia.

Na pozór więc, połączenie srogości i słodczy, chciwości mienia i zupełnej dla owoców jego obojętności, doskonałego zadowolenia ze swego losu i wyrytego na twarzy cierpienia, czyniło z tej kobiety trudną do zrozumienia zagadkę; ale Pytyon, dumnym był cnotami żony, które za owoc swych nauk uznawał, wiedział ile pożytków zawdzięczał jej mrówczym i nakształt mrówek, ze żdziebeł gmachy wznoszącym staraniom, a wdzięczność i poważanie dla niej łączyło się w nim z żywym jeszcze odblaskiem

tych uczuć, które go niegdyś do zaślubienia świeżo rozkwitłej, czarnookiej dziewczicy skłoniły. Gorgo wiedziała dobrze o tych uczuciach męża, synowie byli dla niej źródłem radości i koroną dumy, nazywała więc siebie i czuła się szczęśliwą. Jednak pomimo to, dziwnie przedwcześnie postarzała i uwiędła, umysł jej stał się niespokojnym i wiecznie stroskanym a serce chorem. Możliwyby rzec, że na twarz jej, to złoto, nad którem stróżowała tak czujnie i które tak pilnie zbierała, rzuciło swój żółty odblask; że usta jej od nieustannego nauczania i napominania domowników zbielewały i zwędły; że skargi i jęki niewolnic, które gromiła i karcie rozkazywała, wyrazem cierpienia odbiły się w jej oczach. Od czasu szczególnie, gdy najmłodszy i najulubieńszy z synów jej, Diloram, zniknął był z domu i oczu, tak że go przez dwa lata za zginionego poczytywano, Gorgo chorzeć zaczęła i dawnych sił swych odzyskać nie mogła. Bogatą była i szczęśliwą, jednak zmęczona, chora i jak liść od wichrów, miotana niepokojem. Bądź co bądź, joński lekarz Chileas, ilekroć widział Pytyona, szeptał mu zawsze przestrożę, aby Gorgo zgryzot, ani silnych poruszeń duszy nie doświadczała, bo gdy on dłoń na jej sercu trzymał, uczył

tam strunę, mogącą przy lada targnięciu pęknąć wraz z życiem. Pytyon więc usiłował uciszać wieczne niepokoje żony i smutków lub trosk jej oszczędzać; teraz przecież uczynić tego nie mógł. Teraz, widział on przed sobą takie szczęście, taką rozkosz, taką nieśmiertelną chwałę, że zdobyć je musiał i wymagał, aby Gorgo pomocną mu w tem była. Ale wymagania tego, w sposób wyraźny, a tem mniej twardy, objawiać nie potrzebował; kobieta zrazu wyrzekaniem i prawie rozpaczą wybuchnęła nad marnotrawstwem męża i ogromnemi stratami, które mu te królewskie odwiedziny sprawić będą musiały, z żalonym zawodzeniem i łamiąc ręce biadała, samej zaś sobie nieumiejętność postępowania w wypadkach takich i ogarniający ją strach, gorzko, a głośno wyrzucała.

— Co mi tam znaczy ten twój ubóstwiany Kserkses! — wołała — nie znam go, zatem i kochać nie mogę i najlżejszej żądzy widzenia go nie uczuвам! To tylko wiem, że straszna tłuszcza ludzi do domu mi wejdzie, wszystko, co jest w nim pożre, wypije, zniszczy, a potem jeszcze wydrwi Pytyona za to, że znaczną część swego majątku wydał na ucztę dla pana, który o niego dbać będzie tyle, ile o zgniłą brzoskwinię.

I jakichże to jeszcze ludzi zobaczyć mi tu i ugaszczać przyjdzie! Sam król, królewscy bracia i krewni, dworscy! O, ratujcie mię, bogowie, bo zginę ze strachu i wstydu! Już teraz głowa o mało mi z szyi nie spada, na myśl, jak ja przed mężami tymi stanę, co do nich mówić będę!

— Nie takiej, jak ja żony, trzeba ci było Pytyonie! Królowny ci trzeba było, aby wielkość i chwałę twego domu, dostojnie zachować umiała! Jam prosta, głupia, kamieniem ci leżę przed stopą, worem marnego piasku na plecach! Bodajbym lepiej nie rodziła się była, lub rychło umarła!

Takiem gderaniem i zawodzeniem dom napelniając, zwoływała przecież i do ogrodu wiodła gromadę niewolnic, które gałęzie i liście ziół świętych: miotu i koniczyny, dla usłania niemi drogi przed nadjeżdżającym ścinać miały, ze składu wonności wybierała najwyborniejsze i własnymi rękoma wsypywała je do najpiękniejszych kadzielnic, potem, do innej części domu przebiegając, dobywała ze skarbcza najpyśniejsze łoża, kobierce, misy, dzbany, puhary, aż nakoniec, przygotowania, które czyniła, zachwyciły ją samą, a radość i duma na twarzy Pytyona rozlane, przejęły ją także radością i du-

nią. To, co pełnić zaczynała ze zgryzotą i głośną troską, pełniła już dalej z zapałem i pragnieniem uczynienia wszystkiego jaknajlepiej. Od zapału tego, rumieńce wybiły się na chude jej policzki, oczy ognście zaświeciły, a głowę także w krótkich przestankach pracy wysoko podnosiła, zaufanym i najwięcej lubionym niewolnikom szeroko rozpowiadając, jakiego to potężnego władzcę Pytyon w swym domu ugaszczać będzie, jak wielką chlubę wypadek ten całemu rodowi jej przyniesie i jak niesłychane łaski królewskie na jej męża i synów przez to spłynąć mogą. Dwie godziny nie upłynęły, a ten Kserkses, o którym zrazu tak lekceważąco i niechętnie wspominała, wydał się jej dobroczynem i ukochanem bóstwem, dla którego cześć i tęsknotę uczuła. Czuła się więc dumną i uszczęśliwioną, a zarazem zmęczoną i tak niespokojną, że ten niepokój zdawał się ją wypełniać od wierzchu czaszki, do samych kończyn stóp.

Zresztą, nie ona jedna tylko dnia tego, kłopotowała się i martwiła. Zawrotnym ruchem zakipiało wszystko, cokolwiek żyło w domu Pytyona. Pod dozorem Toraksa, na wielkich łąkach, zabijano ogromną ilość baranów, wołów, kozłat, jagniąt i wielbłądzą; gdzieindziej, pod nożami

oprawców, padały liczne stada pawiów, gołębi, oswojonych przepiórek i złotoskrzydłych bażantów, które z nad brzegów Fezu sprowadził był Pytyon, a Gorgo nad podziw pomyślnie rozmnażać umiała. Gdzieindziej, z beczek, do dzbanów i amfor lały się obficie strumienie najwyborniejszych, w różnych stronach świata zrodzonych win; tam ustawiano, lub rozwieszano wydobyte ze skarbcza sprzęty i ozdoby a ówdzie wito wieniec z najprzepyszniejszych kwiatów i przygotowywano wory złotego piasku, po którym koła wozów toczyć się i kopyta rumaków perskich stąpać miały. Były też w domu takie komnaty, w których zajmowano się strojami zarówno panów jak sług, mężów, jak niewiast. Tu olśniewały wzrok rozwieszone po sprzętach i rozłożone po kobiercach wzorzyste, kwieciste, z najrzadszych jedwabiów tkane, złotem, srebrem i najwspanialszemi haftami zdobne suknie, wśród których tysiącem blasków jaśniały drogocenne kamienie pasów, naszyjników, naramienników, spięć i kolców. W tem miejscu królowała i przewodniczyła Labda. Ona to w rzeczach tych była mistrzynią smaku i znawstwa i wśród nich się znajdując, rozpływała się w rozkoszy. Gorzała też cała od barw i ogni przy mierzanych

materyj i klejnotów, a więcej jeszcze od nadziei ukazania się jutro królewskiemu dworowi w pełni piękności i bogactwa. Znudzona życiem, widziona u boku surowego Bubaresa i gderliwej Gorgi, drżała od niecierpliwości zobaczenia tych perskich mężów, którzy byli głośnymi na świat cały miłośnikami niewiast i zbytku i od tajemnych, niewyraźnych, ale dreszczami przejmujących ją nadziei. Melissa dopomagała Labdzie, rozpromieniona także, wesoła, zdjęta ciekawością zobaczenia osobliwych ludzi i radością przyodziania się w ubiór piękny i bogaty. Po raz pierwszy w życiu, włożyć na siebie miała wytkaną w Milecie materyę jedwabną i turkusy zmieszane z perłami; żwawo więc i ochotnie uwijała się pośród stosów nagromadzonych sukien i klejnotów, głośno gwarząc z Labdą i niewolnicami, których przystrojenie powierzono jej zostało, a które miały z nią, Antelą i Labdą na czele, sypać przed stopy królewskiego orszaku kwiaty i złoto. Co chwilę stawiała sama lub powierzone sobie niewolnice ustawiała przed stojącym u ściany metalowem zwierciadłem i przywoływała na naradę Labdę. Niewolnicom, z pośród najmłodszych i najpiękniejszych wybranym, rozwiązały się także języki, ochotnie

z tej chwili swobody i uciechy korzystały. Gwar głosów niewieścich, ruch drobnych stóp, migotanie ciał białych lub śniadych, młodych i kształtnych, co chwilę wyłaniających się z szat przy mierzanych i znowu się w nich kryjących, rozpuszczane i w różny sposób splatane włosy długie, jedwabiste, czarne, brunatne i rude, składowane na nich i wciąż zmieniane wieńce z kwiatów i przepaski z drogich metali, napępniały komnatę, do której czasem uszczęśliwiona lecz od zmęczenia ciężko dysząca, wpadała Gorgo. Wnet też na rozbawione i rozgadane kobiety gderać zaczynała.

— Niech bogowie zlitują się nad nami! — załamując ręce wołała; — roboty pozostało tyle, a wyście nie skończyły z temi marnemi strojami! Wstyd wam, Labdo i Melisso! Powinnybyście już oddawna przebywać w kuchniach i jadalniach, gdzie ja przed chwilą, o mało zgniewu i przerażenia nie postradała życia, takie tam panuje niedbalstwo i lenistwo! Lecz wam się zdaje, że ci mężowie perscy dla was tylko mieć będą oczy i że wdziękami swemi w zdumienie ich wprowadzicie. Tymczasem, postępujecie głupio, a wieście o tem, że hebrajczyków przysłowie mówi: piękność głupiej kobiety, to złote

ozdoby na głowie świni! Oto macie! Oto co powiedziała wam stara Gorgo!

Zgromiwszy jeszcze niewolnice za zbyt głośne mówienie i oddawanie się pustej igraszce, odbiegła, zaś Labda wybuchnęła za nią nieprzyjaznym i pogardliwym śmiechem. Gardziła ona pracowitością i skromnością obyczajów świekry, a jej gderanie, ostreimi słowy często przeplatane, za nieznośne prostactwo uważała. Do krosien i pawich lub bażancich stad przez Gorgę napędzana, za brak łagodności względem Bubaresa gromiona, Labda z jękiem żalu i gniewu mawiała czasem:

— Wolałabym życie pędzić pośród dzikich scytów, niż u boku tej wiecznie gdaczącej kokoszy. Przeklętych niech będzie dzień, w którym ojciec mój, mnie i bogate moje wiano oddał Pytyonowemu synowi, a z wesołej i świetnej Zelanei wygnał mię do tej nudnej i ponurej dziury!

Dziś przecież Bubaresowa żona zbyt rozweseloną i wzruszoną była oczekiwaniem dnia jutrzejszego, aby smucić się i złorzeczyć mogła. Głośno i wzgardliwie wyśmiewała ona Antelę, która przed chwilą z wielkich łąk, od męża powróciwszy, stała z dzieckiem na ręku, o strój

nie dbając, smutna i zamyślona. Przez Melisę o przyczynę smutku zapytana, łagodnie i z cicha mówiła, że zasmuca ją zmartwienie Toraksa, którego on doświadcza na widok najpiękniejszego czoła trzód swoich, padającego pod nożem oprawców. Jest on, najpewniej czcicielem i niewolnikiem wielkiego króla i nie skąpi dla niego żadnych hołdów, ani darów. Ale gdy te barany, które niedawno rozmnożył, takie śnieżyscie białe, a w tak wełniste i ogromne ogony uposażone, że je trzeba na podporach drewnianych składać, aby nie wlokły się po ziemi, umierając, zwracają ku niemu łagodne, żałosne oczy; kiedy wielbłądzice wielkim pędem i z przeraźliwym piskiem biegną za porywanymi im wielbłądzętami, a płaczliwe zawrodoenie owiec, którym zabrano jagnięta, miesza się w powietrzu z rozpaczonym rykiem zarzynanych byków, Toraks łyży ma w oczach, ten silny, ogromny, ogorzały Toraks ma w oczach łyży!... O, bo Toraks tak kocha swoją rolę i swoje trzody, że ona często zazdrośną o nie bywa, choć także kocha dobre zwierzęta, wraz z mężem nad nimi czuwa i wszystko w ogóle, co Toraksa obchodzi, raduje lub smuci, całym swym sercem podziela...

Tak mówiła i opowiadała powolna, łagodna Antela, w przestankach pieszcząc i całując dziecko, a Labda drwiła z miłości jej dla męża i litości nad głupiem zwierzętami, którym sprawia wielką cześć i szczęście, zabijając je na ofiarę wielkiemu królowi i otaczającym go mężom perskim. Wiadomo zresztą było, że z ust Anteli wychodziły wiecznie słowa: dobry Toraks! piękny Toraks! o jakże miłym, słodkim, nieporównanym jest mąż mój Toraks!

— Kiedy jutro persów zobaczysz, kończyła Labda — ujrzysz różnicę, która twego Toraksa i cały ród jego, z nimi przedziela. W mojej frygijskiej Zelanei, w domu ojca mojego widywałem perskich rycerzy, wiem tedy, że wznoszą się oni nad lidijskimi handlarzami i prostytutkami, tak jak bogowie nad śmiertelnymi. Co do mnie, chętniebym się zgodziła nigdy więcej Bubaresa nie ujrzeć, a w zamian choć dzień jeden w grodzie tych ziemskich bogów przepędzić!

Melissa nie dzieliła uczuć i mniemań Labdy i obejmując Antelę, wraz z nią smuciła się śmiercią tylu dobrych zwierząt. Płonąc rumieńcem, do ucha towarzyszki szepnęła:

— Niechaj cię żarty Labdy nie bolą! Jam przyjaciółką twoją, i Dilorama mego kocham

tak, jak ty Toraksa. Ale — dodała po chwili — ciekawą jestem ujrzec tych perskich mężów i cudnie, Antelo, na włosach moich jaśnieje przepaska z turkusów i pereł!

Kiedy tak działo się wewnątrz domu, zewnątrz niego, w kwiecistym ogrodzie, w oliwnych, śliwowych i brzoskwiniowych sadach, na szerokich trawnikach, pośród kolumn gęstym lasem przysłaniających ciemne ściany domu, roił się tłum niewolników różnych rodów, więteż i różnych kształtów i barw ciała. Byli tam z olbrzymiemi wzrostami i barwami z siły swej słynni, a na wpół dzicy trakowie, ociężali i leniwi lecz wielcy także i największe ciężary dźwigać mogący kapadoci, ruchliwi, kształtni, pojętni, na targach w Krecie i Delos kupieni grecy; głęboko śniadzi, przebiegli fenicyanie, etyopi miedzianoskórzy, podstępem w niewolę ujęci; najdrożsi, biali, wysmukli, płowowłosi o giętkich ciałach i smutnem wejrzeniu, które za rodzinami pustyniami tęsknić się zdawało, scytowie.

Wszyscy oni wpół nadzy, bo w krótkich i wązkich sukniach, jaskrawo odbijających na ich śniadych, białych, lub brązowych ciałach, w mitrach czyli czapkach równie jaskrawych, albo w błyszczących opaskach na głowach, dążyli

we wsze strony, roili się jak mrowisko, w ramionach, w dłoniach nieśli najrozmaitsze ciężkie i lekkie, ogromne i wysmukłe, błyszczące, barwne, wonne przedmioty. Z pośród ruchu tego, niewiedzieć z kąd i ze wszystkich, zda się, miejsc zarazem, wysunęła się Gorgo i przed przypatrującym się temuż z tarasu mężem stała.

— Pora już może — ze zgryźliwym nieco wyrzutem, zaczęła — abyś odsłonił przedemną tajemnicę tego dziwnego przedmiotu, który z ostatniej podróży swojej przywiozłeś! Już oglądałam go ze stron wszystkich, lecz z powodu okrywających go, a pieczęciami zamkniętych osłon, za nic istoty jego i użytku, do którego służyć ma, zgadnąć nie mogłam. Coś to jest ogromnego, co ma schody i poręcze; namacałam nawet głowy jakieś... może lwów, albo innych zwierząt. Osłon zdjąć bez twego rozkazu nie śmiałam i ciężka trapi mnie zgryzota, bo czyż na to panią domu swego mię uczyniłeś, abym wstydem płonąć miała przed niewolnikami, gdy mię oni o znaczenie rzeczy tej zapytują, a ja im odpowiadać muszę: „mąż mój i pan, widoku jej niegodnym oczom moim wzbronili!“

Pytyon zamyślony, ale pogodny, dłonią gładził siwą, długą swą brodę, a wysłuchawszy słów żony przyjaźnie ją na jej ramieniu położył i z żartobliwym uśmiechem odpowiedział:

— Mniej wielbłdziemu grzbietowi ciężą złożone na nim brzemiona, niż niewieściemu językowi przyznanie się do niewiadomości! Potężnemi być muszą bogowie, skoro stworzyli rzeczy tak wielkie jak niewieścia ciekawość i gadaliwość!

Gorgo nie rozgniewała się wcale. Miłą jej była pieszczota dłoni małżonka i wesoła żartobliwość, z jaką przemawiał. Niemniej i od zamiaru swego nie odstąpiła także. Ręce splótłszy na fartuchu, błyszczącym od oliwy, którą tylko co lała do amfor, wzniosła ku Pytyonowi swoje słodkie, cierpliwe oczy i z prośbą szepnęła...

— Czy to tron dla Kserksesa, Pytyonie?

Ale Pytyon z wytężeniem swoich starych, jednak błyszczących i bystrych oczu, spoglądał daleko, tam, gdzie od strony Sardes, z wzgórz kasztanowych ukazały się dwa wielbłądy, niosące na sobie dwu jeźdźców.

— Patrz, Gorgo — z uradowaniem zawołał — oto joneczyk Chileas, ze sługą swoim do nas przybywa! Cieszę się, że resztę dnia dzisiejsze-

go na rozmowie z tym lisem w człowieczej postaci przepędzę i że on jutro, chwałę moją na własne oczy zobaczywszy, szeroko o niej po szerokim świecie będzie mógł rozpowiadać!

Gorgo ucieszyła się także. Lubiła ona lekarza Chileasa i zarówno jak Pytyona radowało ją to, że będzie on świadkiem nadzwyczajnych rzeczy, które w domu jej jutro dzieć się miały. Niezwykłym też i budzącym ciekawość człowiekiem był Chileas. We wczesnej młodości z jednej z wysp jońskich do Sardes przybyły i tu osiadły, ściśnieni na pozór stosunkami związały się z Lidyą i jej ludnością, o nic zdając się nie dbać, prócz o sztukę lekarską, w której był biegłym, i o dostarczane mu przez nią dochody. Wysoki, cienki, z bladą, podłużną twarzą z przebiegłymi światelkami w zielonych oczach, dla przebywającego w Sardes wielkorządcy, czyli satrapy perskiego, a także dla innych dostojników państwa i wszystkich możliwych świata, miewał on giętkie, niskie pokłony i pokorne, potulne uśmiechy na wąskich ustach. Zdawał się bardzo kochać zarówno lidyjczyków, jak ich panów i władców — persów, a ta miłość, którą bogatym pacjentom swoim okazywał, przyczyniała się znacznie do szerokiego przed nim

otwierania się ich sakiew. Prostacze niemal mając potrzeby, a znaczne dochody, rychło był sobie zebrał wielki majątek, którego jednak teraz już nie posiadał. Jakim sposobem go utracił i kędy przepadli dwaj zaledwie dorośli jego synowie, po których zniknięciu żadnych już nie posiadał dzieci? — nikt na pewno nie wiedział, choć ci i owi tworzyli o tem domysły, nie zgadzające się wcale, ani z głośno wyznawanemi uczuciami, ani z jawnem postępowaniem Chileasa. Ci i owi zauważyli i zapamiętali, że w niedawno minionej porze, kiedy jończycy, tak na wyspach jońskich jak na wybrzeżach Małej Azji osiedli, wielki i zrazu zwycięzki bunt przeciw perskiemu panowaniu podnieśli, Chileas, często wydalać się zaczął z Sardes i krótsze lub dłuższe, lecz zawsze tajemnicze odhywać podróże. W jedną z takich podróży zabrał młodziutkich synów i nietylko powrócił bez nich, ale nikt już ich więcej w Lidyi nie zobaczył. Pokłony, które składał dostojnikom i urzędnikom perskim stały się wówczas jeszcze głębszemi, niższemi, o mało w nich czołem ziemi nie dotykał, — głos też, jakim przemawiał do nich, posiadał słodycz miodu i trwożliwość dziecka. Jednak ten i ów z pośród lidyjczyków zauważył, że gdy

Chileas oblicze swe od zachwyconego jego pokłonami i słodkimi słowy persa odwracał, zwykle światelka jego zielonawych źrenic przemieniały się w płomień, a wąskie usta, przymilony uśmiech swój tracąc, wykrzywiały się bardzo dziwnie. Wnet jednak spuszczał on powieki, zaostrzonym liniom warg zwykłą im miękkość przywracał, ręce u piersi spletał, a przed tymi, którzy zmianę w twarzy jego zaszła spostrzedz mogli, głośno i wymownie na zuchwalstwo i niegodziwość zbuntowanych jończyków, wyrzekać zaczynał. Kiedy ci ostatni, zrazu wielką walecznością, wielkie i niespodziewane powodzenie zdobywając, zapuścili się aż w głąb Lidyi i chwilowo Sardes opanowawszy, zburzyli w niem i spalili wspaniałą świątynię Cybelli, Chileas wobec persów ręce załamywał i nad ich klęską deszczem łez płakał, ale tego samego dnia, ktoś dobrze go znający, ujrzał o zmroku i w miejscu samotnem człowieka tak szaloną wesołością zdjętego, że głośne wybuchy śmiechu z siebie wydając, aż taczał się z radości po gruzach zburzonej świątyni i osłupiał ze zdumienia, w człowieku tym Chileasa poznawszy. O przyczynę tej tak niezgodnej ze smutkiem persów, a prawie dzikiej wesołości zapytany, Chileas odpowie-

dział, że to, co się pozornie wesołością wydawać mogło, było w nim właśnie wybuchem rozpacz.

— Bo — mówił — bogowie tak utworzyli człowieka, że zarówno radość niezmierna, jak boleść nieznośna, w żelazne jakby kleszcze chwytając go za gardło wydobywają z niego śmiech dziki i w ruchy szalone wprawiają mu ciało. W szale radości i w szale boleści umierają niekiedy śmiertelni...

A gdy tak mówił i tłumaczył, okazał się znowu tak mądrym lekarzem i uniżonym człekiem, że słuchacza zupełnie przekonał.

Na stratę majątku swego nie wyrzekał przed nikim, a zapytany o jej przyczynę, przypisywał ją własnym, nieroztropnym przedsięwzięciom i oszustwu handlarzy, którym go był powierzył. O synach mówił, że w dalekiej Sycylii trudnią się sztuką lekarską, której ich wyuczył i wcale dobrego powodzenia używają, a mówiąc o tem, spuszczał zawsze powieki; zapewne ze wstydu, że tak młode dzieci od boku swego oddalił, aby mu nie ciążyły i same walczyły z losem. Skąpstwa tego nikt zresztą nie poczytywał mu za winę, bo Chileas ubogim był teraz, żył z jednym tylko sługą, który mu też w wykonywaniu lekarskich czynności dopomagał a jesz-

cze pokorniejszym, słodszy, niższym stał się, niż przed owem, w końcu przez persów zgniecionem powstaniem jońskim. Pytyon zbyt wiele miał przenikliwości i stosunków z ludźmi, aby w życiu jończyka mógł nie domyślać się wielu rzeczy, własnym jego uczuciom i przekonaniom przeciwnych. Ale zabawiał go ten człowiek, w którego mowie trudno mu było czasem odróżnić szczerłość od udania i który w nim nieraz wielką ciekawość obudzał. Odkąd zresztą utracił majątek, Pytyon litował się nad nim, jak nad kimś, kto najwyższe dobro przez głupotę swoją z rąk wypuścił, jakkolwiek z drugiej strony szacunek budziła w nim przebiegłość i zręczność jończyka, które w tak wysokim, jak u niego stopniu, przedstawiały już pewną siłę, nie fizyczną wprawdzie, w umyśle nie w ciele ani w metalu spoczywającą, ale Pytyon poważał siłę wszelakiej natury, we wszelkich znanych mu jej postaciach.

Teraz Chileas z wielbłąda swego zsunawszy się i niskim pokłonem pana domu, a słodkim uśmiechem i złożonemi na piersi dłońmi małżonkę jego powitawszy, ramiona szeroko rozpostarł, w górę je wzniosł i wielkim głosem zawołał:

— Jakże potężnym i wielkim czuć się musisz Pytyonie, nad tak liczną trzodą niewolników, którą tu uwijającą się widzę, panując i wszystkie te drogocенności, które oni teraz na plecach i ramionach swoich dźwigają, posiadając! Czegoż ci już więcej do szczęścia brakować będzie, gdy jeszcze w domu swoim ziemskiego boga, najpotężniejszego, najpiękniejszego, najlitościwszego Kserksesa ugościsz!

— Jakto? — zadziwił się Pytyon — więc wiadomość o prośbie, którą do wielkiego króla nędzny jego niewolnik ma zanieść, doszła już uszu twoich, Chileasie?

— Ależ powtarza ją dzisiaj cała ludność Sardes, ze wzniesionemi od zachwyty oczami — odpowiedział jończyk; o świcie już syn twój, Fredegund, odwiedził kapłanów Cybelli, w twojem imieniu błagając, aby kapłani i kapłanki jutro na kasztanowych wzgórzach, za pomyślność kserksesowych przedsięwzięć ofiary złożyli, a zarazem oczy mocarza ucieszyli widokiem nieznanym jemu dotąd, na cześć Cybelli odbywanych procesyj i orgij. Przytem, połowę przynajmniej zawartości twoich śpichrzów, na wozach i wielbłądach z Sardes on wywoził i przed wszystkimi, którzy go o przyczynę tego zapy-

tywali, chętnie i z radością ją ogłaszał. Dziwią się ludzie śmiałości pytyonowych chęci, sprawiedliwą dumę jego chwałą i więcej jeszcze niż dotąd gotują się przed nim czołami uderzyć. Ja zaś przybyłem śpiesznie, aby w dokonaniu tego być pierwszym!

Ze złożonemi na piersi dłońmi, nowym, niższym od pierwszego pokłonem przed lidyjskim bogaczem zgiał się uczony joneczyk, a gdy wysoką i cienką postać swą wyprostował, Pytyon przyjaźnie do wnętrza domu go zaprosił. Radość niesłychaną uczuł na wieść, że wszyscy w Sardes, wiedzą już o tem, na co ważyć się ośmielił, a śmiałość jego i niedaleką chwałę podziwiają. Radość ta wznieciła w nim dla biedaka, który ją przyniósł, uprzejmość tak niezwykłą, że do zastawionego jadłem stołu go przywiodłszy, zażądał, aby na jednym z nim łożu on spoczął. Chętnie i pokornie żądanie to spełnił Chileas, gdy zaś, w nieobecności młodszych niewiast, Gorgo z naczyniem napełnionem wodą ku dwom mężom podeszła, przenikliwe wejrzenie w twarz jej zatopił, a później podanem przez nią, cienkiem i bogato haftowanem płótnem umyte ręce ocierając, ku Pytyonowi się zwrócił.

— Małżonka twoja zanadto trudzi się i kłopotczy — rzekł z powagą. Oddech jej pośpiesznym, a twarz zanadto zarumienioną się stała. Mówiłem ci już, Pytyonie, że sił swoich szcędzić, a nad spokojem, jak nad źrenicą oka, czuwać powinna. Ale ty, chociaż najmędrszy z ludzi, lidyjczykiem jesteś, więc pamięć masz krótką!

Przy ostatnich słowach uśmiech, w którym, gdyby trwał dłużej, szyderstwo wyczytałyby można, przesłiznął mu się po ustach. Pytyon go wcale nie spostrzegł i wesoło zawołał:

— Pogrózkami żadnemi nie pozwolę sobie radości mojej mącić!

Jeżeli Gorgo zbyt zbytnim kłopotaniem się dziś zaszkodziła sobie, szczęście, którego dostąpi jutro, wyleczy ją lepiej, niż twoje, gościu mój, zioła i maście.

Chileas znowu ramiona ku górze wyciągnął.

— O mądrości najwyższa, która towarzyszysz zawsze wielkim tego świata! — z głębokim przejęciem się wyrzekł. — Masz słusność, Pytyonie, zgromadzanie bogactw krzepiło zawsze siły małżonki twojej; ich słodkie owoce, które pospołu zrywacie będziecie jutro, uzdrowią ją do reszty! Piję na przepowiednię i chwałę

tych wybornych, boskich owoców, któremi was kserksesowe odwiedziny jutro osypią!

Do ust przychylił srebrną, kunsztownie rznąętą czarę, a nad czarą, w cieniu ciemnego, ubo-giego zawoju, który okrywał mu głowę — bo już oddawna porzucił był strój grecki, — zielonawe oczy jego poruszały się żywo, błyskały, śmiały się, zdając się zdradzać jakiś wewnętrzny, tajemny chichot. Pytyon, białemi palcami delikatnie skrzydło pieczonego ptaka z mięsa odzierając, zapytał:

— Cóż znaczyła, gościu mój, wzmianka two-ja, o przyrodzonej jakoby lidyjczykom krótkiej pamięci? Pewien bowiem jestem, że w długiem mojem życiu, nie zapomniałem ani razu o drob-nym obolu, który wierzycielowi oddać, lub od dłużnika odebrać byłem powinien. Nigdy też nie pozostawiłem usługi bez nagrody, urazy bez kary, sposobności do zysku lub wyniesienia się, bez spróbowania przynajmniej, czy się na moją stronę nie nakłoni. Dobrą więc pamięć mam, a przecież lidyjczykiem jestem.

Ze smakiem zjadając wyborną brzoskwinię — bo owoce nad mięso przekładał, — i bardzo za-jęty wydobywaniem pestki z jej różowego i so-

czystego mięszu, — Chileas, powoli, spokojnie, obojętnie mówić zaczął:

— Nie takiej natury pamięć na myśli miałem, gdym wspomniał o tem największem szczęściu, którem bogowie lidyjczyków obdarzyli, a którem jest zaprawdę łatwe zapominanie niezbyt dalekiej przeszłości. Nie tak to dawno bowiem jeszcze Lidya była krajem wolnym, potężnym i nie tak to dawno persowie pod swoją władzę ją podbili. Któżby dziś jednak w zadowolonych z losu swego niewolników, niedawnych panów rozpoznał? Nawet w samotnych górach Lidyi, żadne już echo przeszłości jej nie wspomina!

— A gdyby to czyniło — z uniesieniem zawołał Pytyon — pierwszy wdarłbym się pomiędzy najdziksze szczyty, aby wynaleźć je i zdławić! Na żywe oczy, widzieliśmy przecie usługi przez echa takie oddane niedawno jończykom. Szaleństwem im one nappełniły głowy i jakąż z tego korzyść odnieśli? Legł w gruzach wspinały Milet, pospadały głowy z karków najdosłojniejszych, opustoszały najżyźniejsze pola i napředniejsze sakwy, a nienawiść potężnych persów większem niż Tmolus brzemieniem legła na wszystkim i wszystkich.... Oto po-

żytki, które jónczykom przyniosła ich — dobra pamięć!

Przez cały ciąg mowy Pytyona, Chileas potwierdzająco trząsał głową, oczami radośnie błyskał, ramiona na znak tryumfu rozkładał i wznosił.

— A cóżem innego twierdził? — wołać zaczął. Skorom krótką pamięć lidyjczyków wysławiał i szczęściem nazywał, już przez to samo, przeciwnym darem odznaczającym się jonom przyganiałem! Głupi jónczycy! Szaleni jónczycy! Stokroć występni i pogardy godni, gdy przeciw potędze zbyt harde podnieśli głowy i zbyt słabe ustawili piersi! O, młodzieńcy lidyjscy, nie naśladujcie jónczyków!

Ostatnie słowa zwracał do synów Pytyona. Toraks wciąż na łąkach przebywający i Fredgund do Sardes przez ojca wysłany, byli nieobecni. Trzej inni, na siedzeniach znacznie niższych od Pytyonowego łoża, a z licznych i bogatych poduszek złożonych umieszczeni, niski i przysmakami okryty stół otaczali. Ku nim to zwrócony Chileas, z twarzą, którą nagle płomień objęły, z rozpostartymi ramionami, żałosnym głosem wołał:

— Na Milet zburzony, na głowy najdostojniejszych z tułowiami rozłączone, na opustoszałe pola i sakwy pomnąc, ani przez jedną godzinę swego życia, o, młodzieńcy lidyjscy, nie naśladowujcie jończyków!

— Ani myślimy też czynić tego! — krótko i głosem grubym, pieczoną przepiórkę palcami rozdzierając i wraz z delikatnymi kostkami w białych zębach ją chrupiąc, odrzucił silny i nieco ponury dobywacz złota z Tmolusowej kopalni, Bubares.

Zaś giętki, wysmukły Wamik, weselej i wdzięczniej odparł:

— Chybaby nas bogowie z rozumów do szczętu obrali, gdyby nam kiedy myśl podobna do głów zawitała. Piję na cześć i chwałę wielkiego, pięknego, dobrego Kserksesa i w potęgę swej nieporównanego, miłego mi ludu persów!

— Niech się stanie! — z zapalem, prostując się na łożu i puhar wysoko wznosząc, zawołał Chileas.

— Niech się stanie! — głowę skłaniając i siwą brodę głaszcząc, poważnie powtórzył Pytyon.

Ale widać po nim było, że cieszył się niedoskonale, bo siwe źrenice bystro i z niepoko-

jem utkwil w twarzy tego z trzech obecnych synów swoich, który koralowemi usty powoli sącząc z wysmukłej czary lekki i wonny napój, nie wyrzekł nic, a jednak szczególnym wyrazem czoła, uśmiechu i oczu, mówił wiele, o haftowane poduszki wspierając się dłonią i delikatną postać swą nakształt do połowy naciągniętej struny prostując, Diloram milczał; wysmukłą czarę od ust usunął, milczał, w Chileasa z wyteżeniem wpatrzony całą twarzą swoją, zdawał się z niedowierzaniem o coś go zapytywać, na coś się przed nim skarżyć. Szyderstwo i niedowierzanie malowały się w jego uśmiechu i spojrzeniu, a śniade czoło, pod kruczemi włosy i czerwoną czapkę zmarszczone, jakby w sobie skupione, biło cierpieniem i gniewem.

Pytyon przez chwilę wzrok swój zatrzymał na tej młodością kwitnącej a tragiczną zagadką wybuchającej twarzy i przeniósłszy go szybko na Chileasa, dostrzegł, a raczej w locie pochwycił coś, od czego mnóstwo drgających zmarszczek wybiegło mu na policzki. Było to mgnienie oka, błyskawica, dwa skrzyżowane spojrzenia, przez które, jakby w powietrzu spotkały się i porozumiały z sobą dwie podobne do siebie dusze. Ale Chileas tak szybko od Dilorama

wzrok odwrócił i tak natychmiast w sensie uprzednim mówić zaczął, że Pytyon, to co spostrzegł, mógł za złudzenie albo omyłkę poczytać, nie rzekł nic i tylko jeść przestając, ze spuszczonei powiekami, zamyślił się głęboko. Dlaczegoż to najmłodsze i najpiękniejsze jego dziecko, tak bardzo do innych było niepodobnem? Dlaczego było ono tak ze wszelkiej siły obranem, a zarazem tak samowolnem? Dlaczego on, szczęśliwy i możny Pytyon, przy każdym na niego spojrzeniu czuł koło serca ból i niepokój, i nad tą duszą tak mięką, a tak upartą nie dzierżył żadnej władzy? Czy wypadkiem Chileas, tak jak przedtem ów przekłety atenczyk, nie upaja go i do reszty nie truje jakiemiś bezrozumnymi baśniami i chimarami nie z tego świata?

Tymczasem Chileas ze srebrnego kosza wybierając sobie najpiękniejsze daktyle i figi, głowę ciemnym turbanem obciążoną trząsł smutnie i żałosnym głosem mówił:

— Niedolą wielką dotknęli bogowie jończyków i wszystkich w ogóle greków przez to, że im tak mądrego doradcy prawodawcy nie dali, jakim dla lidyjczyków okazał się był król ich Krezus, wtedy, gdy królem już być przestał i Cyrusowi sposoby postępowania z nowo pod-

bitym ludem wskazywał... Pyszna to historia! mądra historia! Gwiazdą przykładu nad drogami ludzkości jaśniejąca historia! Czy znacie ją dostojni i mili młodzieńcy?

Z wesołym, grubym śmiechem Bubares odpowiedział:

— Od dzieciństwa znam tylko błogosławione lecz ciemne wnętrze Tmolusu. Żadnych historyj nie byłem nigdy ciekaw, bo wiem dobrze, że kłamstw zawierają mnóstwo, a statera ani jednego wycisnąć z nich nie można. Powiedz przecież swoją, jończyku, bo gdy nic lepszego do czynienia nie mam, przy jedzeniu i piciu szczególnie, lubię czasem posłuchać baśni.

— Co do mnie — ozwał się Wamik — dzieje, o których wspomniałeś, nie raz już na szerokim świecie słyszałem. Opowiedz je przecież, Chileasie, bo mówisz płynnie i ozdobnie, a mam w sobie coś takiego, że piękna mowa miodem mi uszy i serce oblewa.

— Opowiedz, Chileasie — z cicha dorzucił Diloram i ramiona nad głową zarzuciwszy, w leniwej znowu postawie legł na poduszki.

Jończyk na pana domu spojrzał, jakby rozkazu jego oczekiwał, ale i Pytyon potwierdzając głową skinął. Tak był zawsze mnóstwem

spraw zaprzątiony, że nie pomniał, czy historię o Krezusie i jego zbawiennych radach kiedykolwiek słyszał, a mowa Chileasa sprawiała mu zawsze, tak jak i Wamikowi, żywą przyjemność. Była to jedna z przyczyn, dla których ubogiego lekarza szanował i w domu swoim uprzejmie przyjmował. Chileas tedy, daktylę zwolna przeżuając, płynnie, choć dość obojętnie opowiadać zaczął:

— Kiedy Cyrus, zdobywszy Lidyę z Sardes się oddalił, Paktyes lidyjczyk, naród swój od poddawania się mu odstręczył i ilu tylko mógł pomocników sobie zebrawszy, na Cyrusowego wielkorządcę i wojsko jego uderzył. Wówczas lidyjskie góry brzmiały donośnemi echami krzyku rozlegającego się po równinach: „nie chcemy persów za panów naszych mieć!“ Dowiedziawszy się o tem w drodze Cyrus, do Krezusa, którego za przyjaciela swego uważał, rzekł: „Krezusie, jakież będzie koniec tych wypadków? Wojsko, które pozostawiłem w podległym ci dawniej kraju, garść zuchwalców z pewnością zwycięży i o tem nie wątpię. Lecz z tego, co stało się, wnoszę, że lidowie mnie przykrości, a sobie szkody czynić nie zaprzestaną nigdy, więc namyślałem się, czyby ich połowy życia nie-

pozbawić, a drugiej połowy w dalekie kraje niewolnikami uprowadzić nie należało? Tak bowiem postąpiwszy, dla siebie zgotowałbym bezpieczeństwo i spokojność, a dla pięknej lidyjskiej ziemi, przez nową ludność, którąbym na niej osiedlił, żyzność i bogactwa“. Gdy Cyrus zamiary swe wyraził, Krezus, lękając się, aby połowy ludu jego ze świata nie zgładził, a połowy w niewolę nieuprowadził, po długim namyśle rzekł, jak następuje: „O, królu, słuszne wyrzekłeś rzeczy, przecież nie ulegaj zupełnie zapędo- wi uczuć i Paktyesa jednego srogo ukarawszy, reszcie lidyjczyków tym razem przebacz. Nadal zaś, aby więcej od państwa twego nie odpadali i dla samych siebie niebezpiecznymi nie byli, tak z nimi postąp: Przez posłów i urzędników swoich wzbroń im noszenia wszelkiej wojennej broni, a rozkaż natomiast przywdziewać mię- kie tuniki i do kolan wysokie, ze skór najozdob- niejszych sprawiane obówie. Uczynь też zarzą- dzenie, aby im żaden z persów kupczyć i boga- cić się nie przeszkadzał, ale owszem, niech co- raz więcej złota posiadając, w tem czego ono dostarcza: w długich biesiadach, w słodkich wi- nach, w uściskach sprzedajnych niewiast, co- raz większą znajdują rozkosz. Nadewszystko zaś,

o królu, przez posłów i urzędników swoich bacz pilnie, aby odtąd lidyjczycy dzieci swoich ani w starych historyach i mądrych wymysłach nie chowali, ani w cielesnych ćwiczeniach do znoszenia głodu, chłodu i ran nie zaprawiali, lecz aby je tylko grać na cytrach, śpiewać, wdzięcznie, czoła kwiatami wieńczyć i jaknajzręczniejsz kupczyć uczyli. Gdy tak postąpisz, Lidyę na zawsze przy sobie zachowasz i lidyjczyków ani uśmiercać, ani w dalekie ziemie uprowadzać nie będziesz zmuszonym“. Tej rady Krezusa usłuchał dobry Cyrus, a w niewiele lat później, lidyjczycy całkiem obyczaje swoje odmieniwszy, nabyli wielkich bogactw, wielkiego smaku do biesiad i strojów, wielkiej w kupczeniu biegłości i — krótkiej pamięci. Tak Krezus nieporównaną mądrością swoją Lidyę na zawsze do Persyi przywiązał i lidyjczyków uszczęśliwił. Niech go na wieki wychwalają wszystkie spokojne serca, mądre umysły i syte żołądki! Powiedziałem.

— Niech go na wieki bogowie nektarem poją i w ambrozyi kąpią, za to, że od zagłady nas wybawiwszy, dał nam w dodatku mądrość i rozkosz życia! — zawołał Wamik i z rażą wesołością wychylił nową czarę wina.

Bubares także właściwym sobie sposobem, mrukliwym i grubym, Krezusa bardzo pochwalił, Diloram zaś śmiał się, postawy swej leniwej i zniechęconej nie zmieniając, śmiał się cicho, nie tak przecież cicho, aby Pytyon w tym śmiechu nie dosłyszał zjadliwej goryczy, która tę młodą pierś toczyć się zdawała, jak robak toczy kielich kwiatu. Nic jednak nie rzekł, tylko coraz mniej pogodnym się stawał i coraz podejrzliwiej spoglądał na Chileasa, który ku synom jego zwrócony, przemawiał.

— Dziw mię bierze, dostojni młodzieńcy, że tak wzniosłemi uczuciami przejęci, nie pośpieszyliście do pułków wielkiego króla, zdążających teraz ku podbojowi Grecyi; co mówię! na Zeusa! ku podbojowi całej Europy! Jakże błogo być musi wiernemu niewolnikowi walczyć i ginąć za umiłowanego pana!

Przy ostatnich wyrazach ręce splótł i oczy wzniosł ku górze, co go oblekło pozorem doskonałego zachwyty, ale uważnie przyglądający mu się Pytyon, z wielką powagą odpowiedział:

— Dlaczego oni teraz znajdują się u boku mego, wie o tem Artafarnes, wielkorządca Li dyi, któremu dałem tyle złota, ile wystarczyć mo-

gło na kupienie stu zastępców. Stać mię było na to, a mądry mocarz, który jest zarazem dobrym ojcem swoich ludów, na takie zmiany zezwala.

— A jakże! a jakże! wiem o tem! — zawołał Chileas — najdroższe złoto wiele może, co mówię, na Zeusa! ono wszystko może, a Persya potrzebuje go mnóstwo. Piętnaście tysięcy kubicznych talentów złota, składa corocznie w podatku dwadzieścia jej satrapij, a oprócz tego są jeszcze daniny; jako to: trzysta sześćdziesiąt koni, śnieżnej maści od Cylicyi; od Etiopii: dwa korce złota, dwieście krzeseł z hebanu, dwadzieścia słoniowych kłów; od Kolchidy stu młodych chłopców i sto pięknych dziewcząt; od Babilonii pięćset rzezańców, od Arabii tysiąc talentów kadzidła, od naszej drogiej Lidy, sto worów złotego piasku z Paktolu, pięćset miar wina, dwakroć tyle oliwy, tysiąckroć tyle pokory i posłuszeństwa.....

Znowu mu rozbłysły zielonawe oczy i spotkały się ze wzrokiem Dilorama, lecz w tejże chwili dłoń Pytyona spoczęła na jego ręku, a twarz krzepkiego starca, zarumieniona nieco i siwa broda obrosła, znalazła się bardzo blisko jego twarzy. Tak cicho, że nikt z obecnych usłyszeć

go nie mógł, a bystre swe źrenice w źrenicach gościa utapiając, Pytyon zaszeptał:

— Nie myśl wcale, że zwieść mię możesz, lisie, w postaci człowieka! Od godziny słucham twej mowy, i drwiny, któremi podszyta jest ona, rozumiem! Nicby mię one nie obchodziły, jak wszystkie twoje myśli i czyny, o których świadomość posiadam, gdybyś nie godził w to, co jakby grek powiedział, jest moją Achillesową piętą. Otóż powiadam ci, że nie składałeś wcale majątku swego w ręce nierzetelnych handlarzy, ani synowie twoi trudnią się w Sycylii sztuką lekarską! O twój majątek zapytałby trzeba cieniów wodza jońskiego powstania, a o synów, kawek i kruków, które pożarły ciała obrońców Miletu! Nie wspominałem o tem przed nikim, bo przymioty, któremi hojnie obdarzyli cię bogowie szanuję i potrzebnym mi jesteś, a przytem wstrętem mam do szeptania w ucho satrapy tego, czego on nie podejrzewa. Ale teraz powiadam: zdala bądź, Chileasie, od serca i uszu Dilorama, a mnie potajemnem, lecz dla mego rozumu wyraźnem sprzeciwianiem się nie rań i do gniewu nie przyprowadzaj! Mowa jest srebrem, milczenie złotem, a pokora i uległość słusznie tak małemu człeczkowi, jakim ty jesteś, przystoją!

Kiedy Pytyon tak mówił, a raczej szeptał, Chileasa twarz powlekła się zrazu bladością przestachu, w rysach jego przecież nie zaszła żadna zmiana, gdy ze spuszczonei powiekami jeszcze cichszym od Pytyonowego szeptem, odpowiedział:

— Srodze zraniłeś mię, Pytyonie, wspominając o owych kawkach i krukach, które i bez tego, aż nadto dokuczają mi w snach i na jawie. Kłamstwa zarzucać ci nie będę, bo wiem, że rozum twój je przeniknie, ani też zemsty, za ból, który zadałeś mi, nad tobą nie wywrę. Owszem, za to, że wiedząc o wszystkim, usta swoje zdała od ucha satrapy trzymałeś i za to, że tak wielkim będąc, mnie małuczkiego od boku swego nie usunąłeś i gościem swym uczyniłeś, pewnej przestrogi ci udzielię. Oto kosztem mnóstwa starań i zabiegów, do domu swego, Pytyonie, sprowadzasz mocarza i oczom tego ziemskiego boga ukazesz jutro szczęśliwą starość, swoje niezmierne bogactwa i swoich młodych synów. A czy posiadasz wysuszone serce sępa, które człowieka, na piersi swej je noszącego, chroni i strzeże przed spotkaniem się z drapieżnem zwierzęciem, przed napaścią złoczyńców i przed gniewem królów? Jeżeli dotąd nie posiadałeś

go, Pytyonie, nabądź je teraz za jakąkolwiek cenę i jak najrychlej na piersi swej zawieś! To ci powiada Chileas, człeczyna bardzo mały, lecz w tajemnicach natury i ludzkich dusz biegły.

Bardzo po cichu to mówiąc, wyprostowywał na bogatem Pytyonowem łożu cienką swoją postać i zdawał się rosnąć. Pytyon przeciwnie zmalalał jakby, tak zgarbił się i w tak ciężką popadł zadumę. Dla bardzo rozległych czynności kupieckich i rachub wszelkiej natury umysł mając niezmiernie jasny i przebiegły, w rzeczach innego rzędu łatwowiernym on był i do marzeń o cudowności skłonny. To, co mu Chileas, o tajemniczej sile złożonej w sercu sępa powiedział, wyobraźnią jego wstrząsnęło, a słowa kończyka, cicho lecz uroczyście z wązkich i z zbłądłych ust wychodzące, wydały mu się złowieszczem proroctwem. Doskonała pogoda, co więcej, upajająca radość, któremi niedawno czuł się napełnionym, zniknęły, a natomiast do koła serca zakrążyła mu niejasna trwoga i uczuł w niem słaby ból, coś jakby pierwsze i lekkie cięcie wielkiego noża. Niewiadomo, w jakim usposobieniu dla Chileasa obudziłby się z zadumy, czyby wybuchnął gniewem, lub dobrodusznym śmiechem, bo przerwał mu ją hałas, któ-

ry wszczął się w sąsiedniej komnacie i w którym wyraźnie, wśród kilku męzkich głosów, słychać było żalosny i gniewny głos Gorgi. Jednocześnie, z za gwałtownie podniesionej zasłony, oczom Pytyona ukazała się naprzód rozplamiona pod żółtym swym zawojem Gorgo, a potem gromadki ludzi, złożone z silnych traków i otaczające skrepowanego powrozami, a wcale do nich wszystkich niepodobnego człowieka. Na czele tej gromadki postępował pierwszy urzędnik Pytyonowego dworu, dozorca jego stołu, stajen i domowej służby — fenicyanin Idantys. Gorgo z rozłożonemi rękoma i ognie ciskającemi oczami, pierwsza ku Pytyonowi przypadła.

— Nie wiem już — wołała — czy żywa jestem, albo też umarła z gniewu i żalu, wzburzonego nieszczęściem, które się stało, a które sprawił ten przeklęty scyta, ten Syrgid z nad Hipanisu, którego, oby oczy moje nie były nigdy oglądały! Oto najpiękniejszego z naszych nizejskich koni, tego, który to tak najdoskonalej był białym, że żadnej szerścinki innej prócz niepokalanie śnieżnych na sobie nie miał, tę perłę naszych stajen, ten klejnot zwierzęcy, niegodziwy scyta przywiódł do Paktolu, aby na-

poić go, tak blisko pojących się tamże dromaderów... że... o, bogowie, niech już kto inny nie-szczęście to słowami wyrazi, bo mnie głosu i siły nie staje...

Istotnie, zdyszana, prawie omdlała, na najbliższe siedzenie opadła i załamała ręce; feny-cyanin Idantyrś natomiast przed Pytyonem na twarz upadł, a podniósłszy się, na klęczkach mówić zaczął:

— Ty wiesz, o panie, jak rumaki nienawidzą zapachu przez dwugarbne wielbłądy wydawanego i jak pilnie baczymy zawsze, aby onego nie uczuły, a wstrętem i gniewem uniesione sobie i tobie szkody nie sprawiły. Otóż niegodziwy Sygird, ten scyta, w pielęgowaniu i dosiadanu koni nie zrównany, powierzonego mu nizejskiego rumaka tak blisko ku pojącym się dromaderom przyprowadził, że ten, zapach ich uczuwszy, z rąk mu się wyrwał, do sadu oliwnego wpadł i tam wśród latorośli wielkie spustoszenie sprawiwszy, o śpiżowego lwa łbem uderzył, upadł i skonał...

— Na własne oczy moje wypadek ten widziałam i żałośny jęk padającego zwierzęcia jeszcze świdruje mi w uszach, a gniew przeciwko scy-

tyjczykowi zwiększa! — zrywając się z siedzenia zawołała Gorgo.

Idantyras zaś ciągle w klęczącej postawie mówił:

— Całą prawdę wyznałem ci, o, panie! niechże sprawiedliwa twoja zemsta nie spada na mnie, mnóstwem dziś posług twemu domowi oddawanych zatrudnionego, lecz srogą chłostą niech dotknie bezpośredniego sprawcę nieszczęścia, scytę Syrgida!...

Ten, o którym mówiono, z założonemi na tył i grubym sznurem skrępowanemi ramiony, stał jak wysmukła topol, prosty i nieruchomy, otaczających go traków, pleczystych i grubonogich przerastając całą niemal swą głową, włosami jak len jasnymi okrytą. Nad brzegami rzeki Hipanisu, którą późniejsze wieki Bugiem nazywały, podstępnie schwytany i na jednym z perskich rynków przez Pytyona drogo kupiony, był on jeźdźcem nieporównanym, z szybkością strzały przebywającym przestrzenie wielkie, zawsze jednak dla niego, w porównaniu z rozłogami stepów rodzinnych, ciasne i duszne. Duszno mu było w niewoli, więcej może niż innym współtowarzyszom losu, bo milczał chętnie, mó-

wił rzadko i wyniośle, a oczy jego mające barwę turkusów i srebrzyste blaski, lubiły zawsze bładzić spojrzeniem po dalekich krańcach widnokregu, jakby za niemi, za granicami Azyi, za jej górami i morzami, pragnęły dojrzeć wysokie trawy, falujące po płaskich przestworzach, błękitny Hipanis, ciemne sosny i bezbrzeżną płachtę śniegu, niepokalaną białością okrywającą ziemię pod szarem i smętnem niebem. Może właśnie zamyślił się był o tem wszystkiem, może to wzrokiem duszy ścigał, gdy drogocennego rumaka zbyt blisko ku pojącym się dromaderom przywiódł i w silnych przecież dłoniach utrzymać go nie mógł. Teraz także stał nieporuszony, najlżejszej trwogi nie okazując, z turkusowemi oczami zapatrzonemi kędyś daleko. Można by rzec, że tu, na ziemi wygnania i niewoli, obojętnem dla niego było cierpieć lub cieszyć się, żyć lub umierać. Nie spuścił też powiek i na głowie mu nie drgnął ani jeden z lnianych jego włosów, gdy Pytyon, żalem po najpiękniejszym ze swych rumaków i oburzeniem zdjęty, żywym skokiem z łoża swego się porwał, kłęczącego wciąż fenicyanina ominął i groźny, rozgorzały, ku Syrgidowi przystąpiwszy, potężnym głosem krzyknął:

— Biada ci, niewolniku podły i niewierny! Ponurość i nieprzychylność zawszem ze wzroku twego wyczytywał, a choć dzielnym byłeś jeźdźcem i zlecenia moje, jak nikt inny, szybko wypełniałeś, widziałem dobrze, iż niepokorną i wiecznie rozjątrzoną nosisz w sobie duszę. Umyślnie mi zapewne tę wielką szkodę wyrządziłeś, więc też stosowną do niej otrzymasz karę!

Cisza zaległa komnatę; Gorgo na widok mężowskiego gniewu oniemiała, otaczający przestępcę trakowie drżeli, Bubares i Wamik obojętnie i w milczeniu uprzednie swe postawy na miękkich poduszkach zachowywali. Diloram tylko zwolna był powstał i teraz, obok Chileasa, którego powieki były spuszczone i usta szczelnie zamknięte, w oczekującej i niespokojnej postawie, z oczami w scytę wlepionemi, stanął. Po chwili dopiero zupełnej tej ciszy, zabrzmiał rozkazujący głos Pytyona:

— Idantyrś!

Fenicyanin, na znak godności swojej, w czerwonej, złotem haftowaną suknię ubrany, porwał się z klęczek i natomiast zgiał się aż do ziemi prawie niskim ukłonem.

— Sługa twój słucha! Rozkazuj, o panie — wyszeptał.

Pytyon, na scytę wskazując, rzekł:

— Zdrajcę ze wszelkich szat obnażonego i do drzewa przywiązanego ochłostać, a potem, uszy i nos mu obciąwszy, do Tmolusowej kopalni odesłać.

— Gorgo nagle rękoma splasnęła.

— Toż już rozochociłeś się, Pytyonie — zawołała — nie dość ci jednej męczarni, lecz wszystkie razem na tego człowieka chcesz zwalić! Ciekawam na co ci się przyda jego nos i uszy!

Przed chwilą od gniewu roziskrzona, a teraz przerażeniem zdjęte oczy błagalnie ku Pytyonowi wzniosła. Ale on, ani patrzył na nią, ani może słów jej nie słyszał. Do Indantyrsa stanowczo wyrzekł:

— Powiedziałem.

W tej samej przecież chwili ujrzał Dilorama, który schylał się przed nim bardzo niskim pokłonem.

— To się nie stanie, ojczel! Błagam cię, aby się to nie stało! — wymówił z prośbą, lecz głośno i śmiało.

— Kto śmie w poprzek woli mojej stawać? — groźnym wzrokiem młodzieńca przeszywając, zawołał Pytyon.

Ale i Diloram tak wyprostował się teraz i tak śmiałym wzrokiem groźny ojcowski wzrok spotkał, że z delikatnego i leniwego chłopięcia, wyrastać się zdawał na rycerza nieznanąego trwogi. Głosem spokojnym, ale niezłomną wolą brzmiającym, odpowiedział.

— Ja to czynić śmiem, ojcze; bo mnie na ohydy takie bezczynnie patrzeć niewolno...

Ostatni wyraz wymówił tak stanowczo, że gniew Pytyona w zdziwienie przemieniać się zaczął.

— Niewolno!—powtórzył—na Cybelę! któż oprócz mnie jednego, rozkazywać i zabraniać tobie ma prawo?

— Ten, odpowiedział Diloram, którego nie widzą twoje, ani moje oczy: Geniusz-stróż, który w sercu i umyśle moim mieszkając, mówi mi: „Nie kłam, nie krzywdź, wypleniał szkodziwe gady, pielęgnuj dobre zwierzęta, broń uciśnionych, mów prawdę potężnym...”

Teraz aksamitne, tak miękkie i marzące zwykle jego oczy rozbłysły złotem światłem a rumieniec do zorzy podobny, zwolna mu oblewał śniade policzki i czoło. Z twarzy ojca nie spuszczać wzroku, cofnął się o kroków kilka i przed

scytą stanął tak, jakby z siebie samego mur obronny dla niego czynił.

— Niewinnym człowiek ten jest, ojcie—rzekł jeszcze — niedobrowolnie szkodę ci on wyrządził, a synami ciemności są ci, którzy niewinnym męki zadają...

Rzecz dziwna! Pytyon zamiast gniewem wybuchać, coraz ciekawiej, z coraz większym zdziwieniem przyglądał się synowi. Jakto, ten miękki, słaby, do żadnego z zadań, przez innych jego synów tak dzielnie spełnianych, niezdatny chłopak, był przecież tak odważnym, że rozkazom i gniewowi jego mógł śmiało czoło stawiać! A więc nie był on tak zupełnie, jak o tem mniemał Pytyon, ze wszelkiej siły obranym! Odwaga i siła były teraz z postawy jego, z czoła, ze złotych światła, któremi płonęły mu źrenice. Jakiemikolwiek były rządzące nim pobudki, jakkolwiek blahą wydawała się Pytyonowi przyczyna tej wszczętej z nim sprzeczki, czuł on niejasne dla siebie samego zadowolenie. Jednak w oczach domowników i sług swoich łatwo ustąpić nie mógł. Więc brwi zmarszczył i groźne brzmienia głosowi swemu nadając, rzekł do syna:

— Podłego niewolnika tego odstęp natychmiast! rozkazuję!

A do Idantyrsa zawołał:

— Urowadź scytę i czyn z nim jak rzekłem.

Ale Diloram dłoń na ramieniu skazańca składając, ze spokojem niezłomnego postanowienia, odparł:

— Człowieka tego, ojczy, nie odstąpię odtąd ani na krok. Los jego będzie moim losem, męska jego moją męką, gdziekolwiek on się znajdzie, ja u boku jego przebywać będę. Zawie ram z nim związek gościnnej przyjaźni, który mieczem tylko rozciętym być może, rozkaż, ojczy, śmierć zadać mnie, albo nas obu prowadzić tam, gdzie rzekłeś!

Mówiąc to ani jednego okrzyku nie wydał, ani westchnął, ani zadrżał; owszem, tak spokojnym wydawał się, że prawie zimnym, tylko wciąż złote światła, jak odbłaski rozgorzałego wewnątrz płomienia, igrały mu w czarnych źrenicach. Teraz, Bubares, ogromny i ciężki, podniósł się z poduszek, wclając.

— Ojczy, pozwól mi skrępować to dziecko, aby więcej nie popełniało szaleństw! Braterskimi rękami wiązane powrozy nie przyczynią mu zbytniego bólu, ani hańby!

A Wamik wpół z przerażeniem, wpół z pośmiewiskiem, wołał:

— Chileasie, otwórz szkatułę swą z lekami! Ktoś go tem zielkiem, które nieprzytomność umysłu sprawia, otruć musiał! Daj mu do przełknięcia nieco niedźwiedziego tłuszczu, najlepszego przeciw truciznom lekarstwa!

Chileas milczał i zdawał się nic nie słyszeć, tak bacznie przypatrywał się bladościom i drgnieniom, które przechodziły po twarzy, siedzącej na stronie Gorgi; w tem, najniespodzianej dla wszystkich, rozległ się po komnacie długi i głośny wybuch Pytyonowego śmiechu. Ze śmiechem tym on wołał:

— Idantyrś! wziąć mi zaraz z przed oczu scytę i kary mu nie wymierzać! Pocieszne dziecko! Trzebaż czasem drobnym chuciom dziecinnyim sfolgować! O, bogowie, skonam chyba ze śmiechu! Jakie pocieszne dziecko! Wziąć mi z przed oczu scytę, Idantyrś, i niech jak przedtem stajen dogląda, a pilne poselstwa sprawiał! O, Diloramie, jakże mię zachceniami swemi naśmieszyleś! I dobrześ to sprawił! Bo gdybym nie wpadł w śmiech, mógłbym w gniewie miarę przebrać! Nalej mi czarę wina, Wamiku!

W śmiech i żart całą sprawę obracał, a syna, który z nim walkę stoczył, pociesznem dzieckiem nazywał, lecz gdy Idantyrś wraz ze scytą

i innymi niewolnikami za opadającą zasłoną zniknął, a Diloram do ojca przystąpiwszy, chylił się znowu przed nim niskim pokłonem, Pytyon obu dłońmi za ramiona go ująwszy, smukłą postać jego wyprostował i rozbłyśłe oczy w twarzy mu zatopił. Widać było, że Diloram podobał mu się dziś więcej niż kiedy.

— Patrz Chileasie — mówił — jak dziwnemi bywają zrządzenia bogów! Oto pięciu synów ze mnie jednego urodziła jedna niewiasta i nie ma pomiędzy nimi podobieństwa, jak nie ma go pomiędzy liśćmi jednego drzewa. To najmłodsze chłopię posiada tyleż siły, ile jej mają Bubares i Torax w potężnych muskułach, a Wamik i Fredegund w przebiegłych umysłach swoich, tylko tajemnem mi jest, z kąd u niego siła ta źródło swe bierze? Nie z ciała, bo jest ono wątłem i niedużem, nie z rozumu, bo rachować i kupczyć nie umie... Ty, Chileasie mądry, wyrozumiej to i przedemną wyjaśnij!

Ale Chileas na zapytanie pana domu nieodpowiadał, ani ich może słyszał; nad Gorgą pochylony, w jednej z dłoni swoich stygnącą jej rękę trzymał, a drugą śmiertelnie zbladłego czoła dotykał.

— Dostojna małżona twoja, Pytyonie, zasła-bła nieco — z powagą prostując się wyrzekł —

trzeba ją coprędzej wynieść do komnat niewieścich, gdzie jej moich najgorliwszych starań udzielię.

— Zanadto ją wzruszyła strata drogocennego rumaka!—zawołał zgryziony Pytyon.

— A głupim postępkim swoim rozjątrzył Diloram!—grubo brata ofuknął Bubares.

Najzwawszy Wamik zgromadzał już na pomoc bratowe i niewolnice, a Chileas śpiesznie na służę swego o szkatułkę z lekami wołając, ku Pytyonowi się zwrócił i z pokornym uśmiechem rzekł:

— Nie trwóż się, o potężny! Z omdlenia, w które dostojną małżonkę twoją utrata drogocennego rumaka pogrążyła, ocucę ją z łatwością, a jutrzejsze radości do reszty zdrowie jej przywrócą...

Tym razem, podszewki mowy jończyka nie dostrzegając, lub dostrzegać nie chcąc, Pytyon za odchodzącym zawołał.

— Gdy ją do przytomności umysłu i sił przywołasz, kiesę staterów odemnie otrzymasz, jak zawsze...

Gorgo jednak, pomimo nierównego bicia swego serca i częstych omdleń, nigdy nie chorowała długo, tem mniej, gdy wiele do czynienia

miała. Ruch i zachód były żywiołami, do których tak przywykła, że zasmucona, czy wesola, zdrowa czy chora, istnieć bez nich nie mogła. Więc gdy Chileas z pomocą niewolnic, welną umoczoną w winie i cieczy z mastykowego drzewa dobywanej, członki jej otarł, wargi i nozdrza tłuszcem łabędzim zmieszany z cynamonem, pieprzem i kassą pomazał, a w ten sposób otrzeźwionej wlał w usta trochę wina z hyzopem i tęgiego bulionu z koguta, żwawo choć trochę chwiejnie porwała się na nogi i wnet o Dilorama: gdzie jest i jak z nim w końcu postąpił Pytyon, dopytywać się zaczęła. Pomysłnemi w tym względzie doniesieniami uspokojona, uprzejmie jończykowi za podjęte około niej starania podziękowała, a śmiech Labdy i Melissy, które dotąd jeszcze stroić się i przestrajać nie przestały usłyszawszy, z żywym na ustach napomnieniem do nich pobiegła. Droge jej zaszedł troszczący się o nią Pytyon.

— O ty, popędliwego serca i niepowstrzymanego języka, człeku!—nie zatrzymując szybkich swych kroków, do męża zawołała — wielce też potrzebnemi ci były nos i uszy tego scyty! Gniewam się i ja nierzadko, to prawda, lecz aby takie ohydy wymyślać, trzeba mieć

wnętrzości tygrysa albo hyeny! Patrzcie! zachciało mu się nosa i uszu człowieczych! Poco? O, bogowie najpotężniejsi, gdyby jeszcze ze złota one były....

Z ostatnimi słowy do komnaty pełnej zwierciadeł i strojów wbiegła, a Pytyon, sam pozostawszy, siwą brodę głaskał i z żartobliwym uśmiechem do siebie mówił:

— Potężnymi być muszą bogowie, skoro stworzyli rzecz tak wielką, jaką jest płytkość i sprzeczność niewieścia. Sama przedemną, zaciekle oskarżała scytę, a teraz mi zbytnią srogość zarzuca!

Tymczasem Chileas nie próżnował. Gdy tylko żonę Pytyona opuścił i przed próg domu wyszedł, wnet go obiegła gromada ludzi, z najzręczniejszych lub najulubieńszych, więc największej swobody używających niewolników złożona. Pierwszy Idantyrz złożył przed nim pokłon głęboki i błagał go radę przeciw srogim boleściom, które ze zbytniego zapewne umęczenia we wnętrznościach swoich uczuwał. Stara Gigea, Toraksa i Bubaresa mamka, pokornemi giestami ukazywała mu swoje policzki od bólu zębów opuchłe. Ładna, figlarna Tyja, ulubienica Labdy, szczebiotała, że traci

to, co najwięcej piękności użycza: swoje długie, czarne rzęsy. Inni ukazywali mu krwawiące się rany, które dziś jeszcze, od ukąszenia węzów lub ostrych narzędzi na łąkach i polu odnieśli, albo prawili o towarzyszach, którzy w szopach im służących, ze złamanemi członkami, albo w srogich gorączkach leżeli. Tak było zawsze, ilekroć Chileas gdziekolwiek się ukazał i teraz także znalazł się on wkrótce na ukrytej wśród kasztanowego lasu, rozległej przestrzeni, którą dookoła otaczały wspaniałe stajnie, ogromne śpichrze i niskie szopy, z wnętrzami pełnemi ciemności, zaduchu i brudu. Nad wejściem do każdego z tych budynków, znajdował się zawieszony z rozpostartemi skrzydłły nietoperz, pewna rękojma ochrony ścian w czarodziejski znak ten zaopatrzonych od klęsk wszelkich, a zapewnienia im pomyślności. Zwierzęta pasące się na łąkach lub zamknięte w stajniach nie ukazywały się tu wcale; tylko stary wielbłąd Pytyona, siwy, łagodny Mosh mieszał się z ruchliwą gromadą ludzi i daremnie przez nich odganiany, zbliżywszy się do jończyka, na znak przyjaźni zmyslną swą głową, głowy jego dotknął. Temu wolno było przechadzać się wszędzie, bo wiel-

kich łask u pana swego doświadczając, odpłacał mu za niezwykłą w zwierzętach jego gatunku miłością. To też niewolnicy Pytyona zdawali się pałać ku niemu zazdrością i nienawiścią.

— Ten jest szczęśliwszym odemnie—wskazując zwierzę z cicha przed towarzyszem sarkał ponury etyop—plag nie otrzymuje, tak jak zemną bywa nierzadko i zamiast w dusznej ciemnicy, gdy tylko chce tego, wylega się w pańskim ogrodzie, na kwiatkach...

Popędliwy kreteńczyk zawiści, którą w nim wzbudzał ulubieniec pański, hamować nie mogąc, głośnem ozwał się przekleństwem.

— Bogowie niech cię przeklną i ojca twego, i całe plemię twoje, przebrzydłe zwierzę, za to, że pasiesz się jak bogacz, gdyśmy nie syci nigdy!

Sam Idantyrś pomimo zwierzęcniczej powagi, wstrętu swego, przy zbliżeniu się do starego Mosza, ukryć nie mógł i jednemu z najpoufniejszych współtowarzyszy szepnął.

— Chciałbym przemienić się w tę głupią i za nic nie odpowiadającą bestyę! Wnętrzności jej, tak jak moich, od umęczenia i strachu nie przeszywają srogie bóle...

Chileas zaś, wraz z pomocnikiem swoim, otoczony jęczącymi i błagającymi ludźmi, stał już nad skrzynią rozwartą, a srebrnych, cynowych, ołowianych, szklanych, różnej wielkości i kształtów naczyń pełną i zwinnymi rękami mierząc, ważąc, mieszając, przelewając najrozmaitsze płyny, prochy i maście, sporządzał i rozdawał chciwie przez rąk wiele porywane leki. Były to niezliczone materye z ciał zwierzęcych i roślinnych dobywane, zaczawszy od potu i tłuszczu z wełny owczej wyciskanego, w winie moczonych wnętrzności łasicy, glist w miodzie roztartych, pastylek z suszonych żmij, serc krecich, żółci jeżów, kantaryd, ślimaków, gniazd jaskółczych i zaprawionych mirrą oczu sowych—aż do wyrobów tak rzadkich i kosztownych jak tłuszcze łabędzie i strusie, mózg orłów, nerwy ze skrzydeł sokolich wywleczone, sok mastykowego drzewa, suszone maliny, po które wdzierać się trzeba było na szczyt wysokiej ldy, a które cudną woń wydawały, trawy zerwane z osypanych piaskiem głów posągów. Obok zasuszonych lub na prochy startych liści winnych, palmowych, morwowych, cedrowych, znajdowały się tam mchy wszelkich gatunków, kampanula,

onta, jarzębina, bluszcze, hyzop, cynamon, kassya. Z winem, octem, morską wodą, woskiem, miodem, wytłoczynami fig i oliwek, łączyły się delikatne, wonne, z nieporównaną sztuką urządzone olejki: różane, migdałowe, narcyzowe, palmowe i inne. Zaś wśród tego wszystkiego przeważne miejsce zajmowała wełna dobrych owiec, na którą Chileas sporządzone przez się płyny, prochy, maście, lał, sypał i rozpościarał, a która już sama przez się, czarodziejską prawie moc uśmierzania cierpień posiadać miała.

Po paru godzinach oddawania się temu zajęciu, gdy gwar błagań i jęków dookoła niego ucichł, uczony jończyk podniósł się z nad swej skrzyni, słudze rozkazał zamknąć ją i w bezpiecznem schronieniu umieścić, sam zaś, rękawem grubego kaftana ocierał twarz, która pod ciężkim, ciemnym zawojem, obfitym okryła się potem. Wtedy, usłyszał obok siebie dźwięczny, niewieści głos, mówiący:

— Dobry mężu, mojej jeszcze wysłuchaj prośby!

Podniósł wzrok i zobaczył przed sobą Melissę, która, w wieńcu róż na rozpuszczonych włosach, z ogniem radości i niespokojnych na-

dziei w oczach, wyglądała jak wcielenie świeżej młodości i wezbranego życia. Widząc, że jończyk z upodobaniem i uprzejmie na nią spogląda, wesoło mówić zaczęła.

— Labda przysłała mnie do ciebie, z prośbą o trochę tej maści z kruczego jaja, która niewieścim włosom nadaje czarność i połysk piór kruka. Ogromne i śliczne jej włosy rudawe są jednak nieco i bez blasku; wdzięczną ci więc będzie, jeśli jej dopomożesz ten błąd natury poprawić.

— Labda posiada małżonka, któremu jej włosy aż nadto połyskliwemi wydawać się muszą, gdy wychodzi on z tmolusowych ciemności, w których przebywa, z żartobliwym uśmiechem odpowiedział jończyk.

— Ależ ona nie Bubaresowi, tylko mężom perskim, którzy jutro dom nasz napełnią, podobać się pragnie, zaśmiała się Melissa.

Z coraz większem upodobaniem na ożywione jej rysy patrząc, Chileas rzekł:

— Gdyby bogowie obdarzyli mnie córką, chciałbym aby do ciebie podobną była. Umieć czytać w obliczach ludzkich, a w twojem widzę niewinność i dobroć. Powiedz Labdzie, że jajko kruka zmieszane z laurowym olejkiem

i woskiem, wkrótce służebnym jej przez służę mego przyśle.

Melissa dziękczynnie skłoniła głowę, ale nie odchodziła jeszcze. Widocznem było, że mówić coś chciała, może jeszcze o coś prosić, lecz brakowało jej śmiałości i wstyd ją ogarniał. Po chwili dopiero i z wahaniem w głosie zaczęła:

— Proszę cię, dobry mężu, abyś i mnie także dał nieco tłuszczu łabędzia, zmieszanego z mlekiem oślicy i prochem lotusu...

Nie mogła dokończyć, bo cała w ogniu rumieńców stanęła i głowę zwiesiwszy w drżących palcach przebierała złote frendzle swego pasa. Z wąskich ust Chileasa zniknął uśmiech, bystro i nieco chmurnie wpatrzył się w stojące przed nim dziewczę.

— Któż ci powiedział o tem, zapytał, że mieszanina o którą prosisz, skórze niewieściej nadaje gładkość lilii, puszystość brzoskwini?

— Powiedziała mi o tem Labda, coraz ognistej płonąc, odszepnęła Melissa.

Chileas milczał i w ziemię patrzył, aż długą kościstą ręką z lekka ręki ślicznej dziewczyny dotykając, tak cicho, że ledwie dosłyszalnie mówić zaczął:

— Dla młodości i niewinności twojej przychylność czuję i drogą mi jest szczęśliwość Dilorama, z którym oddawna zawarłem gościnnie związek przyjaźni. Dla tego mówię ci: strzeż się upiększać i stroić dla oczu mężów perskich! W krajach przez śnieg nawiedzanych zajęć staje się białym, aby go wzrok myśliwca z trudnością mógł dostrzedz. Gąsienica na liściu drzewa siedlisko swe mająca, zieloną przędzą okrywa się przed szukającym jej ptakiem. Czem myśliwiec dla zajęca, ptak dla gąsienicy, tem są dla niewiast mężowie perscy. Gdybyś mogła na dzień jutrzejszy przybrać twarz brzydkiej etyopki, powinabyś to uczynić, gdybyś mogła uprosić bogów, aby na dzień jutrzejszy przybrali cię w garbatą postać wielbłądzicy, powinabyś o to ich błagać...

Melissa drząc zaczęła, takim przest్రachem napełniały ją ciche słowa Chileasa, ale zarazem z za jej rzes spuszczonej strzelił błysk gniewu. Znać Chileas dotkliwie uraził miłe jej jakieś nadzieje i chęci. Podnosząc więc na niego oczy, którym wyraz śmiałości nadać pragnęła, z niezadowoleniem rzekła:

— Daremnie straszysz mię, Chileasie, i zgadnąć mi nawet trudno, po co to czynisz. Nie lę-

kam się wcale mężów perskich, owszem, wzbudzają oni we mnie ciekawość i cześć. Pytyon ich kocha i Labda nieraz w domu ojca swego ich widywała. Potężni są, bardzo piękni podobno i dla niewiast dobrzy. Niewiasty ich szczęśliwsze nawet są od lidyjek, uczestniczą w naradach i wojnach i nad małżonkami swoimi panują. Czy nie słyszałeś o Artemizyi, która z wielkim Kserksesem, na wojnę tę jedzie i bez której poradzenia się żadnego ważnego przedsięwzięcia on nie postanawia? Albo o żonie Mazistasa, która, — o jakże dumną być musi! — serce ziemskiego boga posiadała! Opowiadała mi o tem wszystkim Labda....

— Labda jest motylem, który ziarnami pyłu okrywa kielich białej lilii — odpowiedział Chileas, a ręka jego silniej nieco oparła się na ręku Melissy i cichszym jeszcze niż przedtem głosem, dodał: — dziś, o oblubienico Dilorama, jesteś białą lilią, — jutro zostać możesz liściem stopą przechodnia wdeptanym w ziemię! Strzeż się!

Zawstydzeniem i niezadowoleniem zdjęta, Melissa drobną rękę wyrwała z dłoni Chileasa i jak ptak przestraszony frunęła, żadnej uwagi nie zwracając nawet na ulubionego Mosza, który la węzłowatych nogach kołysząc się w strony

obie, brzydkim, lecz zmyslnym i do pieszczot nawykłym pyskiem włosów jej dotykać usiłował. W parę godzin potem, gdy słońce już zaszło, a równina kasztanowemi wzgórzami z dwóch stron otoczona, a z innych na sady kwitnące, łąki rozległe, winnice gęste otwarta, pod niebem gwiaździstem stanęła w ciepłym i woniejącym zmroku, skarżyła się ona przed Diloramem na sposób, w jaki postąpił z nią lekarz joński. Miejsce, w którem znajdowali się oboje, pełnem było woni narcyzów, kwitnących tu śnieżnym łańcem, i głębokiego cienia, rozpościeranego przez wysokie palmy. Opowiadania kochanki wysłuchawszy, Diloram żywo podniósł się z pościeli kwiatów, na których spoczywał i zawołał:

— Tak uczyn, Melisso, tak uczyn, jak ci doradzał jończyk! Wiem, że Wamik z podróży swej do perskiego obozu przywiózł Pytyonowi radę od przybocznych Kserksesa zaczerpniętą, aby dla ugoszczenia króla zgotowaną była biesiada grecka, w której udział przyjmują młode i piękne niewiasty, siedząc u nóg spoczywających na łożach mężów. Kserkses nienawidzi Grecyi, lecz kocha to, co ona dla pieszczoty i rozkoszy ciała wymyśliła. Rozkazuję ci, Melisso, abyś uczyniła wszystko, coby cię przed oca-

mi Kserksesa i orszaku jego tak osłoniło, jak biała barwa przed wzrokiem myśliwca osłaniająca, w krajach przez niego nawiedzanych.

Po chwili milczenia, Melissa, głosem w którym czuć było żal i gniew, odpowiedziała:

— Nie jesteś jeszcze małżonkiem moim, Diloramie, więc rozkazywać mi jeden tylko przybrany mój ojciec, Pytyon, ma prawo, a on to właśnie darował mi dzisiaj dyadem z turkusów i pereł, jakoteż podobne naramienniki i kolce, abym w nie ustrojona, godniejszą była oczu mocarza. Z jego także rozkazu Ląbda i Antela otrzymały szaty z najdroższej attalskiej materii, a ja najmłodsza, z mieniającej się błękitem i srebrem tkaniny w Milecie wytkanej. Widzisz więc, Diloramie, że chcąc się przypodobać tobie, musiałabym ściągnąć na siebie gniew pana mego, Pytyona.

— Straszniejszym stokroć od ludzkiego jest gniew izedów, dobrych geniuszów Ormuzda, — ozwał się Diloram — czyś zapomniała, czegom cię wczoraj, na kasztanowem wzgórzu, nauczał?

Ramionami u szyi jego zawieszona i z wdzięczną pieszczotą przytulając mu się do piersi, szeptać zaczęła:

1 dzień
2 dzień

— Wprzód umrę, Diloramie, zanim z pamięci mojej zniknie ten święty poranek, w którym podzieliłeś się ze mną swoją duszą i tylu mię cudnych rzeczy nauczyłeś. Kocham cię i zawsze chcę być posłuszną tobie i dobrym geniuszom Ormuzda. Pozwól tylko, abym jutro pierwszy i zapewne ostatni raz w życiu, przywdziała strój przepyszny, przez ojca twego mnie darowany i zabawiła się wesoło. Potem, gdy w tej dolinie, o której mówiłeś mi, osiadziemy, będę już wiecznie pokorną małżonką twoją, piastunką trzód i wierną pracownicą dobrej ziemi. Nigdy już wówczas nie zobaczę wielkich królów i mężnych rycerzy. Ten więc raz tylko niechaj przed Labdą, która do dyamentami usianej tęczy uczyni się podobną, wstydem nie płonę!

Wprzód nim Diloram mógł odpowiedzieć, z pod wachlarza palmy, najgrubszy zmrok rzucającego, wyszła i na przestrzeni rozjaśnionej przez światło gwiazd i białosc narcyzów ukazała się Gorgo. Szła jak zazwyczaj żwawo i śpiesznie, choć od czasu do czasu wspierała się dłonią o wyrastające z gęstwiny kwiatów mirtowe i bukszpanowe krzewy. Idąc, wesołym głosem wołała:

— Tuscie, pisklęta moje! Wiem zawsze, gdzie was szukać, a choćbym Melisę za wydalanie się z komnat niewieścich gromić powinna, niech już tam sobie będzie jak chcecie, gołębie moje!

Z temi słowami zbliżyła się i na ramieniu Dilorama dłoń opierając, zaczęła:

— Nie usnęłabym ani trochę, gdybym cię mój najmniejszy, dziś jeszcze nie zobaczyła. Nastraszyłeś mię, swawolny chłopcze, srogą tę sprzeczkę z Pytyonem wszczynając. Takem się gniewu Pytyonowego przeciwko tobie przełęka, że aż omdlałam. Oni mniemają, że mię ta słabość z żalu po nicejskim rumaku schwyciła, lecz to nieprawda, bo ja tylko o Dilorama swego tak srodze się zlekłam. Cennego konia bardzo żałuję... aleś ty mój najmniejszy, pierwszy dla mnie na całej ziemi...

Mówiąc to, pośród narcyzów siadała, przy czem bolesne stęknienie wyrwało się z jej piersi.

— Staram już i zmęczona — wesoło jednak śmiejąc się, rzekła — a choć rady Chileasa wielce dobroczynnemi są dla mnie, od bólu w kościach i duszenia w piersiach uleczyć mię nie mogą. Nic to, czuję przecież w sobie tyle ochoty i siły, że pewno bogowie niekrótco jeszcze pozwolą mi służyć Pytyonowi memu i na

waszą pomyślność spoglądać. Tylko dziś bardzo zlekłam się o ciebie, mój najmniejszy, a do tego nos i uszy tego scyty nie przestają mi w mózgu świdrować...

Splasnęła dłońmi i w podziwieniu, jakby zakłóysała się w obie strony.

— I na co Pytyonowi, przydaćby się mogły nos i uszy tego człowieka! — zawołała. Dla swoich i równych sobie dobrym on jest i słodkim, jak miód i hyzop, lecz biada temu, kto na gniew albo wzgardę jego zasłuży! Widziałam ja, widziałam w mojem życiu wiele rzeczy strasznych, od tych uszu i nosa scyty jeszcze straszniejszych, ale nie wiem czemu przypisać mam to, że z lat upływem, coraz mi trudniej na podobne patrzeć. Dlatego, choć bardzo mię przestraszyłeś, dziękuję ci, Diloramie mój, żeś scytę obronił, przez co zezskaradzone oblicze tego człowieka, na jawie stać przedemną i w snach ukazywać mi się nie będzie...

Przyciągnęła ku sobie głowę Dilorama i ucałowawszy ją przy piersi swej zatrzymała. Drugiem zaś ramieniem Melisę ogarniając, mówiła dalej:

— Wiele jest rzeczy dla głupiego, niewieściego umysłu mego niejasnych. Ty, mój najmniej-

szy, najmędrszym podobno jesteś z nas wszystkich. Kiedym raz ciężką chorobą złożona, kilka dni z łoża powstać nie mogła, dobry Chileas wielce przyjemnie zabawiał mnie, prawiąc o tem, jakieś ty w Hipajpie i greckich Atenach przebywał i jakich tam nabywałeś mądrości. Więc naucz tę, która ciebie z łona swego na świat wydała, dla czego zdawało mi się zawsze, iż dwa serca, dwa umysły i dwie zupełnie różne istoty przebywały we mnie? Od młodocianych lat przez ukochanego małżonka mego wyćwiczona w zbieraniu i oszczędzaniu bogactw, nie pożałowałam ich przecież dla samej siebie i zachody około tego podejmowane napełniały mię dwoma zupełnie różnemi uczuciami: rozkoszą i umęczeniem, choćbym też bez nich oddawna już żyć nie mogła. O pytyonowe mienie i sławę, której ono mu przyczyniało, dbając wielce, sługi i robotników naszych utrzymywałam w nieubłaganej karności, a za wszelkie niedbalstwo lub z ich winy poniesioną stratę, gniewem wybuchając, nieraz na ciężkie kary skazywałam ich sama, lub byłam przyczyną, że Pytyon na jeszcze cięższe ich skazywał. Bo i czemuż są za prawdę niewolnicy nasi? Towarem tylko za drogą cenę kupionym, nędznem robactwem, po-

zbawionem wszelkiej siły i dostojności, na to przez bogów stworzonem, aby nam, możliwym, usługi oddawać. Tak jest i w to wierzę, bo tak mnie nauczył Pytyon, którego rozum nigdy nie zawodzi i tak dzieje się na całym świecie, a czyżby bogowie dozwolić mogli, aby cały świat błędnie mniemał i źle czynił? Jednak, gdy jedna połowa istoty mojej tak myśli i postępuje, jako rzekłam, drugą dręczą i prześladują wszystkie jęki i łzy, — o nedorzecznosci! — prętemnie przecież samą wyzwaną i wyciśniętą! Ilekroć niewolnik lub niewolnica, zajęczeli pod ciężką chłostą, albo w ciemnicy zamknięci, jękami swemi powietrze napełnili, ilekroć zobaczyłam oblicze choćby najpodlejsze, lecz od płaczu opuchłe czy zakrwawione, tylekroć te głosy i te widoki długo szły na jawie za mną i przedemną, napełniały mi sen, z którego budziłam się wzdykająca i drżeniem we wszystkich członkach porwana; przeszkadzały mi w jedzeniu, weseleniu się i pieszczaniu dzieci moich, pomiędzy których słodkimi ciałami, a memi ustami stawały... Wiele cierpiałam przez to, nieraz sama siebie za własną głupotę łajac.... z trwogą też spostrzegam, że im więcej lat upływa, tem mniej to wszystko znosić mogę. Ty, Diloramie,

który podobno słuchałeś nauk mędrców maz-dejskich i greckich, dopomóż mi duszę moją z tych zagadek i wątpień wydobyć...

Diloram, gorącemi usty przylgnął do chudych, od pracy zgrubiałych, od wyniszczenia ciała pomarszczonych rąk macierzyńskich, ze zmieszaniem miłości i niepokoju, zawołał:

— Oby tylko co prędzej, po gotującej się zawierusze, nadeszły dla nas dni ciszy i uspokojenia, a wszystko uczynię, aby duszę twoją i dni twojej starości ukoić w pierwiastku światła...

— Gdy minie gotująca się zawierucha, a nastąpią dla nas dni ciszy i uspokojenia, uczynisz to, Diloramie—spokojniej już powtórzyła Gorgo; lecz znowu, niezmierną żywością usposobień swych pobudzona, ręce ku niebu wzniosła i zawołała:

— Niech bogowie mię skarżą, jeżeli za każdego z synów moich nie skoczyłabym wielkim pędem w wody Paktolu i jeżelibym dla każdego z nich, jak to czynią pelikany, piersi swej nie rozpruła! Ale ty, Diloramie, byłeś zawsze prawą żrenicą moją i w macierzyńskiej mojej koronie klejnotem najdroższym! Ostatnim darem zesłali mi cię bogowie, a gdy bracia twoi

z kolei od boku mego odchodzili i silnymi stawali się mężami, tyś jeszcze codziennie u piersi mojej usypiał i rozweselał mię dziecinnymi psotami. Z pomiędzy wszystkich braci, tobie bogowie dali najłagodniejszy umysł, najwątlesze członki i rysy najśłodsze, to też nazwałam cię moim najmniejszym i z pomiędzy wszystkich moich synów o ciebie zawsze niepokoiłam się najwięcej, boś mi się zawsze najślabszym wydawał...

Tu Melissa bliżej przygarnęła się do boku mówiącej i z pieszczotliwym wyrzutem szepnęła:

— A dla mnie, matko, która ciebie i najmilszego twego Dilorama gorąco kocham, ani jednego miłego słowa nie masz?

Śmiechem cichego uszczęśliwienia zadrżała pierś Gorgi.

— Ty, swawolnico, nie zawsze posłuszną mi jesteś—wesoło zaczęła—niemniej miłych i drogocennych przymiotów, słodczy, wesołości i przywiązania odmówić ci nie mogę. Jakkolwiek więc nieraz zbyt miłą miłość dla strojów i wolniejsze niżby młodziutkiej dziewczicy przystało postępowanie w tobie przyganiam, dlatego, żeś dziecięciem pytyonowego brata wcześniej i żałośnie osieroconem, że cię na ręku swoim, zhodowa-

łam, że Diloramowi memu miłą się stałaś, mam dla ciebie serce takie, jakbym cię z własnych wnętrzności swoich na świat wydała...

Umilkła na chwilę, a potem, dwóch młodych głów na piersi jej spoczywających z pod ramion swych nie wypuszczając, poważnie mówiła:

— Oto wkrótce nadejdzie dzień waszych zaślubin. Wiem o zamiarach, które dla przyszłości swojej tworzycie. Diloram opuścić chce dom ojcowski i zdala od napelniających go przepychów i zachodów, kawał dobrej roli, w jednej z tmolusowych dolin uprawiać i tam według swojej woli postępować. Dobrze! W oddaleniu od was zostanę, pisklęta moje, ale wieściami o pomyślności waszej uradują mię często gońcy, których ku wam wyprawiać będę; często też, gdy dom rodzicielki nawiedzicie, napasę oczy waszym widokiem. Dobrze! Niech Diloram żyje, kędy chce i jak chce, byleby tylko spokoju i szczęśliwości zażywał. I ty, Melisso, szczęśliwą będziesz, — choć skromne i ciche życie gotuje dla ciebie przyszły twój małżonek. Lecz jakkolwiek miłemi są bogactwa i drogocenną używana przez nie potęga, stokroć miłszym i drogo-cenniejszym dla serca niewiasty musi być jeden dzień z sercem przy sercu i z okiem w oku uko-

chane go męża spędzony. I jakkolwiek błogo jest niewieście być małżonką słynnego z bogactw i potężnego człowieka, słodko musi być i tej także, która bez zbytnich trosk i zachodów może po pracy swobodnie spocząć w cieniu platanów, lub za krośnami siedząc i powrotu oblubieńca od trzód i roli oczekując, w pokoju serca i świata słuchać wdzięcznego śpiewania skowronków...

Zamyśliła się i umilkła; potem, po głębokim jakby namyśle, rzekła znowu:

— Jam nierozumna i nieuczona niewiasta, nie wiem ani jakie drogi na świecie są lepsze, ani dla czego człowiek postępując jedną i losy swe błogosławiąc, potajemnie przecież wzdycha ku drugiej. Nie wiem także, którzy z bogów są najpotężniejsi, bo każdy lud innych wielbi i innym błagania i ofiary składa. Ale o szczęście twoje, mój najmniejszy, i twoje także, przysła małżonko jego, błagam wszystkich bogów, którzy nad całą ziemią panują. Niech błogosławią wam bogowie Lidy, można Cybela i boski kochanek jej Atys, bogaty w uciechy Sabazyos i piękna Astarte! niech sprzyja wam także i łaskawym na was będzie grecki Zeus, o którym od Chileasa cudne słyszałam powieści. Niech

też zdroje swojej światłości zlewa na was mazdejski Ormuzd i słońce po niebie oprowadzający, złotowłosey geniusz jego, Mitra! Niech wam przyjaznemi i łaskawemi będą niebo i ziemia, słońce i księżyc, gwiazdy i rośliny, zwierzęta i wody... Niech się tak stanie!

W ten to sposób, pod wachlarzem palmy, przez który przeglądały gwiazdy, wśród śniegu narcyzów i wydawanej przez nie woni siedząc, ta niewiasta w żółtym zawoju i wielkim fartuchu, osłaniającym kwiecistą suknię, błogosławiła dwoje pięknych dzieci, których głowy na piersi jej spoczywały. Jak czuła i trwożna kokosz rozpościerała ona nad niemi swoje ramiona, a twarz cierpiącą i zapadłe oczy, ku niebu wznosiła. O burzliwem, pełnem zagadek jutrze, które ją i jej wszystkich oczekiwało, w tej chwili zapomniała; jeszcze też ono najmniejszym błyskiem świtania nie ukazywało się pośród cicho uspionej, gwiaździstej, ciepłej, woniami nabrzmiałej nocy.

IV.

Wraz z wejściem na świat dnia nowego, połowę Lidyi okrył obraz, któremu podobnych nie wiele widziała i widzieć miała ludzkość. Było to olbrzymie wojsko ciągnące wzdłuż dwu naraz krain, bo gdy jedna jego połowa serca Lidyi, wspaniałego miasta Sardes już dosięgała, druga opasywała jeszcze całą szerokość Frygii. Dwie naraz ziemie, przez naturę w najpiękniejsze szaty ustrojone, przez starodawne swe dzieje dziełami ludzkiego kunsztu napełnione, okryły się tem morzem i zahuczały pod niem wielkim, ponurym, nieprzerwanym grzmotem. Nie wiele mniej niż dwa miliony uzbrojonych ludzi i niewiele mniej niż takąż liczbę zwierząt, Kserkses, syn Daryusza i Cyrusowej córce Atosy, prowadził na wojnę z grekami.

Niezmierneto było zbiorowisko i bardzo dziwne. Dziwnem, ciekawem, wszystkich sił wzroku, wyobraźni, pamięci, dla ogarnięcia go w głównych choćby liniach wymagającym było ono

przez to, że jak obraz mozaikowy z kamyków różnej natury i barwy, składało się z plemion i ludów różnej postaci, skóry, odzieży i zbroi.

Naprzód tedy ciężką, leniwą, szarą chmurą ciągnęły wozy zaprzężone wytrwałemi mułami, żywnością gatunku wszelkiego wysoko spiętrzone, a otoczone trzodą dromaderów, których ogromne garby, mnóstwem tobołów i wszelkiego gatunku brzemion objuczone, mętnie w obłokach kurzawy zarysowywały powoli sunący naprzód las bezkształtnych, potwornych wież. W części na tych wozach i wieżach siedzący, a w części pieszo idący przy nich ludzie, mieli pozór mrowiska, rozsypanego po ruchomej górze. Najnędniesi z nędznych, z samego dna niewolnictwa dobyci, do broni niezdatni, powoźnicy ci, świstami biczów, któremi naganiali zwierzęta i w tym samym celu wydawanemi z gardeł piskliwemi krzyki napełniając powietrze, byli jakby pierwszymi oznajmiaczami nadciągającej rzeczy jakiejś srogiej, groźnej, ponurej.

To przecież, co o jedno zaledwie stadyum, około sześciuset kroków ludzkich zawierające, po nich następowało, groźnem będąc, nie było przecież ponurem, lecz owszem bardzo świetnem.

Były to na czele zbrojnych ludów postępujące i przed wszystkimi innymi pierwszeństwo dzierżące hufce czysto perskiego rodu. W tyarach, mających kształt niskich cylindrów, a złotymi taśmami na cztery części przedzielonych, albo w śpiczastych, wysokimi pękami piór strusich i pawich powiewających kasyach, olśniewali oni kaftanami z żelaza, naśladowącymi wiernie mieniające się wzory i połyskliwość rybiej łuski, jaskrawemi barwami szarawarów, błyskami zawieszonych u pasa, krótkich, w drogocenne rękojeście wprawionych mieczów.

Piersi ich osłaniały tarcze, misternie z łożyny plecione, u ramion sterczały oszczepy, kołczany i wielkie łuki, tak wielkie, że lasem wysokim wznosiły się nad ich głowami. Piesze czy konne, hufce te wśród idących za nimi tłumów pierwszeństwo dzierżyły, nie tylko przez naczelnicze swe miejsce w pochodzie i świetność ubioru i zbroi, lecz także przez piękność rysów i siłę, butę, śmiałość postawy. Znać w nich było lud czystej aryjskiej rasy: biały, w członkach ciała i rysach oblicza kształtny, w ogniu żrenic i gibkości ruchów objawiający pełen życia i pożądań ruch myśli i woli. Znać w nich było także lud, który niedawno dopiero wystąpił na scenę dzie-

jów świata i niedawno u szczytu potęgi stanąwszy, siły rozpędu, która pchała go była naprzód jeszcze nie utracił i hartu, zapалу, wiary w swe przeznaczenie, które umożliwiają zdobycze, w puchach użycia wyczerpać nie miał jeszcze czasu. Znać było również, że oni to, w tę daleką, zamorską, pełną nieznanych groźb i obietnic wyprawę, prowadzili wszystkich innych, że oni jedni szli na nią nie pod biczem przymusu i strachu, lecz z pobudek własnej, wolnej i nawet gwałtownej woli; że oni to byli kwiatem odwagi i puklerzem mocy całego tego ciągnącego za nimi i przez nich ciągniętego mnóstwa, że nakoniec ktokolwiek ten kwiat zetnie i ten puklerz skruszy, już przez to tylko i owe mnóstwo zwycięży. Takimi byli ówcześni władzcy całego znanego świata; całego, z wyjątkiem północnych scytów i południowych etiopów, którzy bronili się przed nimi rozłogami swych pustyni i srogością swych mroźnych, lub skwarnych klimatów, oraz z wyjątkiem tej części Grecyi, która po za podbitą Jonią, Tessalią, Macedonią, nigdy im żądanej ziemi i wody w ofierze złożyć nie chciała; niedawno nad nimi na maratońskim polu świetne zwycięstwo odniosła, a na której czele stali fanatycznie do niepodległości swojej przy-

wiązani atęczycy i surowi, twardzi spartanie. Dlatego też zapewne, ku tym dwom nie-licznym i niewielką przestrzeń ziemi zamieszkującym ludom greckim, ówcześni władcy świata uczuwali jedną z tych wielkich, deptania i niszczenia się spragnionych nienawiści, któremi od czasu do czasu, duch pychy wypala w łonie ludzkości ogromne, krwawiące się rany. Nienawiścią tą i nadzieją zdobycia sobie nowych rajów bogactwa i rozkoszy zdjęci, szli oni naprzód ochotnie, mężnie, dumnie, z wiarą, że celu swego dopną, że pomszczą się, zdepcą, zdobędą, jak półbogowie, jadący na przebój garści śmiertelnych zuchwalców, albo olbrzymy, podnoszący stopę dla zdeptania roju malutkich mrówek. Takiemi były, przodem niezmiernych wojsk kserksesowych idące i jadące hufce czysto perskiego rodu, ale nie wiele ich było... Było ich bardzo niewiele w porównaniu z ciągnącemi za niemi i przez nich ciągniętymi tłumami, nieraz tłuszcami, pochodzeń najrozliczniejszych, zmysłów i serc wcale innych...

Pierwsi po nich w godnościach państwowych, pierwsi też za nimi postępowali medowie, z ubioru i zbroi do swych niedawno jeszcze niewolników, a dzisiaj panów podobni, lecz starsi, słab-

si, z dawnych dostojenstw odarci, z pierwszego miejsca zepchnięci i jakkolwiek dla starodawności sławy swej szanowani, niemniej upadek jej czujący tak w losach swoich zszarzałych i cięciem zwycięzców okrytych, jak w sercach upokorzonych.

Lecz za medami, na wielkiej przestrzeni krwawem, zda się, morzem, rozlały się miedziane hełmy i tarcze asyryjczyków, podnoszących w górę gęstą puszcę kopij i żelazem okutych pałek. Nie tak dawno jeszcze za cud i klejnot świata uznana Niniwa wysoko nad wszystkie ziemie wznosiła swe prawie bajecznie wielkie i wspaniałe mury, a uczeni jej skrybi na niezliczonej ilości cegieł spisywali pełne chwały imiona jej królów i pełne grozy zwycięstwa jej wojsk. Nie tak to dawno jeszcze, swoją wspaniałość, wytworność, do wysokiego stopnia doprowadzoną, biegłość w kunsztach i sztukach, bogatemi źródłami rozlewała ona na ościennie ziemie, które od niej brały wzory, nauki, pierwsze początki tego, co dalej snuć miały już same; nie tak to jeszcze dawno, jak zastępy zbrojne od niej rozbiegały się po ościennych ziemiach i strachem ziejące, wiecznie zwycięskie, dla zwyciężonych twarde, z piersi Medyi, Chaldei, Babilonii wy-

rywały jęki, a z ust hebrajskich proroków te klątwy, których wymowa przetrwać miała wieki. Teraz ta niedawna pani świata, z godności i woli wszelkiej odarta, leżała pod stopą nowego pana, a synowie jej, w lnianych pancerzach i miedzianych hełmach, z miedzianemi tarczami u piersi, a paszczą ostrych kopij i twar-dych pałek nad głowami, szli tam, gdzie im iść rozkazywano, gdzie żadne łupy ich krwią opłacone i żadna chwała ich męstwem zdobyta, ich łupem, ani ich chwałą zostać nie miała, tylko łupem i chwałą tego, który swem imieniem, ni-by olbrzymiem skrzydłem w ciemność zanurzył ich imię i swoją potęgą, ni-by olbrzymim dziobem, skruszył i pożarł ich siłę i wolę. W promieniach słońca miedziane ich hełmy płonęły jak rozpalone pochodnie, a w miedzianych tarczach osłaniających ich piersi, nakształt wybuchających wulkanów, gorzały skupione u ogniska blaski. Co pod hełmami myślały głowy, a pod tarczami czuły piersi tych synów Asyryi, to odbijało się w ich twarzach ponurych, wzrokach w ziemię wbitych i krokach leniwych, które nie ustawały tylko pod grozą wzroku, głosu, miecza, tysiączników i setników perskich, pod grozą najbardziej nieubłaganego w srogości i karze

męża, a wodza asyryjskich pułków, z babilońskimi zlanych w jedność dziwną, ze śmiertelnych, zażartych niegdyś wrogów złożoną, w taką jedność i równość, której udzielać zwykły tylko: śmierć i grób.

Ale to, co po tych naczelnych w państwie ludach i równych im jeszcze w oświacie, a podobnych z zewnętrznej postaci lidach, myzach, frygach, baktryanach, fenicyanach, armeńczykach, następowało, przedstawiało dla oka nierozwikłaną prawie gęstwinę zmieszanych ze sobą, wzajem odpychać się zdających zjawisk; a dla umysłu, niepodobną do rozwiązania zagadkę tego cementu, który tyle osobnych ułamków spoił w jedną, wprowadzie od patrocizny swojej krzyczącą budowę.

Czasem oddzielnemi i doskonałym porządkiem uszykowanemi hufcami, czasem jak trzody różnych gatunków zmieszane w wielobarwny, wielokształtny i wielojęzyczny chaos, szli tam, albo na koniach, na wozach, na wielbłądach jechali scytowie, ci ostatni tylko kupieni, albo podstępem w niewolę pojmاني, w odzież perską obleczeni, a oprócz łuków i mieczów, w rodzinne swoje, potężne topory zbrojni; kaspiowie w futrzanych, pomimo letniego skwa-

ru kaftanach, z szerokiemi szablami u pasów; sarangowie w sukniach tak barwistych, że od nich ćmiło się w oczach i w aż do kolan sięgającym, równie barwistem obuwiu; arabowie, których suknie śnieżną białością odbijały na tle otaczającej ich pstrocizny, a jaskrawemi pasami przewiązane, spływały im aż do stóp; judowie, w odzieży z bawełny w kraty i kwiaty tkanej, o łukach i strzałach trzciniowych; libijczycowie, z ciałami ściśle oszytemi w zwierzęce skóry; trakowie z głowami ukrytemi w lisich futrach, tak że ludzkie ich oblicza ukrywały się pod lisiemi, a w długich, mieniających się jak skóry węzowe szatach; najdziwniejsi nakoniec, z pomiędzy wszystkich, etiopi, z kopiami, u których szczytu sterczały nogi gazelli, z sękatemi pałkami, w skórach lwów i lampartów zarzuconych na ciała nagie i wraz z obliczem namaszczone w podłuż farbą białą w połowie jednej, a czerwoną w drugiej.

Cała ta powódź aryjskich, semickich, murzyńskich obliczy, ochotnych, ponurych, kształtnych i dzikich postaci, żelaznych pancerzy, kwiecistych kaftanów, szat barwistych, śnieżnych, długich i krótkich, skór, futer i rogów zwierzęcych, zawojów, pióropuszków, hełmów,

tarcz, kopij, łuków, oszczepów, kołczanów, mieczy, szabel, pałek, żelazem okutych wozów zaprzężonych końmi, koni ubranych w błyszczące rzędy, jednogarbnych i dwugarbnych wielbłądów, — cała ta niezmierna masa, oblana polyskami złota, miedzi, stali i drogich kamieni, a pod którą jęczała i nieustannym grzmotem huczała ziemia, posuwała się naprzód bardzo powoli. Wkrótce po przebyciu mostu, którym nad Helesponcką cieśniną, rozkaz Kserksesesa połączył Azyę z Europą, rozdzieloną ona być miała na trzy oddzielne i trzema oddzielnemi szlakami postępujące wojska. Ale teraz, tu, w granicach kserksesowego państwa, w którym nikt i nic oporu jej stawić nie mogło, a wszyscy i wszystko wobec niej miało znaczenie ziarnka piasku i jak ziarnko piasku przed orkanem, ustępować przed nią musiało — sunęła ona jednym szlakiem, jedną rzeką, tam, gdzie ogromowi jej utorowanych już dróg brakowało, zalewając wybornie uprawne pola, sztucznie zraszane łąki, winnice, które nagle znikwały bez śladu, kasztanowe, oliwne, daktylowe, śliwowe gaje, po których rozkwitłej gęstwinie, nagle pozostawały gromady szkieletów.

Jak pasmo rozcięte, którego obie połowy znacznie od siebie odsuniętemi zostały, tak ta

masa gęsta i stłoczona w miejscu jednym rozrywała się na dwie połowy znaczną przestrzenią z sobą rozdzielone. Była to jakby szczelina w murze, albo pomiędzy dwoma stłoczonymi nagromadzeniami ludzi i rzeczy, szeroka próżnia. Jednak próżnia ta zawierała w sobie najcenniejszy klejnot tego wojska i właściwą przyczynę zjawienia się jego na ziemi: Kserksesa i jego orszak.

W odległości kilku stadyów od tej połowy wojennego tłumu, którą przodem pchnięto, na pysznych i pysznie przybranych rumakach jechało tysiąc ludzi, z oszczepami, których ostrza ku dołowi były spuszczone, a za nimi, tysiąc pieszych, z lasem kopij nad głowami poprzedało wóz z olśniewającym bogactwem przybrany, przez ośm koni, olbrzymiego wzrostu i niepokalanie białych ciągnięty, a na którym nie siedział nikt, bo woźnica nawet miejsca na nim zajmując nie mając prawa, z błyszczącemi od drogich kamieni cuglami w dłoniach, pieszo, obok wyzłacanych i kunsztownie rzeźbionych kół jego postępował. Był to święty wóz Mitry, geniusza ormuzdowego, który słońce prowadził po niebie, a którego wyobrażenia w postaci posągu, lub obrazu, jak wszelkich zmysłowych wyobrażeń, bądź bogów światła i ciemności, bądź posługu-

jących im duchów, mazdejska wiara wyznawcom swym tworzyć wzbraniała. Więc z kształtów i rysów swoich żadnemu oku ludzkiemu nieznany, dobry geniusz Ormuzda, w zastępie duchów jego pierwsze dzierżący miejsce, bo dzięki czynności, którą on spełniał ziemia była płodną i piękną, a ludzie paść się mogli słodyczą jej widoków i płodów, — więc żadnemu oku ludzkiemu, w przypuszczalnej choćby, przez fantazję wysnionej postaci niedostępny, Mitra obecnym być musiał przecież wszędzie, kędy jaśniało oblicze i skierowywały się kroki pierwszego z pośród jego wyznawców, ducha — słońca ziemi, tak jak on był duchem — słońcem nieba. Dla tego to niezłomnego i gorliwie przez nadwornych magów głoszonego mniemania, że Mitra zawsze towarzyszy Kserksesowi, a obecnością swą udziela mu przymiotu niezwyciężoności i nigdy nieprzekwitającego szczęścia, wóz poświęcony jemu toczył się bezpośrednio przed wozem królewskim, który, ani drogocnością ozdób swych, ani pięknnością zaprzęgu nie ustępował mu wcale; owszem, był jak najściślej do niego upodobnionym, aby przez to, jak wykładowali nadworni magowie, śmiertelnym tłuszczom okazać, że niebieska i ziemską potęgą zostają

z sobą, w bratnim sojuszu równości, że zatem ktokolwiek poddaje się drugiej, łaskę i hojność pierwszej zdobywa. Lecz, gdy wóz Mitry poprzedało tylko tysiąc jeźdźców i tysiąc pieszych kopijników, za wozem królewskim otoczonym przez kilkunastu najbliższych jemu i w państwie najdosłojniejszych mężów, jechał kwiat nad kwiatami i tryumf nad tryumfami i wojska i państwa: miryada czyli dziesięć tysięcy jeźdźców, królewskich stróżów i ulubieńców, noszących imię miryady nieśmiertelnych. Nigdy, ani jednego z tej poświęconej królowi liczby rycerzy zabraknąć nie mogło; szczerbę sprawioną przez ubytek jednego, wnet zajmował nowy, co sprawiało, że poczet ten wydawać się mógł złożonym z zawsze tych samych, wiecznie młodych i silnych — nieśmiertelnych. Tu, na pierwszy już rzut oka poznać można było wysokie pochodzenie, bogactwo i górujące nad powszechnością umysły młodzieńców, którzy, w mieniące się jak rybia łuska, żelazne pancerze okuci, podnosili w górę las tkwiących u oszczepów złotych jabłek granatu, a od głowy do stóp ociekali złotem i dyamentami, strojącemi ich tyary i rękojeście mieczów, wiszącemi u ich uszu i szyi, świecącemi na ich rękach i stopach, na głowach, grzbie-

tach i goleniach ich rumaków. W tych zaś olśniewających blaskach bogactwa, twarze ich jaśniały nie samą tylko młodością i pięknnością, ale także światłem wszelkiej wiedzy, ówczesnemu światu dostępnej i wszelkiej gładkości, obyczaj ówczesny u samych szczytów jego wieńczącej. Z dwunastu pokoleń, na które od czasów prastarych dzielił naród persów, a z których jedne oddawały się wojennym, inne rolniczym, a inne pasterskim rzemiosłom, pierwszym zwierchniczem, przodującym w bogactwie, sławie i nauce było pokolenie Pazargadów, z którego wyszedł królujący dziś całemu niemal znanemu światu ród Achemenidów, — a oni, ci nieśmiertelni, wszyscy z pokolenia tego pochodzenie swe wywodzili i wszyscy od kolebki, ciałem i duchem gotowali się do przynależnych im, wysokich miejsc i przeznaczeń. Nic też dziwnego, że z pod udyamentowanych tyar patrzyły tam twarze białe, śmiałe, dumne, nierzadko oświecone boskim ogniem górnych uczuć i myśli, i że w tych właśnie twarzach tkwiło rozwiązanie dwu zagadek, — z których pierwszą było zrodzenie się na ziemi czystej i wzniosłej religii mazdeizmu, a drugą — zapanowanie jednego ludu, nad takim mnóstwem innych, utrzymywa-

nie w niewolniczej pokorze i posłuszeństwie ogromnej większości, przez maluczką w porównaniu z nią mniejszość. Zresztą, wszyscy ci pyszni jeźdźcy, złote granaty niby berła na głowy swe wznoszący, bardziej zdaleka lub zbliżka byli krewnymi króla, z tego samego co i on pokolenia ród swój wywodząc. Dla tych wszystkich więc przyczyn, ażeby nigdy, przez jedną choćby godzinę jakiegokolwiek niedostatku albo zmartwienia nie ucierpieli, tuż prawie za ostatnimi ich szeregami, mnóstwo mułów i wielbłądów ciągnęło na wozach, lub niosło na garbatych grzbietach ich żywność, napoje, stroje, służbę i — niewiasty. Tam także wieziono królewskie stroje, naczynia, służbę i żywność, — żywność wcale inną, od używanej przez tłuszcze śmiertelnych, więc: w srebrnych beczkach wodę wytrysłą z egipskiej krynicy Cheopsu, wino syryjskie, pszenicę z pól Eolii...

Na tej chmurze wozów i wielbłądów kończyło się wszystko, co zbliżka towarzyszyło królowi, powstawała nowa próżnia zawierająca w sobie kilka stadów, aż znowu, u jej końca rozpoczynał się wielki pochód wszechludów, gęstą i zbitą masą zalewał drogi, pola i łąki, łamał przed sobą winnice i gaje i kresem swym sięgał

ostatnich kresów widnokręgu, u których mętnie rysował tłumy ludzkich postaci, lasy ostrych zbroid, zaprzęgi wozów i garby wielbłądów, tak jak niekiedy chmury ogromne i burze brzemienne rysują na skłonach nieba straszdyła tajemnicze i groźne majaki.

Wóz Kserksesa, tak jak i wóz Mitry, pozłocony i w rzeźby z kości słoniowej ubrany, za wysłanie miał poduszki i kapy, iskrzące się purpurą i drogocennym haftem, a tak ułożone, aby pan świata i tu jeszcze zasiadać mógł, jak na tronie, na wszystkim, co wyprzedzało go, otaczało i za nim postępowało, postacią swoją górując. Była to zaś postać dla świetności tła i górnoci miejsca swego doskonale odpowiednia. Poprzedników Kserksesa, miliony ust przestraszonych, niewolniczych, niekiedy i szczerze miłujących, czcili przymiotnikami: najpotężniejszy, najsprawiedliwszy, najmędrszy; oddawał mu chwałbę przybył jeszcze jeden przymiotnik: najpiękniejszy. Młody, od kilku lat zaledwie berłem Cyrusów, Kambyzesów, Daryuszów władający, wzrostem swoim dosięgał on bardzo wysokiej miary, a rysami oblicza najprawidłowszych wzorów aryjskiej rasy. Z pod tyary takiej samej, jaką nosili wszyscy jego per-

szy rycerze, więc kształt niskiego cylindra mającej i tylko zamiast złotemi, dyamentowemi taśmami na cztery części rozdzielonej, czarne jak noc włosy, w sztucznie a wytwornie ułożonych kędziarach opływały mu plecy i ramiona; równie czarna, ogromna broda, z pełną też starania sztuką, a obyczajem perskim, w kilka jakby piętr zfalowana, prawie do pasa okrywała jego piersi. Długa suknia jego, z materyi mieniącej się kilku barwami, atalską zwanej, okrytą była haftami z przedziurawionych i na nici znizanych dyamentów, wśród których przeważały turkusy takiej wielkości i piękności, jakie sama jedna w świecie posiadała Persya, a to ją czyniło tak twardą i sztywną, że całkiem niewidzialnemi stawały się pod nią kształty i ruchy ciała, dla umniejszenia wielkiego jej ciężaru, bogate spięcia podnosiły ją nieco a przytwierdzały u jednego boku do równie jak ona twardego od drogich kamieni pasa, u którego też wszystkiemi barwami tęcza jaśniała rękojeść i pochwa krótkiego, perskiego miecza. Stopy Kserksesa na sprężystych puchach poduszek oparte, okryte były obuwiem przez perski również obyczaj wymyślonym, stopę całą purpurową i perłami haftowaną skórą okrywajacem,

a w końcu sterczącem długimi i wysoko do środka zakrzywionemi dziobami. Wyglądało to nakształt dobywających się z pod dyamentowej, twardej pokrywy, dwu zakrzywionych pazurów drapieżnego ptaka. Jednak, ani bajeczne prawie nagromadzenie drogich kamieni na jednej ludzkiej postaci, ani przedziwna misterność i harmonia ich układu, nie mogłyby tak zadziwić i zaciekawić przenikliwego wzroku, jak sprzeczność dwu cech, dwu z pozoru wyłączających się właściwości, a które przecież zarówno uderzały w zewnętrżności króla. Były niemi: sztywny, nieruchomy, kamienny prawie spokój postaci i niezmierna, niepohamowana, wulkaniczna ruchliwość i ognistość rysów. Ciało jego, na wprost, lecz w górnej połowie swej wśród poduszek i kap wyprostowane, w dyamentowej pokrywie zamknięte, stopy z wysoko zakrzywionemi dziobami, ręce pierścieniami okryte, i głowa, obciążona ciężką od drogich kamieni tyarą, wysoko górując nad głowami otaczających wóz jeźdźców, tak zupełnie żadnego nie dokonywały poruszenia, jak gdyby były z kamienia wykute, lub należały do ostygłego już trupa. Ale, biała, podłużna, o wielkich oczach i purpurowych ustach twarz, w gęstej chmurze

czarnych, na ramionach i piersi falisto spiętrzonych włosów, gorzała rumieńcami, płomieniami żrenic, drzeniem warg i policzków, przez to, ale przez to tylko zdradzając nieustanny, burzliwy, wewnętrzny potok myśli, marzeń, pożądań, może niepokojów i obaw. Przez to tylko, bo tak jak członki Kserksesa, żadnego nie dokonywały poruszenia, tak usta jego milczały. Spokój boga, z niezmiernych wysokości na ziemskie padóły spoglądającego, skrytość, niedostępność, powaga pana panów i zwierzchnika nad zwierzchnikami, powinny były przyoblekać go nieprzerwanie i z tłuszczy śmiertelnych wyróżniać. Wiedział o tem, ćwiczyli go w tem od kolebki mistrze dworacy i namiętnie go kochająca matka jego, Atossa. Ale z pomiędzy narodów Wschodu, jego naród najbujniejsze miał pomysły i najruchliwszy prowadził żywot; z pokoleń tego narodu, jego pokolenie energią czynów podbiło sobie miejsce najpierwsze, królowanie jego rodu niedawnem było, prawie nowem, bo po matce czwartego a po ojcu drugiego zaledwie mocarza w nim światu dało. Więc czynna, ruchliwa, niewyczerpana krew ogniem płynęła mu w żyłach, paliwa jej dodawała jeszcze młodość i wiedza

o dzierzonej wszechpotędze. Ta postać wysoko nad otaczającymi sunąca i kamiennie nieruchoma była wulkanem, który w swej głębi przelewał wieczne płomienie. W tej dyamentowej skorupie, młodą, szeroką piersią oddychał człowiek pyszny i tak bez miary gwałtowny, jak władza jego nad rzeczami i ludźmi była bez granic.

Na wozie Mitry, oprócz niewidzialnego geniusza słońca, nikt, nawet woźnica, zasiadać nie miał prawa. Kserksesowy woźnica, młody syn jednego z najmożniejszych w Persyi mężów, pieszo także u wyzłacanych kół postępując, trzymał w dłoni cugle, bardzo powoli kroczących ośmiu niepokalanie białych rumaków. Z obu stron wozu głowami swemi do połowy zaledwie Kserksesowej postaci sięgając, jechało dwunastu najprzedniejszych w Persyi dostojników, jak bowiem siedzenie króla górować musiało zawsze nad siedzeniami zbliżską go otaczających, tak liczba ich przenosić nie mogła nigdy dwunastu. Przy biesiadach, wśród państwowych narad i w podróżach tylko dwanaście istot ludzkich—ogromnej ilości niewolników, jako też niewiast w rachunek nie przyjmując—oblicze jego zbliżka widzieć

miało prawo. Ci najbliżsi krewni króla i najwyżsi dowódcy wojsk jego, posiadali w tym pochodzie swoje wspaniałe wozy i swoje miejsca przed pułkami, w których naczelne sprawiali urzędy. Teraz przecież, gdy król po raz pierwszy przebywał jeden z najpiękniejszych krajów swojego państwa i wjeżdżać miał do miasta Sardes, tego miasta, które obok Suzy, Ekbatany, odbudowanego Babilonu, frygijskiej Kelanei, egipskich Teb i innych kwitnących stolic stanowiło jeden z drogocennych klejnotów tego państwa, oni, na najpiękniejszych swych rumakach i w najpyszniejszych swych strojach, zbiegli się dokoła królewskiego wozu, aby w odpowiedniej postaci ukazać się w starej, sławnej, w zbytkach i rozkoszach zanurzonej stolicy Lidyi. Więc też tyary ich i kassye puszyły się pękami piór strusich i dyamentowych, na piersi, z pod bród spiętrzonych spływały złote łańcuchy, w uszach mieli świeące kolce, na palcach pierścienie z pieczęciami, rznietami w szafirach, onyksach, kornalinach, u dołu szat frendzle z pereł, na stopach obuwie z jaskrawemi hafty i wysoko do środka zakrzywionemi dziobami.

Już przodem pochodu idące hufce dosięgły Sardes i dokoła tego miasta wielką przestrzeń

różnobarwnemi namiotami okrywały, gdy najbliżej królewskiego wozu jadący Mardoniusz, ręce złożył w ten sposób, aby ręka prawa znajdowała się w dłoni lewej, do piersi je przycisnął i wzrok ku królowi wznosząc, przemówił:

— O, panie! Naczelniczając wojskom ojca twego i twoim, wiele krajów i państw zwiedziłem, lecz nie widziałem miejsca tak pięknego, jak ta oto okolica Lidy, w pierwszym miesiącu kwiatów. Czy spostrzegasz, o królu, kasztanowe wzgórza, kwitnącemi drzewami okryte, a u stóp ich, to wielkie domostwo, którego miedziane dachówki goreją jak roztopione złoto?

Brat królewski, Histaspes, rąk u piersi na znak pokory nie składał, ale owszem wskazujący palec ku punktowi, na który Mardoniusz wzrokiem tylko ukazywał wyciągając, z żywością i śmiało zawołał:

— Czy widzisz, o królu, te ogrody, które na stoku wzgórz wyglądają jak zawieszone w powietrzu i szeroko rozpływają się po równinie? Śmiało iść one mogą w porównanie z rajem otaczającym twój pałac w Suzie! Radbym uj-

rzał jak wygląda ten niewolnik twój, który sobie tak wspaniałe siedlisko urządził?

Gdy Histaspes to mówił, biały rumak jego z pękiem misternych i drogocennych kółek u łba brzęczących, dokonywał pod nim niespokojnych skoków i zwrotów. Nic w tem dziwnego nie było, bo Histaspes, dzielny i doświadczony jeździec, dziś po raz pierwszy tego wierzchowca dosiadał. Wielekroć przedtem oznajmiał on chęć swoją posiadania konia z przedziwnej nizajskiej rasy pochodzącego, lecz nie wiele miała ich Persya i poświęcano je Mitrze i królowi. Zkąd go otrzymał teraz? Nikt o to królewskiego brata nie zapytywał i niewielu tylko ludzi widziało, jak przywiódł go był wczoraj jakiś wysoki i ustrojony, ze śniadą twarzą i giętkim układem lidyjczyk. W ręku tegoż lidyjczyka widziano także dzban z cennego metalu i wielce kunsztownie wyrobiony, któremu z ciekawością przyglądał się był znowu drugi brat króla, Mazistas. Teraz Mazistas, jeszcze śmielszy i poufalszy od Histaspas, jakkolwiek mniej od tamtego wesoły, owszem, chmurny i trochę szyderski wzrok ku królowi wznosząc, młodszemu bratu mowę przerwał:

— Widzę gromadę ludzi od domu tego w tę stronę ciągnącą, a na jej czele chór niewiast, zapewne, o królu, młodych i pięknych, bo niewolnicy twoi wiedzą, że widok takich, zapalić może w twoich boskich oczach promienie łaski!

Tu, mag Sovab, ramiona rozpostarł i uroczystym głosem zawołał:

— Szczęśliwa wróżba, o królu! Szczęśliwą wróżbę dla wielkich twoich przedsięwzięć spostrzegam w tych dymach, które wzbijają się nad równiną i których woń zdaleka już nas dochodził! Arabskie kadzidło, ambre, cynamon czuję w powietrzu! A czemuż jest ten szlak dziwny, który nakszałt złotego węża wiję się pośród traw i kwiatów?

— Jest to, o ile ztąd dostrzedz mogę, droga usypana złotym piaskiem, zauważył Mardoniusz. Zaprawdę, dodał, któryś z niewolników twoich zamierzył snąć w tem miejscu, cześć przynależną oddać ci, panie świata.

Kserkses milczał, ale nadaremnie najbliżsi mu towarzysze, usiłowali uwagę i ciekawość jego rozbudzić, bo jakkolwiek nieruchomy i milczący, daleko jeszcze baczniej i ciekawiej od nich rozglądał się on dokoła. Kiedy, uczuł

zapach kadzideł, o którym mówili tamci i wi-
jący się po równinie szlak złotej drogi dostrzegł,
nozdrza jego jak u zwierzęcia węszącego zdo-
bycz, poruszyły się gwałtownie. Możnaby
mniemać, że uczuł w powietrzu woń hołdów.
Przenikliwym wzrokiem wpatrując się w gmach
ciemny, wielki, miedzianym dachem jak poża-
rem pałający; najniespodzianie zapytał:

— Ilu jeźdźców rzędem wjechać może na
wschody mego pałacu w Suzie?

— Dziesięciu, o panie! śpiesznie odpowie-
działo kilku z jeźdźców.

— A ilu takich zmieścićby się mogło na
wschodach tego oto domu?

— Co najmniej sześciu, królu, już ja się
znam na tem! wykrzyknął Histaspes.

Wozy Mitry i Kserksesa posuwały się coraz
powolniej; wśród zwolna jadących za nimi nie-
śmiertelnych, jak potężny szum wiatru, roz-
szedł się szmer stłumionych rozmów i okrzy-
ków. Cudowna równina, pomiędzy Tmolusem,
rysującym na niebie z jednej strony potężne
swe garby i szczyty, a wieńcem obejmujących
je ze strony drugiej wzgórz kasztanowych, roz-
toczyła przed nimi swoje łąki, winnice, kwieci-
ste ogrody, błękitną szarfa Paktolu opasane.

Zajaśniały oczy, rozigrały się wyobraźnie i otworzyły usta tych wyborowych synów Iranu. Pamięć ich owionęły wspomnienia ich pięknej ojczyzny; zmysły przeczuły rozkosz.

Oczy Kserksesa stawały się coraz żywsze i szybko obiegając wszystkie punkty równiny, podobne były do ptaków, które wciąż zrywają się do lotu, lecz powściągają skrzydła, nie wiedząc, na którym, z mnóstwa otaczających je szczytów naprzód spocząć mają. Były to oczy człowieka, który pragnął wszystko od razu przeniknąć, doznać i osiąść. Spoczęły nakoniec znowu na wielkim gmachu. Zarazem Kserkses zapytał:

— Ile komnat mieści w sobie mój pałac w Suzie?

— Przeszło dwieście, o królu! odpowiedział Mardoniusz.

— A ile ich ten zawierać może?

Satrapa Lidyi, Artafernes, po raz pierwszy głos zabrał i lewą rękę w prawą wkładając, a obie przyciskając do piersi, odpowiedział:

— Niewolnik twój, o panie, nieraz w tym domu, od właściciela jego gościnne dary przyjmował. Zawiera on w sobie niewiele więcej komnat nad sto.

Tu głos Kserksesa wybuchnął z taką siłą, że jak ryk lwa wśród szumu wiatru, rozległ się wśród szmeru nieśmiertelnych.

— Wielkim jest Ormuzd! ten człowiek posiada domostwo o połowę tylko mniejsze od mojego!

Ale wnet umilkł i przygasły błyski dyamentów, które na jego tyarze, od żywych poruszeń głowy, rozkołysały się były i rozigrały. Woń kadzidel stawała się coraz silniejszą i coraz bliżej widać było obłoki dymów, unoszące się nad węzem złotej drogi i gromadą ludzi, postępujących w takim kierunku, aby u jej końca spotkać wóz królewski.

Histaspes ze szczerym śmiechem zadowolenia, zawołał:

— Już rozróżniać mogę trzy niewiasty, które przodem wielu innych postępując, mirt i koniczyne na złoty piasek rzucają. Jedna z nich z szat i postaci podobna do węża, który w gibkich zwrotach, różnobarwną łuską połyskuje,—druga, w białej tunice, we włosach ma perły... trzecia...

— Młodemi oczami, same tylko niewiasty dostrzegasz, Histaspie, — z łagodnym uśmiechem ozwał się milczący dotąd stryj króla,

srebrno-brody Artaban, — ja zaś spostrzegam, wiodącego cały orszak, w długą suknię lidyjską ubranego starca i postępujących za nim pięciu dorodnych, bogato przybranych młodzieńców.

Teraz plecy Kserksesa oderwały się od poduszek, które im za miękkie oparcie służyły i wyprostowany zwrócił się on przecież w stronę nadchodzącego orszaku. Nozdrza jego poruszały się coraz żywiej, oczy zdawały się pożerać złotą drogę i unoszące się przed nim dymy.

— Artafernes! — zawołał.

Satrapa Lidyi, złożone ręce do piersi przycisnął, bokiem wierzchowca swego o samą poślacaną krawędź wozu się otarł.

— Jak nazywa się i kim jest człowiek, który z tego wspaniałego domu wyszedłszy, drogę mi zachodzi?

Artafernes stary sługa Daryuszowego domu, który panu swemu hufce lidyjczyków był przyprowadził i dowództwo nad nimi dzierżył, odpowiedział:

— Jest to, o panie, Pytyon lidyjczyk, role obszerne, kopalnie bogate i handle niezmiernie bogate mający. Sławią go ludzie i wysoko podnoszą za bogactwo i wielki rozum.

— Rozumnym być musi, skoro panu swemu zamierza, chociaż nędzny i oczu jego niegodny, hołd złożyć — zauważył Mardoniusz.

— A te piękne niewiasty, które i ja teraz wyraźnie już rozpoznaję, oczom pana ukazać — dodał Mazistas, któremu widocznie sprawa jakaś niewieścia tkwiła w sercu i odzywała się w zwracanych do Kserksesa słowach.

Ale z ust królewskich wyszło lekkie gwizdnięcie. Zrozumiał je woźnica, bo wnet ściągnięciem cugli konie i wóz na miejscu zatrzymał, głośniejszy, wyraźniej powtórzył je na wiszącej mu u sukni złotej trąbce Mardoniusz, a krótkie, urwane dźwięki trąbek, przez tysięczników wydawane, od tysiąca do tysiąca jeźdźców powtarzały się coraz dalej, jak echa jedne drugim odpowiadające, aż cały orszak królewski od przodem postępujących łuczników i kopijników do ostatniego szeregu nieśmiertelnych, wraz z dwoma środkiem zajmującymi wozami, stanął jak w ziemię wryty. W tejże samej chwili, u kresu drogi, złotym piaskiem wysypanej, a u pytyonowego domu początek swój biorącej, dużą, bo może całe stadrum zabierającą przestrzeń, okryły ciała ludzkie, które nakształt ściętych kwiatów, w głębokim milczeniu, twarzami położyły się na zie-

mię. Tylko trzy niewiasty, dostojne znać i na przodzie licznego pocztu niewolnic postępujące, twarzy swych w złotym pyłe nie ukryły, ale zgiąwszy kolana i pochyliwszy głowy, z drżących dłoni rozsypywały drobny mirt i trójlistną koniczynę: Nad obu orszakami: tym, którego wozy i konie stały jak w ziemię wryte i tym, który w barwistych strojach, jak łąn świętych kwiatów na pozłacanej ziemi leżał, świeciło w górze, jasne, ale łagodne słońce i z woniami ambry, sandału, cynamonu, piżma, aloesu, przeciągały obłoki kadzidłowego dymu.

Błyszczące tyary znakomitych mężów perskich chyliły się wzajem ku sobie i z cicha oni szeptali:

— Spójrz, Histaspie, na tę niewiastę do węża podobną... Krucze jej włosy mnóstwem tasiem wiją się nakształt węży, a wargi ma rubinowe...

— Piękniejsza dla mnie ta, której alabastrowa szyja wylania się z białej tuniki, a perły owijają warkocze do pozłoczonego bronzu podobne... Więc lidyjki bywają tak białe? O wiosno!

Nad temi szeptami wzniósł się głos Kserkse-sa, zapytujący:

— Czego żąda odemnie ten lidyjczyk, który wraz z domownikami swymi drogę mi zaszedł?

Wtedy, u samego wstępu złotej drogi leżący starzec, podniósł z nad ziemi twarz bogatym zawojem ocienioną, a tak wzruszoną, że rumiane policzki jego i siwa broda poruszały się niepodobnem do poskromienia drżeniem. Długa, uroczysta szata lidyjska, w miękich zwojach daleko za nim słała się po złotej drodze i aż ku ziemi spływały szerokie jej rękawy, gdy w klęczącej postawie, z dłońmi u piersi splecionemi, mówić on zaczął. Zaczął, lecz zaledwie parę dźwięków wydobyło się z ust jego, umilkł znowu i drżał coraz silniej. Czy to trwoga, odbierała mu siłę i w gardle więziła głos? Bynajmniej, jeżeli przez chwilę i doświadczał tego uczucia, bez śladu ono zniknęło wobec innego, którem była — miłość. Wzniesione ku Kserksesowi siwe oczy jego gorzały jej płomieniem i nurzały się w jej zachwycie, gdy z wysileniem mówić zaczął:

— Więc na twoje to oblicze patrzę i twoją to postać oglądam, na koniec nędzne oczy moje, o królu! o, panie! o, kochanku bogów i ziemi... ty, wielki! ty, potężny! ty... święty!...

I znowu głos, raczej szept jego skonał, ale tym razem w łkaniu, które zatrzęsło jego piersią i zwisającym na nią z pod siwej brody złotym łańcuchem.

Nigdy żaden wyznawca nie słał ku swemu bóstwu modlitwy czulszej nad tę, którą teraz Pytyon lidyjczyk, wznosił ku siedzącemu na wysokiem usłaniu swego wozu, królowi.

— Stary jestem, o panie, i litościwi bogowie błogosławili zawsze owocom trudów i starań moich... Mam małżonkę, którą miłuję, synów dorodnych jak cedry Libanu, ziemie rozległe, śpichrze pełne i skarbiec bogaty... Lecz jak wargi niemowlęcia, które po raz pierwszy chwytają piersi matki, podniebienie moje po raz pierwszy kosztuje szczęścia, bo ciebie oglądam, o, słońce!

Teraz, twarz podniósł i splecione ręce wyciągnął wysoko ku temu do którego się modlił, a tak wyglądał, jakby niezmierna siła zachwycenia, wnet same prawa natury przełamać i nad ziemię porwać go miała.

— Z dziećmi i domownikami swoimi wyszedłem na twoje spotkanie, o umiłowany! a drogę przed tobą złotem Paktolu i świętymi ziołami usławszy, błagam cię, abys mię najszczęśliwszym z pomiędzy śmiertelnych uczynił, w tym oto domu moim, wraz z całym swoim oszakiem, owoce roli mojej i dary gościnne, na jakie niewolnikowi twojemu starczy, przyjmując!

Z twarzą wzniesioną i wyciągniętą w górę rękoma, błagający, rozkochany, w obliczu królewskiem mrużące się od łez i zachwycenia oczy topiąc, umilkł, skamieniał.

Ruchliwą twarz Kserksesa przebiegało mnóstwo przelotnych, bo różnej natury uczuciami budzonych uśmiechów, które czyniły ją naprzemian wzgardliwą i szyderczą, to łaskawą i zadowoloną.

— Podoba mi się ten człowiek, a wspaniałość jego domu ciekawość we mnie obudza. Jestże on tak bogatym, aby mnie i nieśmiertelnych moich, z którymi rozstać się ani na jedną godzinę za nic nie chcę, mógł gościnnymi darami podejmować?

Najlepiej rzeczy świadom Artafernes, odpowiedział:

— O, panie! Pytyon lidyjczyk jest w całym twojem państwie najbogatszym mężem po tobie!

Coraz więcej zdziwiony i zaciekawiony, król zdawał się jeszcze wahać.

— Wiecie o tem, krewni i najprzedniejsi ze sług moich, że bez waszej porady, anim się na tę wojnę wybrał, ani żadnego z postanowień nie przedsięwzię. Czyliż mniemacie że teraz, w wojennym pochodzie się znajdując, powinienem oczekiwanie mego miasta Sardes

przedłużyć, a na prośbę człowieka tego przystając, w domu jego dzień wesołości przyjąć?

Stary stryj królewski, Artaban, pierwszy odpowiedział:

— Powinieneś uczynić to, królu, bo człowiek ten kocha cię prawdziwie, serce zaś szczerze kochające to klejnot, który rzadko pod stopy królów upada... Równie stary i białobrody Otanes, ojciec królewskiej żony, Amestry, a wódz perskich hufców, zgodził się w zdaniu z Artabanem.

— Sprawianie radości małym, jest szczęściem wielkich — rzekł.

Ale ci dwaj, najmniej przez króla słuchanymi byli. Cekał na to, co powiedzą: Mardoniusz, Histasp, Mazistas i inni; oni zaś gdyby byli nawet śniadego Wamika nigdy nie widzieli, z twarzy królewskiej i z własnych swych chęci wyczytaliby swoje zdanie.

— Uczyń to, królu! ten człowiek wydaje mi się godnym łaski, o którą błaga — pierwszy rzekł Mardoniusz.

— Siebie i nas nie pozbawiaj dnia wesołości, Kserksesie — szepnął do brata najśmielszy i najweselszy Histaspes, a ku Mardoniuszowi nachylony, dodał:

— Patrz, patrz, Mardoniuszu, jak ta niewiasta do męża podobna, ku tobie czarnem okiem zerka... Na mnie zaś nieszczęśnika, ta wiosna oblana perłami, która mi się najlepiej podoba, ani patrzy...

— Wyborne są, o królu, wina syryjskie, któremi pewno mąż ten częstować nas będzie, a nad lidyjki piękniejszych niewiast w państwie twojem nie ma!—jak zwykle z czcią powierzchowną a utajonem szyderstwem rzekł Mazistas.

Kserkses na magów milczących dotąd spoglądał. Nigdy, najmniejszej wagi czynu, bez usłyszenia ich przepowiedni nie przedsiębrał. Dwóch ich było: Sorab i Bursujech, którzy mu wszędzie i nieodstępnie towarzyszyli, a teraz o tajemnych rozmowach z Wamikiem pamiętając i jednomyślnie na strzemionach się podnosząc, z uroczyście rozłożonemi ramionami zawołali:

— Wielki Mitro, oświeć nas! Mitro, który słońce po niebie oprowadzasz, daj nam poznać wolę Ormuzda i drogę królewską!

W głębokiem milczeniu, które potem wezwaniu magów zapanowało, rozbrzmiał po chwili głos Soraba.

— Czy widzisz, królu, jak niecierpliwie rumaki Mitry kopytem ziemię grzebią, jak nozdrza ich świętym ogniem parskają, jak grzywy ich jeżą się i nachylają w stronę domu o miedzianym dachu?...

Grozą i strachem jakby zdjęty, umilkł mag a Kserkses, na wozie swoim stojąc, olśniewającą od blasku dyamentów tyarę i pod nią twarz nieco zbladłą naprzód podawszy, w święte konie Mitry utkwiał wzrok niemal pokorny. Wierzył w nadprzyrodzone znaki, w złe i dobre wróżby, w obietnice i groźby magów. Czy widział i teraz święty ogień tryskający z nozdrzy rumaków Mitry i grzywy ich zjeżone w kierunku domu o miedzianym dachu? Może, bo pod suknią osypaną dyamentami ciałem jego poruszyło zaledwie widzialne drżenie a pod gęstym łukiem czarnych brwi, oczy napęłniły się trwogą, niemal grozą. Sorab zaś, po chwilowem milczeniu, wśród którego czoło krył w dłoniach i w gęstwinie swej spiętrzonej, rudej brody, modlitwy szeptał, głowę podniósł i tak głośno, że go naokół słyszały pola, sady i kasztanowe wzgórza, przemówił:

— Ormuzd mówi: wejdź do domu sługi twojego i spokojnie owoce z roli jego pożywaj, bo

każdy dzień wesołości twojej jest perłą świata, a temu, który ci go dostarczy, bogactwo i Ormuzdowe zbawienie!

Teraz, zbladła twarz Kserksesa, oblała się rumieńcem i wyrazem młodzieńczej radości, którą jednak szybko ukrył, ze wspaniałą natomiast i sztywną łaskawością ku Pytyonowi się zwrócił.

— Odkąd z wojskiem mojem w ten pochód wyruszyłem, pierwszym jesteś, dobry mężu, który mnie i mojemu hufcowi owoce ze swojej roli i dary gościnne ofiarujesz. Skoro zaś krewni i najstarsi słudzy moi tak postąpić mi doradzają a kapłani Ormuzda dobre przepowiadają wróżby, żądaniu twemu zadość uczynię.

Kiedy to mówił, głos jego był tak czystym i łagodnym a spojrzenie z taką pogodą i niemal przyjaźnią w dół spływało, że po drgającej twarzy wpatzonego weń Pytyona, pociekły tym razem łzy rozczulenia.

Potem, drogą usypaną złotym piaskiem, ciągnął przodem ku pytyonowemu domowi orszak barwisto przybranych mężczyzn i niewiast, którzy z rozkołysanych kadzielnic wyrzucali w powietrze obłoki wonnego dymu a na ziemię syпали mirt i koniczynę. Za nim jechali łucznicy,

szli kopijnicy, toczyły się z wielkim sprzęgiem białych rumaków wspaniale usłane wozy Mitry i Kserksesa, rzeźko lub poważnie sadzili na koniach najprzedniejsi wodzowie i dostojnicy. Aż nakoniec, w całej długości swej rozwinęła się na tym złotym wężu miryada nieśmiertelnych, a jakkolwiek w głębokim milczeniu ciągnęła, sam jej widok, blask, ochotne posłuszeństwo, w którym za panem swoim postępowała, napęłniły przestrzeń myślą i duchem pieśni wschodniej:

„U twoich cugli świat, u twego strzemienia czas,
Gdy ruszysz strzemieniem, nie dziw że za tobą
Płyniemy strumieniem...”

V.

Zsiedli z koni, a stoki i szczyty wzgórz okryw-
szy połyskami swych ubrań i zbroi, orzeźwiali
się cieniem kwitnących kasztanów, winem, któ-
re z ogromnych kraterów czerpali dla nich
w dzbany i puchary niewolnicy i niewolnice
Pytyona. Wozy i wielbłądy wiozące ich żywność
i służbę, na odległych wielkich łąkach spoczęły
chmurą, od której jedna po drugiej odrywały
się gromadki niewiast, z zasłoniętymi, lub od-
słoniętymi obliczami i ciekawie, a coraz śmielej
zbliżały się ku miejscom spoczynku i ucztowa-
nia. Z miejsc tych, staczał się na równinę gwar
ludzkich głosów, do brzęczenia olbrzymiego ro-
ju pszczoł podobny, z brzękami stali i rzeniem
koni zmieszany, ale nieśmiały i przerywany czę-
stem milczeniem, bo tłumila go bliska obecność
pana, o której umysły, jakkolwiek zapalczywe
i wesołości bez granic chciwe, lecz jeszcze trzeź-
we zapomnieć nie mogły. Jedno tylko święte
wzgórze Cybelli w swym poświęcanym gaju

stało puste i ciche, w powietrze słonecznymi blaskami przejęte wysoko wznosząc ogromną postać i srogi zaprzęg bogini.

Pośród murawy i fiołków, uścielających taras pytyonowego domu, w cieniu rosnących na nich palm i mirtów, Kserkses, sztywny w swej dyamentami haftowanej szacie wstępował na stopnie tego siedzenia, które wczoraj jeszcze budziło tak niespokojną ciekawość Gorgi, a dziś, z obłon swych rozpowite, okazało się arcydziełem azyatyckiej sztuki. Było to w pół krzesło, a w pół łożę, na stopniach z marmuru wysoko nad poziom wzniesione a spoczywające na grzbietach dwu lwów spiżowych, których wydłużone i na zdobycz jakby czatujące ciała, muskuły potężne i nakszałt stalowych strun wyprężone, paszcze do ryku rozwarte i jakby kurczem wściekłości zdjęte, ludzaco naśladowały naturę tych ulubionych wschodowi i jego mocarzom zwierząt. Ze złożonych poręczy tego tronu zdawały się zrywać do lotu gryfy, w pół lwie, w pół orle postacie mający a miękkie jego siedzenie okrywała kapa, którą wśród frendzli z pereł, czarodziejskie palce wschodnich tkaczek okryły gęstwiną fantastycznych liści i kwiatów. Takiej piękności lwy, widywali per-

sowie tylko w zdobywanych stolicach Asyryi i Babilonii; na tak drogocennych kapach zasiadał Kserkses tylko w swoim pałacu, w Suzie. Ale zdziwienie i zadowolenie z pod maski nieruchomości wybijające się na twarz króla, wzrosło i zupełnie widocznem się stało, gdy zasiadłszy na tym, tak niespodzianie wzniesionym dla niego tronie, ujrzał pięciu dorodnych i strojnych młodzieńców, dźwigających i przed nim stawiających rzecz osobliwą i prawie bajeczną: ze złota kunsztownie wyrobione a wzrostem wysokiego człowieka przenoszące drzewo platanowe. Był to przedmiot z takim mistrzostwem przez artystę wyrobiony, a tak ogromnie cenny, że nie tylko już z piersi wodzów perskich, ale i z ust Kserksesa wydarł okrzyk podziwiania. Pytyon zaś, w pokłonie czołem ziemi niemal dotknąwszy, ze złożonemi u piersi rękoma, mówił:

— Tron ten, o najpotężniejszy! na wzór tego, na którym zasiadali asyryjscy królowie, wykonał pewien mistrz z Ekbatany a śpieszyć się musiał, ponieważ zamówilem go już wtedy, gdy mię o spodziewanym twym, panie mój, przez Lidyę pochodzie, pewna wieść doszła. Gdybyś na sługę swego nie był łaskawie wejrzał i na

progu jego domu świętych stóp swoich postawić nie chciał, powiozłbym go był za tobą do Sardes, do Abydos...—Tu, przyrodzona człowiekowi temu rubasznosc mowy przewyciężyła cześć i rozczulenie, których był pełen. Zarzucając na ramię jeden z szerokich rękawów swej sukni, z gestami malującemi zacięty upór, dokończył:

— Na Cybellę! przez Helespont bym go przewiozł, do Tracyi, do Beocyi, na Peloponez, do samych przeklętych Aten wiozłbym go za tobą, ścigałbym cię z nim, o najukochańszy, choćby w podziemne królestwo cieniów, ażeby spocząc na nim musiały królewskie twe członki!

Wtedy Histaspes, chmurny Mazistas i Mardoniusz z chytrem obliczem, którzy u stóp króla, na stopniach tronu zasiedli, nawet stary Otanes, teść królewski i jeden z magów, zabawieni rubasznemi gestami i poufałą mową starca, śmiechem wybuchnęli. Artaban uśmiechał się pobłaźliwie, Artafernes z trwogą spoglądał na króla, nie będąc pewien uczuć, które obudzi w nim postępowanie obywatela, rządzonej przez niego prowincyi. Ale oczy króla, w złoty platan były utkwione i wyczytać z nich było można tylko niecierpliwość, z jaką oczekiwał słów, któreby stosowały się do tego przedmiotu, budzą-

cego w nim widoczny podziw i pożądlivość. Pytyon też, ręką przedmiot ten ukazując, zaraz mówił dalej:

— A to drzewo, panie, było najdrogocenniejszą ozdobą skarbca mojego—na Sebasiosa, nie próżnego wcale! Niedarmo stary Pytyon, sprzedając, kupując, handlując na pocziwym swoim Moszu, zwiedzał mnogie i oddalone kraje, wynajdywał, widywał i nabywał rzeczy, których obrazu innym śmiertelnym nie przynosiły na wet sny najbujniejsze. Ten cud znalazłem i na byłem w stubramnych egipskich Tebach. Oprócz roboty snycerza, czegoś wartej przecież, mieszczą się w niem dwa talenty, dziesięć min, pięć staterów, osiem chalkusów i jeszcze ileś tam dichalkonów czystego złota. Waga pewna, sprawdzałem ją nieraz, a starego Pytyona w rzeczach takich nikt nie oszuka...

Coraz więcej stary handlarz brał w nim górę nad świeżym dworakiem; królewscy bracia i ulubieńcy uśmiechali się, lidyjski satrapa drzeć zaczął, lecz mowy mu nie przerywał, spostrzegając wyraźnie niecierpliwość, z jaką król oczekiwał jej końca, Pytyon też zaraz ją dokończył.

— I to cudo świata, jako dar gościnny składam u stóp twoich, o królu! przyzodób niem

pałac swój, widokiem jego pocieszaj oczy swoje i niech bogowie przedłużają lata twoje nad Persyą, ty wielki, ty mocny, ty potężny!

Znowu łzy zabłysły mu w siwych oczach i znowu w pokłonie czołem niemal dotknął ziemi, lecz gdy głowę podniósł widać było, że pomimo głębokiego przed celem czci i miłości swojej ukorzenia, czuł się bardzo dumnym. On, człowiek niegdyś podbitego i upokorzonego plemienia, prosty sobie handlarz, żadnym głośnym czynem wojennym, ani dziełem mądrym nieodznaczony, to posiadał, tego doścignął, że króla persów takimi dary ugasać mógł, które w nim, w tym najwyższym wyrazie potęgi ziemskiej, zachwyt i podziwienie budziły. Był więc także potężnym; dzięki posiadanemu bogactwu uczuł się tak potężnym, że bez zmrużenia powiek, promieniejącym od radości wzrokiem patrzył w twarze dworaków, którym z kolei i z pomocą synów swoich kosztowne dary rozdawać zaczął. Były to pierścienie z pieczęciami w drogich kamieniach rznietymi, laski z nagłówkami urabianymi w kształt lilij, lotusów, niewieścich i zwierzęcych głów, łańcuchy, kolce, kubki z drogich metali. Skarby te hojnie dokoła rozsypując, dobrze spostrzegał radość, jaką przez to sprawiał

tak wielkim i wysoko wyniesionym mężom, że w zwykłym porządku rzeczy podobny mu człeczyna nie śmiałby nawet wzniesć ku nim wzroku. Więc tak rozweselił się i takiej nabrał powagi, że podniesiona twarz jego nabrała promienistości słońca, a chód i ruchy majestatu tryumfatora. Ciekawie oglądając wazę z lapis lazuli, z niskim pokłonem przez Wamika mu podaną, Mazistas do Mardoniusza przytłumionym głosem rzekł:

— Dobrym wydaje mi się ten człeczyna, ale bardzo głupim. Rozsypuje on swoje skarby z taką uciechą, jak dziecko piasek...

Kosztowny łańcuch z lubością na piersi swej zawieszając, Mardoniusz odpowiedział:

— Co nie miara też złotego piasku lidyjczy cy ci z Paktolu swego wyławiają i dla tego zamierzam panu naszemu nasunąć myśl, aby od-tąd, bogactwo ich nareszcie poznawszy, daniny przez nich składane w dwójnasób powiększyć kazał.

Kiedy Pytyon i starsi jego synowie, dźwigając dary, od jednego do drugiego z królewskich ulubieńców przechodzili, Diloram, przed królewskim stryjem Artabanem nisko pochylając głowę i pas w Babilonie tkany, kubek w Atenach rze-

zbiony, łaskę ze srebrnym lotusem podając, wzruszonym, z głębi serca idącym głosem, przemówił:

— Zbawienie Ormuzda niech będzie z tobą, wierny sługo boga, światła i dobra...

Artaban, widocznie u dworu potężnego synowca swego osamotniony i w milczeniu po pięknej lidyjskiej równinie spojrzeniem wodzący, przenikliwie i ze zdziwieniem wpatrywał się w twarz młodego lidyjczyka, od bogatego stroju, który go okrywał i malującego się na niej wzruszenia piękniejszą niż zwykle.

— Byłżebyś wyznawcą świętej Ormuzdowej wiary, młodzieńcze? — zapytał — a w takim razie u jakich źródeł zaczerpnąć jej mogłeś na tych krańcach Azyi, które cześć oddają Cybelli i Atysowi, Astarcie i Adonisowi?

— W Hipajpie byłem, a tam, ucząc się wielkich prawd, przez Zoroastra ogłoszonych światu, uczyłem się także poważać i kochać ciebie, panie, który na wyżynach świata postawiony, bronisz uciśnionych i śmiało opierasz się wielkim. I królowi odradzałeś także wojnę napastować greków o, ty dobry, ty prawy, ty czysty!

Ognistym rumieńcem płonąc, z zatrwożeniem spuścił powieki, a po ustach Artabana, w siwej,

spiętrzonej brodzie pomknął łagodny, pobłażliwy uśmiech. Młodzieniec ten w mowie swojej dotknął przedmiotów, o których mówić najdo stojniejszym i najwyższym mężom tego państwa zaledwie było wolno. Jednak Diloram ciekawość i przyjaźń snąć w nim obudził i nie chciał on jego od boku swego oddalać.

— Pragnąłbym być w Hipajpie — zaczął — bo w takich tylko samotnych i od świetności stolic oddalonych miejscach, święta wiara Ormuzda zachować się mogła w całej swojej czystości, którą gdzieindziej skaziły już pochlebstwa, zabobon i chciwość...

Tu wzrok jego przemknął po twarzach magów, a gdy dłużej nieco spoczął na Mardoniuszu, błysnęło w nim na chwilę ostrze nienawiści, ale na chwilę tylko, bo wnet powieki spuścił i z uśmiechem do Dilorama rzekł:

— Więc, młody lidyjczyku, w krainie Tmolusu i Paktolu, prawość i czystość na najwyższej wadze umysłu swego podnosisz! Zaprawdę, zbawienie Ormuzda będzie z tobą, ale szczęścia ziemskiego nie doznasz. Ono towarzyszy tylko czcicielom złota i potęgi. Ty gotuj się do samotności duszy: posłuszeństwa tym, którymi dusza twoja pogardzać będzie.

Diloram żywo podniósł dotąd ze czią pochyłoną głowę:

— Posłusznym tym, którymś dusza moja gardzi, nie stanę się nigdy, a do twardej służby Ormuzda gotowym! — zawołał.

— Jesteś na prawdę synem starca tego, który teraz z taką uciechą bogate dary podaje magom?

— Tak panie! — szepnął Diloram i znowu twarz spłonioną nisko pochylił.

Jeżeli kiedy, to w tej chwili, prawdę słów Artabana stwierdzało szczęście, którego doznawał Pytyon. Zsamym królem rozmawiał! Wtedy właśnie, gdy Aszames i Gobryasz, bracia królewscy tylko po ojcu, więc do osoby króla mniej przybliżeni, w wojsku przecież wysokie dowództwa dzierżący, z rąk jego dary odbierali, Kserkses zapytał, jakie mieli imiona i czem się trudnili czterej dorodni, boku ojca swego nie opuszczający młodzieńcy; Pytyon ojcowską znowu dumą zdjęty, u samych stopni tronu stojąc, z szerokimi gesty, od których, jak skrzydła rozwiewały się różnobarwne rękawy jego sukni, z lubością; od której, słowa tłumnie tłoczyły się mu na usta, rozповідаł o biegłości Bubaresa w górniczych odkryciach i pracach, o wy-

bornem uprawianiu przez Toraksa rozległych roli, o handlarskich zdolnościach Fredegunda i Wamika...

— Są oni, o panie, radością moich oczu, mocnemi podporami mojej starości, a gdy bogowie zechcą duszę moją rozłączyć z ciałem, bezpiecznie umrę, bo w ich ręku nie zginie marnie ani jedno źdźbło tego, com ja przez długie życie zgromadził i wznosił.

Mardoniusz ku królowi twarz podnosząc, głośno rzekł:

— Zawieść i żal mię zdejmuję, o królu, gdy widzę tak silnych i pięknych ludzi, od wojska, którego główne dowództwo z łaski twojej dzierżę, zdala pozostających. Tak wysokich, jak ci dwaj starsi, nawet pomiędzy twymi nieśmiertelnymi nie masz, a dwaj młodzi, tak zgrabne i gibkie mają postacie, że przedziwni byliby z nich łucznicy. Czatować im tylko na wroga i w sprężystych ramionach łuki wyprężyć!...

Ale słów tych Kserkses nie słyszał, albo słyszeć nie chciał. Wśród nieruchomej jego postaci wskazujący palec, w pół okryty pieczęcią pierścienia, podniósł nieco i wyciągnął w stronę, rozmawiającego z Artabanem Dilorama.

— A czemu to chłopię trudni się w królestwie twojem, lidyjczyku? Pięknem jest, ale ma pozór dziewicy przebranej za młodzieńca i przez to ciekawość moją budzi.

Pytyon struchlał; we wpółotwartych ustach język jego nabrał twardości drewna. Że też zawsze ten dzieciak sprzeciwiać się mu i w srobie troski wprawiać go musi! Wszak wyraźnie i usilnie nauczał synów, że o łaskę królewskiego stryja dbać nie powinni, ale raczej zjednywać sobie tych, którzy posiedli ufność i przyjaźń pana świata! Tak też czynili inni; ten zaś, najmniej lubionemu, temu który tylko dla płynącej w nim krwi Daryuszowej, żywym dotąd pozostawał, największą miłość i cześć okazywał. Odrazu przeniknął Pytyon, że nie powierzchowność Dilorama, lecz długa jego rozmowa z Artabanem, wśród której miał pozór zachwyconego ucznia i wyznawcy, zwróciły uwagę króla. Jąkając się, żartować i śmiać się usiłując, mówić zaczął:

— To mój najmłodszy, dziecko nierozumne i bawiące się jeszcze bajkami, których nasłuchiło się od mamki... Najpóźniej na świat przyszło, więc najczulej pieściła go matka i dlatego wzrósł z ciałem do trzciny, a umysłem do mgły

podobnym... O taką tylko łaskę dla niego, błagam cię, najpotężniejszy, jaką obdarzasz niewiadome spraw swych niemowlę, lub nierozkwitły pęk lilij...

Niejasna trwoga i głęboka czułość przy tych słowach drżały mu w głosie; po twarzy zaś Kserksesa, jak chmura po słońcu, przeciągnęło zasepienie. Ze ściągniętym łukiem czarnych brwi zapytał:

— A gdzież jest małżonka twoja, lidyjczyku? Czyż nie powinna ona wraz tobą, gdy w domu twoim goszczę, gościnne dary mi składać?

Druga to była troska i druga trwoga Pytyona. Gorgo nie mogła zdobyć na sobie odwagi i siły stanięcia przed obliczem króla i dworaków a gdy z sercem rozkołatanem w piersi i najśłodszym swem wejrzeniem, błagała go, aby jej w pokorze i pokoju na stronie pozostać pozwolił, on nie miał znowu siły uczynić z niej niewolnicy. Teraz, na najwyższym szczycie domu, z za kolumn i galeryj całkowicie ją przed wzrokiem wszystkich chroniących, w towarzystwie Chileasa i starej mamki Gigei, przypatrywała się ona świetnemu obrazowi królewskiego domu i najmilszemu dla niej tryumfowi męża. Gdy Pytyon czołem ziemi niemal dotykał, Wamik

złożone ręce do piersi przycisnąwszy, w słowach gładkich i ozdobnych o starości matki i chorem jej sercu opowiedział; wzrok zaś Kserksesa łaskawie znowu na wymownym młodzieńcu spoczywał.

Ale Histaspes, oddawna już oczy młodzieńcze i chciwą uwagę obracał w inną stronę. Z pomiędzy wszystkich braci i krewnych Kserksesowi najulubieńszy, na wojnie z egipcyanami okazaną walecznością zasłużony, najpoufalej obchodził się on z królem i teraz także, głowę, z której spływały lśniące pukle włosów na kolanach królewskich brata swego wspierając i wzrok żartobliwej żalości pełen ku twarzy jego wznosząc, rzekł:

— Jakże żałuję cię, Kserksesie, że przedmiotami z zimnych metalów wyrobionemi, a teraz dopytywaniem się o starą zapewne i pomarszczoną małżonkę dobrego tego lidyjczyka zajęty, dotąd jeszcze nie spostrzegłeś tego, co tu jest najpiękniejszem i największej uwagi godnem. Jednak, wiem dobrze, iż dobry Ormuzd nie stworzył cię obojętnym na takie oto widoki...

Przy ostatnich słowach wskazał na oddaloną i mnóstwem kwiatów ubarwioną gęstwinę mir-

towych krzewów, w której cieniu, trwogą czy zawstydzeniem ku sobie przybliżone, stały trzy piękne niewiasty. Każda z nich, na inny wcale sposób była piękną i to właśnie sprawiało, że tworzyły one grupę zaciekawiającą i ponętą. Słusznie przedtem jeszcze Histaspes nazwał był Labdę niewiastą podobną do węża. Suknię miała na sobie taką mieniącą się i połyskliwą, jak skóra tego płazu a z pod dyamentowej żmii po kilkakroć opasującej jej głowę, krucze i połyskliwe włosy, w mnóstwo tasiem uplecione, węzowemi skręty wiły się aż do jej kolan. Zasłone z lekkiej jak mgła materyi, którą powinna była twarz swoją osłonić, na plecy i ramiona odrzuciła, gibką i od niecierpliwych pożądań drżącą kibić naprzód nieco pochylając, błyskała ku perskim mężom ogniami swoich wejrzeń, uśmiechów, kolców aż po ramiona długich, łańcuchów i obręczy opasujących jej śniade ramiona i szyję. Zupełnie inna natura niewieścia objawiała się w Toraksowej żonie, Anteli. Wyniosła i silna, jak przezroczystą mgłą owiana zasłona, którą z pod zębiastego dyadem, aż do skraju sukni spływając, oblicze jej przysłaniała; stała ona w pokoju i powadze kobiety, która o niczyje wejrzenie i hołdy nie zebrze, bo w uczuciach

swych nasyconą a z przeznaczeń zadowoloną się czuje. Czyniło to ją podobną do posągu niewieściej czystości i dostojności. Lecz za temi, w pełni już rozkwitłemi niewiastami, kryć się usiłowała trzecia, jeżeli nie najpiękniejsza, to najmłodsza; w swej skromnej, śnieżnej, zaledwie bogatym pasem przyozdobionej sukni, za obraz dnia wiosennego, albo letniego poranku służyć mogąca. Długą i wielką walkę z samą sobą stoczyć musiała Melissa, zanim postanowiła spełnić żądanie kochanka i wyrzec się na dzień ten ofiarowanych jej przez Pytyona świetnych materij i klejnotów. Za całą ozdobę miała ona sznury pereł wiążące się w pozłacanym bronzie warkoczy i złote naramienniki, połyskiem swym zwiększające alabastrową białość jej ciała. Teraz, od widoku tyłu naraz mężów spłoniona i drżąca, choć zarazem namiętnie jego ciekawa, to kryć się usiłowała za starsze swe towarzyszki, to znowu wynurzała się z za nich, jakby wszystko wzrokiem ogarnąć i wzajemnie wzrok wszystkich na siebie zwrócić pragnęła. Ale wnet znowu wstyd i trwoga ją zdejmowały, połączone też z głuchym żalem, że w obliczu tego, co działo się przed nią jest sama tak małą, tak niedostrzeżoną, tak zupełnie niczem. Wtedy, niewiedząc, że

przyoblekła ją najponętniejsza szata pierwszej młodości i świeżo rozkwitłych wdzięków, Labdzie i Anteli świetnych ich ubrań zazdrościła, z rozpaczą, wstydem i gniewem myśląc, że bez przestróg starego nudziarza jończyka i błagań Dilorama, ona także jaśniałaby teraz podobnie jak one, i jak teraz na Labdę uparcie i z ogniem spogląda brat królewski, na niej choć raz jeden, choć przez trwanie błyskawicy spoczęłoby może spojrzenie — króla! Wtedy z pod drżących powiek, wzrok pełen ubóstwienia wzniosła ku królowi i wnet, jak przestraszone dziecko, obu dłońmi twarz zakryła, — spotkała się z wlepionym w nią jego wzrokiem.

— Wiosna! — do ulubionego brata rzekł Kserkses a w chmurze czarnych włosów, pąsowe usta jego rozwarły się szczerym uśmiechem. Zarazem orle nozdrza królewskie poruszały się wciąż powoli, jednostajnie, lecz szeroko; zdawać się mogło, że w pierś nienasyconą, wielkimi strumieniami wciągał powietrze hołdów, bogactwa i zewsząd tu tryskających obietnic rozkoszy. W tej chwili też, na stopniu tronu klęczący Pytyon podawał mu po brzegi napełnionym winem, w złoto oprawny róg nosorożca. Wiedział o tem, że królowie perscy pijali tylko z ta-

kiego naczynia, od skutków trucizny chronić mającego, więc gdy w dłoniach dworaków błysnęły pozłacane czary, Kserkses, róg nosorożca do warg swych przyłożył.

— Wiem o tem, królu—mówił klęczący Pytyon—że innych win jak syryjskie nie pijesz. To przedniem jest i przez wiele już lat w składach moich mocy nabywa...

Z błogości, która zajaśniała w źrenicach Kserksesa odgadnąć było można, że róg nosorożca bywał mu towarzyszem częstym i miłym. Gdy zaś wonność i moc wina rozlały się na podniebieniu jego, oczy zwrócił on znowu w stronę trzech niewiast i na najmłodszej z nich je zatrzymując w chmurze czarnych włosów, zaszemrał:

— Wiosna!

W tej chwili dźwięk ostry, dziwny, śmieszny przeszył powietrze i na rozległym trawniku ścielącym się u stóp domu powtórzył się powielekroć. Były to naprzemian przeraźliwe jakby piski osła i wściekłe porykiwanie bawołu i żałośliwe wycie psa. Z pośród zwierząt świata jedne tylko wielbłądy wszystkie te głosy wydobywać z siebie umieją; wielbłąd też to był, jednogarbny, lecz za najpiękniejszy okaz gatunku swego

służyć mogący, który z wielką szybkością nóg, zwijając się po trawniku i tym sposobem ciosów ścigających go ludzi unikając, z żałosnym a coraz częstszem i śpieszniejszym wyciem i piskiem głowę ku tarasowi domu podnosił i wciąż odpędzany, wciąż ku wschodom jego przypadał. Gromada niewolników, z fenicyaninem Idantyrsem na czele, od przerażenia pobladła, z uporem zwierzęcia walczyła nadaremnie, bo grożąc mu tylko kijami i biczami, w które była zbrojną, dotknąć go niemi nie śmiała. Wszystko to zaś razem, w obliczu wspaniałości i uroczystości, które na pysznym tarasie domu panowały, wydało się tak niespodzianem i uciesznem, że strażę wojenne, dwoma rzędami żelaznych pancerzy i złotych granatów opasujące szerokie wschody, z trudem tłumiły wybuchy śmiechu a Histasp, Mazistas, Mardoniusz i inni, na skraju tarasu stanąwszy, z żartobliwemi i nieco pogardliwemi uśmiechy spoglądali na dziwną zabawę, którą handlarz lidyjski dla oczu królewskich zgotował. Lecz Pytyon nie czuł najłżejszej ochoty do śmiechu, czerstwe rumieńce bez śladu z policzków jego zniknęły i jak marmur zbielewały; od przerażenia i wściekłości drżący, gromkim głosem ze szczytu wschodów zawołał:

— Zabić go! Idantys, jeżeli ta bestya natychmiast martwą nie padnie, jutro ukrzyżowanym zostaniesz!

Ale krzykowi temu, odpowiedział natychmiast krzyk inny, niewieści, przeraźliwy, pełen współczucia i bólu.

— Zabić! Mosza zabić! dobrego Mosza zabić! o nie, nie, ojcie! to się nie stanie! — zawołała Melissa i szybko jak strzała, tak lekka że stopami ziemi zdawała się nie dotykać, pośród dworaków, przed samymi stopniami królewskiego tronu przemknąwszy, ze wschodów zbiegła, szyję zwierzęcia, na którą Idantys już petlę arkanu zarzucił, śnieżnymi ramiony objęła i twarz do niej tuląc, w łzach mówiła:

— Pójdź, Moszu! pójdź za mną dobry, stary, wierny Moszu! Zaprowadzę cię daleko, daleko, na łące w trzcinach ukryję i tu do niedobrych ludzi, którzy za długą służbę przedwczesną śmiercią chcą ci zapłacić, nie puszczę. Pójdźmy razem, dobry Moszu, daleko, daleko!

Świeże, dziecięce prawie jej uczucia, jak u dziecka wylewały się niepowściągniętymi słowami i łzami, widać też było, że litością dla tego zwierzęcia i przywiązaniem do niego zdjęta, o królu i jego dworze, o wstydlivosti dziewi-

czej, o świecie całym w tej chwili zapomniała. Pytyon zaś, od stóp do głowy z trwogi i wstydu drżący, wzroku od ziemi oderwać, ani językiem, który mu znowu drewnem w ustach stanął, poruszyć nie mógł. Że też to w domu najwspanialszym choćby i najbogatszym, lecz od wykwin-tów wysokiego życia oddalonym, w stanowczej godzinie, ktoś lub coś złośliwą i żałosliwą psotę zawsze splatać musi! Przepadła teraz cała jego dostojność i chwała, zgasły promienie łaski, które dla niego zapaliły się już były w oczach królewskich, wszystko zginęło! Przez jeden wyskok głupiej bestyi, przez jego piski ośle i upór prawdziwie wielbłądzi, wszystko zginęło, może nawet i własna jego głowa... Gdy myśli te zszybkością błyskawic przerzynały mózg Pytyona a wzroku swego od ziemi oderwać on nie śmiał, Artafernes na ustach królewskich spostrzegając ten sam, co wprzód, uśmiech, uśmiechnął się także i ręce u piersi splótłszy, mówić zaczął:

— To zwierzę, o królu, które sprawiło nam widowisko tak niespodziewane i uciészne, równej prawie z panem swoim, na szerokie ziemie i kraje, sławy zażywa. Nikt jeszcze nie widział tak łagodnego, rozumnego i do pana swego przywiązanego wielbłąda. Z uporu i brzydkiego gło-

su, jakieśmy to widzieli i słyszeli, do całego gatunku swego podobny, przewyższa go zaletami, które długiemu obcowaniu z ludźmi i ich dla siebie tkliwości zawdzięcza.

— Chcę zbliżka ujrzeć to rzadkie zwierzę — rzekł król.

Promieniste słońce radości, z grubych jakby chmur oswobodzone, zajaśniało znowu na twarzy Pytyona. Zadrżał cały, ku szczytowi wschodów w powłóczystej swej sukni się rzucił i najtkliwszym swym głosem mówić zaczął:

— Moszu! Moszu! pójdź tutaj, dobry, stary mój Moszu! Prędszej, odważniej Moszu! Łaska najpotężniejszego z tobą! Nikt ci nic złego nie wyrządzi!

Nadaremnie przecież ulubieńcowi swemu odwagę zalecał; jak wszystkie długo pieszczone zwierzęta, Mosh nie lękał się nikogo i niczego a raz od ścigających i powstrzymujących go ludzi uwolniony, na szerokie stopnie z marmuru i malowanych cegieł, z niejakim trudem lecz śmiało, za przewodniczką swoją wstępować zaczął. Przewodniczką zaś jego była Melissa, której mniemanie, że ona to drogie jej zwierzę od pewnej śmierci wyratowała, taką sprawiało radość, że wśród niej znowu o królu, dworakach,

przypatrujących jej się chciwie strażach i własnej nieśmiałości zapomniała. Krok swój do ciężkiego kroku wielbłąda stosując, powoli wznosiła się coraz wyżej, suknia jej, z połyskliwej wełny koziej, złote naramienniki i frendzle pasa brązowe i zdobne w perły warkocze w blasku słonecznym lśniły i błyskały, wśród okrągłej twarzy, na pąsowych jak młoda krew ustach, rozkwitał uśmiech dziecinny, niewinny szczęścia. Co chwilę obracała się ku ulubieńcowi swemu, którego długa szyja wysoko wznosiła się nad jej głowę i rękę ku paszczy jego wyciągając powtarzała:

— Pójdź, dobry Moszu, pójdź!

Gdy zaś w ten sposób przywiodła go już na taras, Pytyon, uciechą, malującą się na twarzach dworaków i wyteżoną uwagą, z jaką król pochodowi wielbłąda ku górze przyglądać się zdawał, zupełnie już ośmielony, pomarszczoną dłoń oparł na szyi zwierzęcia i drżącym nieco od niedawnego wzruszenia głosem mówić począł:

— O, panie! ani mi zliczyć dni i godzin, ani tych dróg spamiętać i po imieniu wymienić, którem w towarzystwie tego zwierzęcia przepędził i przebył. Od lat trzydziestu innego wierzchowca nie znam a były niegdyś, na Cybellę!

były takie czasy, w których on ze mną głód i pragnienie, dni pełne troski i noce snu próżne, podzielał. Nie zawsze bowiem, nie zawsze Pytyon był tak jak teraz możliwym i o mienie, które posiadał, spokojnym. W ciężkim dorobku nieraz samotny usypiał on wśród pustyni a gdy z przykrego snu obudzony, głowę do nowych trudów podnosił, jedynem wejrzeniem przyjaznem i swoim, które spotykał, było wejrzenie jego wielbłąda. Gdy pośpiech gnał mię w którąkolwiek stronę, on biegł szybciej i niestrudzeniej od rumaka najwyższej krwi; gdy utrudzenie bólem mi świdrowało w kościach, lub trudny namysł kamieniem mózg obarczał, potrzebowalem rzec mu jedno słowo, a niósł mię powoli i cicho jak dziecko. Razem ze mną, o panie, wachał on skwarne pyły arabskich i etyopskich pustyni, razem ze mną, z mnóstwem niepokojów i niebezpieczeństw, na chwiejnych nawach przepływał morza, razem ze mną stawał przed kramami i na rynkach największych miast twego państwa. Kiedy byliśmy sami, często porwany natłokiem myśli, do niego, jak do człowieka przemawiałem o moich nadziejach, rachubach, troskach, kiedy tłum nas otaczał, żadnem poruszeniem nikomu nigdy zła on nie

wyrządził, ani mnie w swoich czynnościach i mowach przeszkodził. Nie dziw też, królu, że kocham go, jak dawnego i dobrego przyjaciela i że zarówno kochają go wszyscy moi. Ta okazywana mu przyjaźń i wolność, której zażywa w domu moim, zniszczyły w nim wszelką zwierzęcą dzikość a nadały mu niemal ludzką pojętność i poufałość. Dzieci moje, odkąd tylko podрастаć zaczęły i najlepsze moje sługi, codziennie od lat wielu i o tej jednej porze przywołują go na ten taras, gdzie pożywienie wymyślne z rąk ich otrzymuje. Tym sposobem niezgrabne jego nogi przyuczono do wstępowania na wschody a w pamięci wyryto, że o tej porze dnia właśnie tu się znajdować i przysmakami, których pożąda, cieszyć się powinien. To go skłoniło, że i dziś także pasł się tam, gdzie przebywać nawykł a nie zraziły go niezwykle w tem miejscu widoki i gwary, bo naprzód, żadnego zła od ludzi nie doznawszy nigdy, niczego od nich się nie lęka a potem, na rynkach Ekbatany, Kellanej, Teb, Sardes, Abydos i mnóstwa miast innych, do tłumów ciasnych i gwarliwych przywykł. Więc swawolę, którą oczy i uszy twoje obraził, przebacz, o królu, i dla niej od wielbiącego cię niewolnika swego boskiej łaski swej nie odwracaj.

Nie tylko przecież łaska, ale większa jeszcze niż przedtem wesołość malowała się na obliczach i króla i otaczających go dostojników. Persowie byli miłośnikami zwierząt a do najużyteczniejszych i najrodzimszych, do takich nawet, które według przepisów Zoroastrowych szanować i rozmnażać byli oni powinni, należał ród wielbłądzi. Przytem, pomimo brzydoty rodowi temu właściwej, stary Mosz wyglądał okazałe i ucieszenie. Na wypasionych jego bokach i garbatym grzbiecie, szara sierść lśniła od gorliwego jej oczyszczania, długą szyję ciekawie ku obecnym wyciągał, małe oczki pojętnie i zabawnie mrużył, wielką i szpetną paszczą swą tak poruszał, jakby tuż, tuż rozumna mowa ludzka wyjść z niej miała. Z niezmierną uciechą Pytyon spostrzegł przychylność, którą ulubieniec jego u patrzących na niego pozyskał i za to większą jeszcze dla niego miłością zdjęty, połykliwą sierść jego głaszcząc, łagodnie przemówił:

— Uklęknij, Moszu! Dobry mój Moszu, przed panem świata — uklęknij!

Mrużącemi się oczami wielbłąd w twarz mu patrzył, kościste jego nogi zginały się z trudnością, aż węzłowatemi kolanami spoczęły na murawie. Zarazem z piersi zwierzęcia wydobyło

się ciężkie westchnienie, jakby skarżyło się ono na to, że tak trudną dla niego czynność spełnić mu rozkazano.

— Nigdy rzemień, którym pracowicie inne wielbłądy do ulęknienia zmuszają, paszczy tego nie obraził, bo głos i słowo moje panują nad jego wolą i członkami! — z tryumfem zawołał Pytyon i jednemu z synów rozkazał, aby Mosz do ustronnego a w pożywienie obfitego miejsca zaprowadzonym został.

Tymczasem, z dostojników niektórzy przyjaźnie boków i grzbietu miłego zwierzęcia dotykali, zmyślność jego podziwiając a z mądrego wyrazu oczu i z westchnienia które wydał, śmiejąc się i żartując. Mag, Sorab, uroczyście mówić zaczynał, że napotkanie tak szczególnego zjawiska, dla przedsięwzięć króla dobrą jest wróżbą, lecz król, z poddaniem słuchający go zawsze, tym razem na słowa jego uwagi nie zwracał. Żadnego poruszenia nie czyniąc, mrugnięciem powiek przywołał on ku sobie Histaspa a gdy ten, u boku jego stanąwszy, ucho ku ustom jego pochylił, wymówił słów kilka i ręki od turkusów, na których spoczywała, nie odrywając, wskazującym palcem z wielką pieczęcią poruszył w stronę mirtowej gęstwiny.

Tam, za zielonemi krzewy i ognistą czerwienią tulipanów połyskiwała suknia i niemniej od niej biała, szyja i twarz Melissy... Znać król, ulubionemu bratu rozkaz jakiś wydał, bo Histasp, śpiesznie ze stopni tronu zszedłszy, kierował się ku mirtowej gęstwinie, gdy wtem stanął jak wryty, ze wzrokiem ku kasztanowym wzgórzom zwróconym i wszyscy dworscy umilkłszy, w tę samą stronę obrócili oczy; sam Kserkses także z wyteżoną ciekawością patrzeć i słuchać zaczął. Naprzód słuchać, bo zanim przestrzeń napełniła się widokami, dziwnemi dla tych przybyszów ze stron dalekich, rozległy się wśród niej, z za wzgórz wychodzące dźwięki muzyki, w której to naprzemian, to razem—rozpoznawać się dawało grzmotliwe łuczenie kotłów, srebrzyste dzwonienie cymbałów, tryumfalne hasła i pobudki trąb, miękie, miłosne, rozplakane tony najśpiwniejszych w świecie lidyjskich fletów. Wszystko to razem grało i śpiewało jakąś pieśń, na poły tryumfalną i uroczystą, na poły pijaną i prawie dziką, to krzykami szalonej radości wybuchającą, to w upojeniu miłosnej rozkoszy chwiejącą się i mdlejącą. Potem, z za zieleni kasztanowego gaju, powoli wypływać i na równinie, ku wzgórzcu Cybelli wydłu-

zać się zaczął orszak ogromny, porównanym być mogący tylko ze snem, w fantazyi pijanego olbrzyma powstałym. Wyśniła go też i o każdym rozkwicie wiosny na ziemię sprowadzała fantazyja pijanego odrodzoną naturą wschodu. Była to procesya korybantów, korybantek i mnogiego ludu, przybywająca z Sardes z czcią i ofiarami, ku wielkiej bogini natury, Cybelli.

Przodem tedy szły tłumy ludzi, którzy w oznakę wielkiej wesołości własnej i dla obudzenia takiejże u widzów, przyodzili się w stroje wszelkich stanów i zajęć, w lidyjskim kraju znanych. Pierwsi postępowali żołnierze w pancerzach i z długimi kopiami, albo lancami; potem, myśliwi, w wysoko u pasów podniesionych sukniach, w rękach dzierżący oszczepy i krzywe noże, ptasznicy siecie, rybacy wędy, rolnicy kosy, handlarze wagi niosący; bogacze młodzi w złocistych sandałach i jedwabnych sukniach, z włosami niewieście utrefionemi na głowach, z krokiem tak chwiejnym, zalotnym i miękkim, jakby przed chwilą amforę z winem od warg odjęli, albo z posłania miłości powstałi. Nie tylko przecież ludzie, ale i zwierzęta, hołd swój źródłu powszechnego życia składać były

powinny. To też w odkrytych lektykach spokojnie i nawet z niejaką dumą siedzące, niesiono tam niedźwiedzie, prowadzono małpy w czerwone czapki frygijskie przybrane, osły, którym powiewne przypięto skrzydła, kozły niepokalanej białości z wyzłoczonemi rogami, dromadery, których grzbiety, bogatemi kapami okryte, jak góry wzbijały się nad wszystko; w kunsztownych klatkach, lub na ramionach i głowach ludzkich siedzące gołębie łagodne, papugi barwiste, pawie w pysznej ozdobie swych rozpuszczonych wachlarzów. Do koła owych maszkar i bestyj, niewiasty białe ubrane, z wiencami kwiatów na głowach, kwiaty siały pod stopy tłumów różnych płci i stanów, których pochodnie mnóstwem płomienistych i krwawych punktów zaświeciły w złotej światłości słonecznej. Tu także połyskiwały mosiężne lub srebrne trąby, cymbały i sistry grajków a długie flety od ust ludzkich wzbijające się w powietrze wydawały się czarodziejskimi dziobami, z których wychodziły i coraz śpieszniej, ostrzej, szalenięj przestrzeń przesywały nuty czczącego naturę śpiewu. To, co następowało później, niezrozumiałą zagadką wydawać się musiało każdemu niewtajemniczonemu oku. Wielki chór niewiast,

białemi zasłonami od głów do stóp opłyniętych, na plecach niósł metalowe zwierciadła, w których gładkiej jak szkło powierzchni, słońce zapalało oślepiające ogniska blasków. Były to kapłanki Cybelli a w zwierciadłach, okrywających ich plecy, po wielokroć miał się przeglądać i postać swoją [pośród przestrzeni w mnóstwie odbić rozsianą widzieć, piękny i boski młodzieniec, Cybelli kochanek — Atys. Posąg też Atysa, wnet potem, wysoko sunął powietrzem, górując nad tłumem ogolonych do szczętu głów kapłanów — korybantów, z których jedni na ramionach go dźwigali, inni zaś nieśli w szklanych kieliszkach lub baniach zamknięte płomyki lamp, ołtarze bóstw wielkich i małych, złote palmy, kwieciste wieńce, amfory, z których lały się wina i wonne olejki, naczynia kształt niewieściego łona mające a dłońmi kapłanów wstrząsane, więc na ziemię roniące złoty deszcz ziarna i białą rosę mleka. Za Atysem znowu, tak jak i przed nim tłumy ludzi rozsiewały w słonecznej światłości rój krwawych i dymnych pochodni, huczała muzyka trąb i kotłów, śpiewały flety, niewiasty na ziemię zroszoną winem, mlekiem i ziarnem, rzucały kwiaty...

Gdy tylko ta olbrzymia procesya o parę stadyów od Pytyonowego domu z za wzgórz na

równinę wypłynęła, Kserkses przypatrywać się jej zaczął tak chciwem, wyteżonem i latającem okiem, że można było poznać, iż żądza przeniknięcia i zrozumienia wszystkiego, od innych żądz i namiętności jego mniejszą nie była. Jednak, nie wiele znał wiarę i obyczaj tych oddalonych od jego ziemi ojczystej, przez pradziada i ojca jego podbitych krain. Więc, chociaż postać całkowicie nieruchoma, z ognistością i ruchliwością rysów dziwnego sprzeciwieństwa tworzyć w nim nie przestała, mrugnięciem powieki i poruszeniem palca dał on znać Sorabowi, że do boku jego przybliżyć się był powinien; gdy zaś ucho najmędrszego z magów, znalazło się na jednym poziomie z jego ustami, zapytał:

— Jakim jest imię tej bogini?

Mag uczuł się w tej chwili mistrzem króla i dostojęństwo to, zarówno jak rozmiłowanie w wiedzy, którą posiadał, mowie jego nadały śmiałość a godność postawie.

— Różnemi, o królu, imiony, błagają tę boginię różne czczące ją narody—odpowiedział.— Rhea u greków, Kretę i Jonię zamieszkujących, Baalath w Fenicyi, Izyda w Egipcie, Astarte w Chaldei i Syryi, we Frygii i Lidyi nazywa się ona Cybellą.

W czasie mowy maga, twarz króla zdradzała usilność zapamiętania tego, co słyszał. Niecierpliwie też zapytał:

— Dla czego u jej wozu zaprzężono lwy?

— Dla tego, panie, że według mniemania jej czcicieli, ona to przez obdarzanie ludzi dobremi trzodami i żyzną rolą poskromiła ich dziką, jak u tych zwierząt drapieżną naturę...

Król pytał dalej:

— Dla czego na głowie swojej ma ona koronę z wież?

— Bo ona to, królu, jak powiadają frygijczycy, pierwsza ich nauczyła sztuki budownictwa.

— Czemuż, kiedy tak mądrą i dobroczynną była, nie nauczyła ich sztuki panowania nad światem? — zapytał król, a przy tych słowach z za warg czerwonych, białe zęby błysnęły mu w srogim, szyderskim uśmiechu.

Potem, do maga ze splecionemi u piersi rękoma lecz z postawą dostojną na stopniu tronu stojącego, przemówił jeszcze:

— Jak zwą się kapłani, ci, którzy lampy, ołtarze, palmy i naczynia z winem, mlekiem i ziarnami niosą?

— Korybanci, o panie — odrzekł mag.

— Dla czego? — rzucił król.

Biada magowi, któryby niecierplivej ciekawości królewskiej choćby raz jeden napaść nie potrafił! Ale Sorabowi, żadna z ksiąg istniejących i żaden z krajów świata nieznanym nie był. Więc odpowiedział:

— Korybaus, syn Cybelli i greckiego pana, pierwszy we Frygii cześć swojej matce złożył; od jego to imienia pochodzi imię jej kapłanów.

Tymczasem procesya Cybelli olbrzymim węzem wspinała się na święte wzgórze, aż tłumem stubarwnym, krwistemi punktami pochodni ucentkowanym, stok i wierzchołek wzgórza okrywszy, u stóp posągu bogini stanęła. Jednocześnie umilkło granie kołków, sister i fletów, zamknęły się wszystkie usta, w nabożnem skupieniu znieruchomiały postacie a nad tem stłoczonym, pstrem, głęboko uciszonym morzem ludzkim wzbił się i po przestrzeni rozległ się głos najstarszego z korybantów, który dla tego morza ludzkiego i dla całej lidyjskiej ziemi błagał o łaskę Cybelli. Wtedy Pytyon i członkowie jego rodziny na tarasie wspaniałego domu poupadali twarzami ku ziemi a Kserkses, jego dworacy i zbrojne strażę—przybrali postacie uważne i zasłuchane. Tam zaś, na górze, kapłan w dłu-

giej szacie, z czaszką tak doszczętnie ogoloną, iż w blasku słońca jak srebro jaśniała, z wieńcem kwiatów w jednym podniesionem ręku a nożem błyszczącym w drugim, uroczystym, donośnym głosem do posągu o lwim zaprzęgu, koronie z wień i łonie olbrzymiem przemawiał:

— O bóstwo wysokie, o wieczne źródło życia, karmicielko uwielbiona, prządko nieśmiertelna, która ze swego wrzeciona wysnuwasz czasy! Przez ciebie lądy stoją, morza płyną, słońce jaśnieje, piekło nie wybucha i ziemia trwa w porządku. Na twój rozkaz świecą gwiazdy, kojarzą się żywioły, wiążą się w łańcuch wieki. Na znak przez ciebie dany, dmą wiatry, wydymają się chmury, kielki nasion przebijają skorupę ziemi. Tyś straszna ptaszynie lecącej powietrzem, drapieżnemu zwierzęciu, błędzącemu w puszczach wężowi, który zwija się w bruzdach ziemi, i morskim potworom, zanurzonym w bezdennej odchłani.

Tyś straszna i człowiekowi; gdy zechcesz, utrzymasz go przy życiu, gdy zechcesz — zabijesz. Więc o bóstwo wysokie, hojne, straszne, łaskawe, przyjm pod opiekę nas i wszystko co posiadamy. Oddalaj od nas zimną śmierć i blade choroby, w całości i zdrowiu zachowaj

ludzi, trzody i czujne strażniki ich — psy. Niech w domach naszych liczymy co wieczór tyle głów, ileśmy ich naliczyli z rana i niech z wzdychaniem nie oglądamy nieżywych zwłok naszych dzieci, ani ran owiec, wyrwanych z paszczy wilka. Chroń nas od grozy głodu, zsyłaj obfitość zbóż, ziół i liści; niech zdroje nasze będą czyste i wypełniają po brzegi koryta. Niech ręce nasze ściskają pełne zawsze wymiona krów; samcy trzód naszych niech będą zapalczywi, samice płodne, obory pełne jagniąt i wielbłądzą a wełna, którą zdejmujemy z owiec, tak mięką, by bez obrazy prząść i tkać ją mogły najczulsze dłonie dziewczyc. Oby rolnikom naszym przyjaznemi były chmury, żeglarzom wiatry, rybakom i ptasznikom fale i powietrze. Obyśmy przez ciebie wysłuchanymi zostali, bóstwo wysokie, wieczne źródło życia, karmicielko uwielbiona, prządko, która z wrzeciona swego wysnuwasz czasy! Niech się tak stanie!

Zaledwie kapłan mówić przestał, na wzgórzu Cybelli stało się coś takiego, jakby nagle pękła pokrywa, zapierająca gwałtownie wzburzony, potężny żywioł. Tłum okrywający święte wzgórze wybuchnął wesołością niezmierną, szaloną, bez granic. Kotły, trąby, cymbały i flety uderzyły

w pieśń bez miary i oddechu, pochodnie, siejąc powietrzne pożary, w dziwnych ucieczkach i pogoniach rozbiegały się w różne strony; widać było ludzi w śmiertelnym zda się śmiechu tarzających się po trawach i takich, którzy padali sobie wzajem w ramiona, albo ogniste potoki wina, z amfor lub dzbanów toczyli sobie w gardła, lub w kasztanowe cienie unosili białe i dobrowolnie, bo miękko w objęciach ich zwisające, postacie niewieście. Owdzie, do koła drzew najgrubszych, kobiety w bieli, związawszy się rękoma, zataczały taniec, który rozwiewał ich włosy a kibicie wyginał w lubieżne i pijane postacie; gdzieindziej, tam, gdzie w powietrze wzbijały się wstęgi dymów, korybanci pobłyskiwali nożami, ziemię wonnemi płynami zraszali i wydawali tryumfujące krzyki, które ludowi oznajmić miały, że palone u stóp bogini ofiary, łaskawie przyjętemi przez nią zostały.

Wszystko to było początkiem olbrzymiej orgii, którą cała Azja Mniejsza witała każdego roku wracającą na ziemię wiosną, a która przedstawiała widok znany tylko tym ludom, z krwią upalną i nieposkromioną, ze szpikiem kości przenikniętym zarówno słodyczą jak grozą, naprzemian dla nich złowrogiej i dobroczynnej natury.

Nie dziw, że po raz pierwszy mając go przed oczami, Kserkses pożerał go wzrokiem i słuchem i że buchająca z niego wyuzdana, zmysłowa wesołość, owiała go niby wichrem upalnym i na policzkach zapaliła mu krwiste rumieńce.

— Czego oni tak cieszą się i szaleją? — zapytał maga.

— Atys wskrzesił, o królu! — odpowiedział Sorab.

Król przeszył go wzrokiem.

— Istniejeż na ziemi ten młodzieniec? prawdziwy jest, że co roku umierając, co roku zmartwychpowstaje?

Nad rudą, spiętrzoną brodą, po wąskich ustach maga, przebiegł uśmiech mądry i w którym nieco szyderskiej pogardy odkryćby można. Nic to, że w dzień, co chwilę, dla przyczyn sobie znanych, dokonywał przed tym władcą czynów guślarstwa i wróżbiarstwa; w najtajniejszej skrytości swego wnętrza, czuł się nieraz tem czem był: wiedzą na cuglach strachu, nadziei lub ciekawości, trzymającą w swem ręku potęgę. Z namysłem, powoli mówić zaczął:

— Twojemu tylko narodowi, o najpotężniejszy, duch światła i dobra, boski Ormuzd, zesłał wysłańca swego, Zoroastra, aby go pochodnią

jedynej i wiekuistej prawdy oświecił. Ta tylko wiara, którą ty, wraz z ludem perskim wyznajesz prawdziwą jest, sprawiedliwą, czystą i do Ormuzdowego zbawienia wiodącą. Inne ludy, w ciemnocie swojej, zachwycone łaskami lub przerażone grozami natury, jej siłom i żywiołom boską cześć oddały a zdjęte pociągiem upodobniania wszystkiego do samych siebie, przyoblekły ją w dostępne zmysłom postacie bałwanów, z drzewa, gliny, marmuru lub spiżu. Ta Cybella, ku której widzialnemu upostaciowaniu ty teraz królewskie swe oczy podnosisz, to natura, przed którą ludy te drżą od trwogi, albo goreją z miłości. Atys zaś, jest pogodą, ciepłem, światłem, zbożem pól, kwieciem łąk, liściem drzew, słodkim szmerem wód spokojnych, wartkim pędem krwi rozgrzanej, zdwojoną mocą członków sytych, wszystką naraz siłą, nadzieją i uciechą ludzi, które w każdej jesieni zamierając, o każdej wiosnie zmartwychpowstają. Kiedy wiecznie piękny i młodzińczy kochanek jej zapada w podziemne czeluście, Cybella smuci się i rozpacza a wraz z nią smucą się i rozpaczają ludy ogarnięte srogością i ponurością zimy; gdy on znowu na świat wynurza swą promienistą głowę, one przed jej oblicze, wiodą zmysło-

we upostaciowanie jego i wraz z nią od radości szaleją i radość piją zarówno z woni kwiatów i dźwięków muzyki, jak z naczyń pełnych win i łon niewieścich, napełnionych miodem rozkoszy. Taka jest, o królu, najgłębsza i przed niewiedzącymi zakryta istota lidyjskiej Cybelli, egipskiej Izydy, fenickiej Baalathy, chaldejskiej Astarty. To natura, o panie, przez ludy te za najwyższą potęgę uznana. Ten zaś Atys w tym kraju, w innym Oziris, gdzieindziej Faunus, lub jeszcze Adonis, to, panie mój, wiosna...

Chwilę jeszcze przenikliwie patrzył w twarz króla a spostrzegając na niej znużenie i roztargnienie, rzekł już tylko:

— Mitra z tobą, najśłoneczniejszy!

I ze stopni tronu, obliczem do króla obrócony, zstąpił.

— Mitra ze mną! — powtórzył Kserkses i głowę obciążoną iskrzącymi się na niej diamentami nabożnie pochylił, lecz wnet potem, z wyrazem znużenia opadła ona nieco w tył, na wyściełające tron poduszki i kapy. Jakkolwiek pragnął posiąść wszystko, co istniało, i z pożądliwą ciekawością o nieznane sobie zjawiska zapytywał, umysł jego szybko giął się i nużył, pod surowem brzemieniem wiedzy. Przytem, dźwię-

ki i widoki, które go otaczały, jak łaskotliwe dotyki przebiegały mu po ciele i w krew wlewały strumienie ognia. Na wzgórzu Cybelli tłum przerzadził się znacznie; w zamian zaś, głębie i cienie okrywającego je lasu, wezbrały odgłosami i zdala migającymi widokami dziwnego, bo rozpasanego a zarazem uroczystą tajemniczością osłoniętego życia. Zmysły pobudzone i fantazya ich bodźcem zagrzana, z łatwością odgadnąć mogły, co tam, w zielonych i ukwieconych a zda się bezdennych gęstwinach, tak wzdychało, szemrało, kipiało przy wtórze srebrnego dzwonienia cymbałów i rozśpiewanych a w oddaleniu coraz rozwiewniejszych, słabnących, mdlejących fletów.

Ramiona króla wyciągnęły się teraz a dłonie jego od pierścieni okrywających palce roziskrzone, opadły na szpizowe grzywy lwów, podtrzymujących siedzenie tronu. Wkrótce przecież jedną z nich podniósł i z oczyma, w zdobiącą taras gęstwinę mirtową wpatrzonemi, uczynił nią ruch przyzywający.

— Pójdź do mnie, wiosno! — przemówił.

W głowie Melissy, pokornie i smutnie pochylonej, powstał szum i zamęt, pośród których sa-

mą siebie czuć przestała. Mnóstwo naraz młotów uderzyło w jej piersi i zachwiały się pod nią nogi, w złote obręcze i pozłacane sandały ubrane. Jak to? na nią, na nią spłynęło spojrzenie pana świata! ją, ją właśnie przywoływał on ku sobie, on, ten Bóg ziemski, od stóp do głowy w olśniewające bogactwo ubrany, w chmurze swych czarnych włosów taki groźny i taki piękny, o! od samego Atysa, boskiego kochanka Cybelli piękniejszy! Ale z przerażenia, zawstyżenia i niezmiernego szczęścia, które ją od spłoniętego czoła, do chwiejących się stóp ogarnęło, ślepą stała się, bezwładną i iść nie mogła. Wkrótce przecież uczuła, że dłoń jej ujmuje jakaś ręka od pierścieni twarda i przez mgłę czerwonych centek, które leciały jej z pod powiek i przysłaniały źrenice, ujrzała obok siebie najmłodszego z królewskich braci. Histaspes wesoły wiódł ją ku tronowi i na stopnie jego wprowadziwszy, przed królem postawił. Podówczas powieki jej stały się tak ciężkimi, że podnieść ich nie mogła i nie widziała spojrzenia, którem Kserkses ogarnął całą jej dziewczęcą, drżącą, spłonioną postać. Usłyszała tylko głos łagodny i przyciszony:

— Usiądź u stóp moich, biała lidyjko!

Wtedy dopiero, gdy na najwyższym stopniu tronu usiadła, tak blisko króla, że na swem nagiem ramieniu uczuła zimno okrywających suknię jego turkusów, wzniosła drżące powieki i spojrzeniem spotkała się z czemś, co twarz jej okrąglą, wpółdziecinną jeszcze, z purpurowej uczyniło bladą. Ujrzała Dilorama i ujrzała go takim, jakim nie widziała nigdy. Nie był śniadym jak zwykle, lecz bladym jak więdnący narcyz. Naprzeciw tronu, w niejakiem od niego oddaleniu stał i naprzód całą swą postać podając, z brwią podniesioną i szybko oddychającą piersią, wargę białym zębem gryzł tak, że aż z niej ściekło parę kropel krwi. Wszystko to czyniło go podobnym tygrysowi, który gotuje się do skoku, tygrysiem też światłem błyskały tak aksamitno miękkie zazwyczaj jego źrenice i ryk tygrysi zdawał się on z całej mocy człowieczej powstrzymywać w dyszącej piersi. Powstrzymywał go jednak, bo z jednej strony rękę jego, w żelaznych jakby kleszczach ścisnął brat jego Wamik a z drugiej, stryj królewski Artaban, łagodnie mu na ramieniu dłoń swoją oparł. Szybkie jak błyskawice spojrzenie, Melissa ze strasznej w tej chwili twarzy kochanka przeniosła na twarz królewską. Igrał

po niej i całą ją oświecał dziwny uśmiech, w którym błoga nadzieja rozkoszy mieszała się ze wzgardliwą zresztą srogością.

— Czy jesteś oblubienicą najmłodszego z Pytyonowych syłów, biała różo lidyjska?

— Tak, o królu! — odpowiedziała bardzo cicho.

Nie było w niej, ani jednego atomu, któryby nie drżał od grozy i — rzecz dziwna! od niezmiernej, niepojętej rozkoszy.

Lecz wtedy właśnie Pytyon i starsi jego synowie twarzami upadli przed królem, błagając go, aby próg domu niewolników swoich przestąpić i do zorganizowanej dla niego biesiady zasiąść chciał. Wśród dworaków rozeszły się ciche szmery, że będzie to najmiłsza Kserksesowemu smakowi a Persyi prawie nieznana biesiada na sposób grecki — łoża jako siedzenia, niewiasty jako jeden więcej a najśłodszy trunek, biesiadnikom ofiarująca. Kserkses słyszał te szmery i pogodą zadowolonego bóstwa zajaśniało mu oblicze. Powstał, rękę dziewicy, która u stóp jego powstała w dłoń swoją ujął i wysoki jak topól, silny jak z ogromną grzywą lew, jak słup z dyamentów roziskrzony, wraz z nią, całą drżącą i karminami rumieńców płonąca, ze stopni tronu zstępował.

VI.

Przemysł ludzki i dokonywane przez niego dzieła, posiadały już w porze owej długą przeszłość. Więcej niż na dwa wieki pierwej, wznosił się był w Niniwie, ów pałac asyryjskich królów, którego gruzы bardzo odległe w przyszłości stulecie ze zdumieniem wydzierać miało wnętrzu ziemi, a którego 200 przeszło komnat i dziesięć podwórzы napęłniały olbrzymie nagromadzenia drogich metali, rzeźbionych wyobrażeń ludzi i przyrody, cegieł okrytych kunsztownem malowidłem i pismem, upamiętnić mającem dzieła mocarzy, myśli mędrców i wypadki czasu. O wiele już przed tą porą, z tej samej Lidyi, jeden z jej władców wysyłał greckim bogom dary, posiadające tak wysoką cenność i piękność, że z zachwyceniem opisywali je na swych kartach greccy dziejopisowie; w tej także Lidyi powstał wzór jednej z najpiękniejszych ozdób, na jakie zdobyć się miała architektonika wszystkich wieków, ten słup wysmukły i ozdob-

ny, który przez sąsiednich jończyków udoskonalony, otrzymał nazwę kolumny jońskiej; ta również Lidya, pierwsza w świecie i już przed bardzo dawnemi czasy, nadała metalom kształt i znaczenie monety, z drugiej zaś strony, pierwsza także zaśpiewała na tym instrumencie muzycznym, którego naśladowaniem były greckie flety, fletowi lidyjskiemu przecież nie dorównywające tak dalece, że pewien sposób zażywania instrumentu tego, najmniejszy i najśłodszy zawsze już zwać się miał w Grecyi: „graniem na sposób lidyjski“. W tej samej porze, Fenicya z nadmorskich miast swoich Tyru i Sydonu rozsyłała po całym znanym świecie do wysokiej doskonałości doprowadzone dzieła ceramiki, szklarstwa, farbiarstwa, a wewnątrz swojej ziemi budowała te młyny i wylączalnie, których rumowiska aż dotąd świadczyć nie przestały o fabrykacyach zarówno olbrzymich jak umiejętnych, które się tam dokonywały. Nie ustały też były podówczas w pracy swojej, lecz owszem, pod panowaniem perskiem nowych bodźców nabyły, wczarodziejskie niemal wzory zaopatrzone tkalnicie babilońskie; Egipt, malowanemi scenami swojego życia okrywał ściany piramid i ze sztuką nigdy już potem niedoścignioną, na dro-

gich kamieniach rzeźbił swoje gemmy; nad brzegiem Adryatyckiego morza kwitnął, ze zbytków swoich na wieki już słynnym zostać mający Sybaris. Pośród zaś wód innych, z wysp różnych jak z bujnych koron kwiatów wykwiwały różne bogactwa i przemysły: Na Sycylii wznosiła się milion mieszkańców mająca a winem, likworami, siarką i pszenicą handlująca—Syrakuza; Paros otwierała kopalnie najbielszych w świecie marmurów, Milet tkał najcieńsze i najprzezroczystsze materye, Lemnos w wyrobach szklarskich współzawodniczył z Fenicyą, w Grecyi, obok surowej Lacedemonii, w półdzikiej Tessalii, ociężałej Beocyi, Ateny znajdowały się w przededniu epoki Peryklesa, więc tej prawdziwie rajskiej w życiu ludzkości chwili, która cudowny wzrost i rozwój dać miała ideom formy i myśli. W najbliższem nakoniec Pytyonowemu domowi mieście, w stołecznem, lidyjskiem Sardes, nawet gospody zajezdne, za chwilowy przytułek dla podróżników służące, wykwincentem i okazałością współzawodniczyły z pałacami satrapy i króla. Jakkolwiek nie istniały podówczas sposoby szybkiego jak wiatr przebywania przestrzeni, wszystkie te ludy jednak, za pomocą koni, wielbłądów, mułów i naw, setka-

mi wiosła po wodach popychanych, przez najezdnicze pochody wojenne z jednej strony a z drugiej przez kupieckie wycieczki i bardzo rozpowszechnione osadnicze popędy, widywały się, zapoznawały i zarówno wytworami pracy swej, jak wyciskaniem na nich piętnem właściwej każdemu z nich natury, wzajem dzieliły się z sobą. To wzajemne przenikanie się i nauczanie ludów, działając powoli, lecz jak wszelkie prawo natury, stale i nieprzerwanie, ten wywierało skutek, że cokolwiek w jednym z głównych ognisk świata wymyślonem, wynalezionem, zrobionem zostało, wcześniej lub później, we wszystkich stawało się znanem, posiadaniem, doskonalonem lub na sposób właściwy miejscu i rasie — przerabianem. Zaś Azja Mniejsza, z przyczyny swego pośród innych ziem położenia, najwięcej przyjmować w siebie musiała tych z różnych stron zbiegających się umiejętności i zdobyczy. Na południe Egipt, na zachodzie swym morze Jońskie z mnóstwem bogatych i przemysłnych wysp jego, mająca, wąską tylko cieśniną Helesponcką, rozdzieloną była z greckim krajem Tessalią a u zachodu i południa stykała się z ziemiami Azji, najstarszej w dziejach sławy, jak też z zaledwie odkrytymi i napoczętymi kopalniami różnorodnych bo-

gactw indyjskich. Przez nią wiodły drogi z głębin łądów ku morzom wiodące, przez nią przeciągać musiały wojska asyryjskich, egipskich i perskich zdobywców, na jej brzegach nakoniec od wielce dawnych czasów ruchliwi jończycy utworzyli mnogie osady a nieustającą zamianę płodów i myśli, mnożstwem portów i dróg morskich, wieloma fizycznemi i moralnemi pokrewieństwami — utrzymywali nieustanne związki i stosunki pomiędzy nią i Europą. Zresztą, pomiędzy nią i Europą, oprócz zamiany płodów i myśli, odbywały się też niekiedy zamiany całych zbiorowisk ludności. Według starego i powszechnej wiary obudzającego podania, frygijczycy to niegdyś z Małej Azji wywędrowawszy, na Peloponezie dali początek lacedemońskiemu szczepowi greków; Grecy zaś znowu, tak jak i Egipcjanie, tłumnie przez azyatyckich zdobywców z ojczystych krain wyprowadzani, osiedlali się i długie już wieki pędzili na jej urodzajnych dolinach, wśród gór jej lesistych i nad złotodajnymi jej rzekami.

Wobec takiego stanu rzeczy, nie było wcale dziwnem, że wewnątrz Pytyonowego domu, wcho-
dzącym do niego persom wydało się wielkim skarbcem, dziełami wykwintu i sztuki od szczy-

tu do dołu napełnionym. Ten wykwint i ta sztuka, jakkolwiek tu i owdzie z przedziwną prostotą i naturalnością grecką zmieszane, w całości swej uderzały cechami azyatyckiej umysłowości właściwemi: przepychem, blaskiem i wybujałą fantastycznością. Niedarmo Pytyon był jednym z największych bogaczy Azyi a bogactwa zgromadzał nie dla samego ich posiadania, lecz dla zdobywania przez nie rozkoszy i sławy potężnego męża. Przepych napełniający dom jego, jak na nieskruszonym fundamencie, spoczywał przede wszystkim na drogocенności materiałów, z których powstał każdy ze znajdujących się w nim przedmiotów. Cokolwiek musiało tam być drewnianem, uczynionem było z cyprysowego i cedrowego drzewa, które na drzwiach i sufitach kryło się niemal całkiem pod gęstemi sieciami wyzłacanych gzygzaków i rozet, lub pod szeroko rozpostartemi a za pomocą gwoździ przytwierdzonemi blachami ze srebra i przednich gatunków miedzi. Te ciężkie i metalowemi połyskami olśniewające sufity, spoczywały na gżemsach, okrytych wieńcami liści brązowych i na głowicach kolumn urobionych w kształt palm i lotusów. Z posadzek fenickich, przedstawiających kunsztowną mozaikę różnobarwnych

marmurów i kamieni wyrastały ściany z ceglami malowanemi i spajającemi się w przeróżne, prawdziwą i bajkę przedstawiające obrazy. Byli tu, właściwemi każdemu z nich godłami otoczeni i w odpowiednich naturze każdego postaciach ukazani bogowie, sielankowe lub krwawe sceny, rolnicze, wojenne, myśliwskie; zwierzęta ziemne i wodne, udomowione i dzikie, pośród których najczęściej powtarzały się najmiłsze tym krajom wielbłądy i najsilniej do wyobraźni ich przemawiające lwy. Wszystko to, na jednych poziomych liniach umieszczone, obiegało do koła komnaty szlakami sztywnych, suchych, wzajemnie następujących na się profilów; gdzieś tam przecież, na sielskim krajobrazie jakimś, zładującą oko prawdą barw i rysunku rozpościerały się drzewa rozkwitały kwiaty i błękitniały wody, lub tłumna scena rynkowa, albo wojenna w głębie i wypukłości perspektywy zaopatrzona, wiernie i uderzająco naśladowała kształty ciał i namiętności dusz ludzkich. Pod temi sufitami z ubieranych w złożone wzory desek cedrowych, z blach srebrnych i liści brązowych, na tych posadzkach ścielących się różnobarwnemi marmurami, wśród tych ścian, po których, w nieskończoność jakby biegły sztuki malowanych ludzi i zwierząt, gdzie-

niegdzie przerwane świeżym, jak wiosna, krajobrazem, lub zgiełkliwą sceną wojenną, niezmiernie małą ilość sprzętów zastępowała ogromna obfitość kobierców, poduszek, lamp i — dzieł sztuki snycerskiej. Z tej to ostatniej, najmocniejszym, prawie upajającym strumieniem, wytryskała fantazyja Wschodu, kreśląca jedną wielką i cudowności pełną, na poły przerażającą, na poły śmieszną bajkę. Literami tej bajki były z marmuru, ze spiżu, ze srebra i złota urabiane postacie i mieszaniny postaci takich, jakich naprawdę nie widziała i nigdy widzieć nie miała powierzchnia świata, jakie powstać mogły tylko w bujnych, niespokojnych snach synów ziemi, palonej przez skwarne słońce a rodzącej mandragorę, ambrę i wino. Były to unoszące się jakby w powietrzu skrzydlate tarcze i półksiężyce; z podstaw swych podnoszące się, wyprostowane i zdające się syczeć węże; ciężkie od lwich tułowiów a na skrzydłach orlich, opuszczające się z góry gryfy; ludzkie twarze w oprawie łbów byczych i oslich; rybie ogony i plekty, z których do połowy wynurzały się ciała niewieście; lamparty, z królewskimi dyademami na głowach; delfiny unoszące na grzbietach młodzieńczych grajków. Obok żyrafy długą szy-

ję wysoko wznoszącej, byk na rzeź prowadzony, kopytem o złotą podstawę uderzał i z rozwartych nozdrzy wyrzucał srebrną pianę; z za młodzieńca, z którego głowy wyrastała wieloramienna lampa, ulatywać się zdawał wielogłowy orzeł; u stóp palmy rozwieszającej wysoko szklane banie i kielichy, pełzały skrzydlate jaszczurki. Wszystko to, w lasy wysmukłych kolumn jońskich upłątane, na tle również fantastycznemi kwiatami usianych kobierców rozpostarte lub stłoczone, oświetlonem było palącemi się w szklanych baniach i kielichach, lub na metalowych trójnogach i misach, wonnemi olejkami. Jakkolwiek bowiem słońce wysoko jeszcze wznosiło się na niebie, niewiele jego światła przez wąskie i rzadkie okna przeniknąć mogło do wnętrza Pytyonowego domu. Więc oświetlały go lampy i kadzielnice, z których dobywające się nitki dymów roznosiły słodkie i mocne wonie palonych w nich olejków różanych, fiołkowych, mirtowych, palmowych jakoteż prochów ambry, cynamonu, aloesu i mastykowych lub sandałowych drewnien.

Najrzęsistsze światło lamp, najgorętsze połycki metali i najwonnejsze dymy kadzideł napełniały tę komnatę, w której Kserkses do bie-

siady zasiadł i na łóżach bogatych lecz tak niskich, że zaledwie nieco nad poziom wzniesionych, spoczęli najwyżsi i najmiłsi mu dostojnicy. Więcej nad dwunastu być ich nie mogło; a pierwsze pośród nich miejsce po prawicy króla zajął stary Artaban; jakkolwiek bowiem nie skłaniało się ku niemu wcale serce Kserksesa, wiek najstarszy i węzeł braterstwa z niedawno zmarłym Daryuszem go łączący, były mu jeszcze tarczą przeciw zbytceznym zniewagom. Po lewicy za to, u boku króla a raczej u stopni jego tronu, spoczął Mardoniusz o chciwem i chytrem obliczu, dalej zaś, luźnem kołem zasiadali bracia królewscy po ojcu i matce, i ci, z którymi tylko Daryuszowa krew go łączyła, dwaj magowie, Artafernes, wielkorządca lidyjski, Megakles, uczony jończyk, który przez świeże zbudowanie mostu na Helesponcie, ważną królowi oddał przysługę. Młody Histaspes z lubością wpatrywał się w siedzącą na łożu, u stóp jego, Labdę, Mardoniusz ciekawie podnosił zasłone, która okrywała wspaniałą kibić Anteli, Artafernes, przyjaznem skinieniem głowy witał przybywającą ku niemu małżonkę jego, Perkalę. Kserkses bowiem do biesiady przyzwać rozkazał piękną żonę lidyjskiego satrapy, jako-

też, wśród mnóstwa innych kobiet, jadące za jego wojskiem ulubienice, Gobryanę i Arzamesę. To też, żywiej nad klejnoty okrywające ich ubrania, jakkolwiek jeszcze nieśmiało i powściągliwie połyskiwały oczy persów a tu i owdzie, obok bród ich długich, gęstych, wysoko spiętrzonych, wiły się lśniące taśmy włosów i jaśniały śniade lub białe marmury ramion kobiecych. Przed każdym zaś łóżem, stoły tak prawie jak one niskie iskrzyły się od okrywających je naczyń wielkiej piękności i ceny. Były to z metali i szkła wyrobione, rzeźbą i barwistem malowaniem okryte a winem różnych mocy, przypraw i gatunków napełnione kraterzy i dzbanki; misy pysznemi piórami bażantów i paw, lub łuską ryb rzadkich połyskujące; kosze spiętrzone purpurą i złotem owoców, czary i kubki szklane, srebrne, wyzłacane, głowy kóz dzikich, jeleni, gazeli z ludzłą prawdą wykonane a oliwy i innych wymyślnych cieczy pełne.

Nad tem wszystkiem, nad luźnem kołem wspaniale usłanych lecz tak niskich, że zaledwie nieco nad ziemię wyniesionych łóż, nad siedzącymi na nich brodatymi mężami, o coraz żywiej roziskrzających się oczach i niewiastami o lśniących taśmach włosów i obnażonych łó-

nach, nad stołami obciążonemi drogocennem a pełnem wymyślnych napojów i potraw naczyniem, w najobfitszem świetle lamp i zarazem w najgorętszej mgłę wonnych dymów, na tym samym tronie, który mu w darze ofiarował był Pytyon, siedział król Persyi, Medyi, Lidy, Asyryi, Babilonii, Egiptu, Arabii i wielu innych jeszcze ziem i ludów. Spiżowe lwy zdawały się dźwigać go i wysoko na grzbietach swych podnosić, nad głową jego i padającą na niej blaskami tęczy tyarą, straż zdawały się trzymać gryfy; stopy w wysoko zakrzywionem obuwiu opierał na poduszkach, okrywających najwyższy stopień tronu, pośród których też, połową twarzy ku niemu zwrócona, z perłami w brązowych warkoczach i z spuszczonej powiekami siedziała Melissa. Daremnie przecież spuszczała powieki; ani wstydlivość dziewicza, ani groza przed nowym, nieoczekiwanym wypadkiem życia, nie przezwyciężyły w niej dumy, która ją napęłniała, gdy uczuła się ona wzniesioną tak wysoko i tak bardzo przybliżoną do tak ogromnej potęgi. Wespół z tą potęgą, wznosiła się ona teraz wysoko nad wszystkim i wszystkimi, co wydawało się jej snem czarodziejskim, z którego lękała się obudzić i dla którego stwierdzenia

spoglądała czasem na zasiadających poniżej do stojników perskich i usługujących im synów Pytyona; a ilekroć to czyniła, z oczu jej, które przedtem świecić umiały tylko dziecinną wesołością, tryskało dumne uczucie tryumfu. Ale i teraz, chwilami, ogarniała ją do powściągnięcia niepodobna, prawie dziecinna wesołość. Kobieta przecież była, więc na myśl, że jej wdzięki zająć, może zachwycić zdołały oczy królewskie, po jej ustach i policzkach drgały i rozlewały się rozkoszne uśmiechy a drobne stopy w złotych sandałkach, żwawemi ruchy deptały miękkie poduszki, jakby w radości do lotu z nich porwać się chciały. Kiedy Pytyon, na stopniu tronu klękawszy, podał królowi róg nosorożca, on, zawartego w nim ognistego płynu skosztowawszy, złocony brzeg jego do ust Melissy przyłożył.

— Pij, biała lidyjko — rzekł — i niech szlachetna jagoda syryjska zapali płomień w alabastrowem twem ciele.

Wypiła nieco i istotnie z nagłym płomieniem na czole, po raz pierwszy śmiało oczy, ku twarzy króla podniosła.

— Czy dawno w domu Pytyona przebywasz? — zapytał król.

— Jestem córką jego brata i drobną sierotą przyjął on mię do swego domu — odpowiedzia-

ła z drżeniem, bo po jej ramieniu przesunęło się zimno królewskich pierścieni.

— Nie mniemałem, lidyjska dziewczyno, aby kobiety twego narodu były tak białe...

Z nowem uczuciem szczęścia odszepnęła:

— O, królu, matka moja greczynką była...

Nie dokończyła, bo Kserkses odwrócił od niej wzrok nagle zachmurzony. Wzmianka o greckiej kobiecie, która była jej matką, przywiodła mu na pamięć Grecyę a była to żądza, troska, może trwoga, które nad nim panowały tak, jak on panował nad światem i od których dusza jego odwracać się mogła tylko na chwilę i nie całkowicie. Zresztą, zwyczajem było persów, z natury ich bardzo rozważnej i zarazem bardzo zmysłowej wynikającym, iż każdą biesiadę rozpoczynali od poważnych narad a każdej ich poważnej naradzie towarzyszyła biesiada. Wino szczególnie, wino przedewszystkiem wzmagало i przyspieszało wrodzoną im ruchliwość mózgów i krwi. Więc i teraz także, uczony Megakles, który zaledwie dzisiejszego poranku u granic Lidyi spotkawszy pana swego i na twarz przed nim upadłszy, o skończeniu już wybudowania Helesponckiego mostu jemu oznajmił, wychyliwszy do dna czarę, przez uniżonego Fredegun-

da podaną, ręce u piersi pokornie splótł a o sposobach i materyałach, jakich do zbudowania mostu był użył, opowiadał. Liny z białego lnu fenickiego i z egipskiego biblusu, od brzegu do brzegu, na przestrzeni siedmiu stadyów wyciągnięte w ten sposób, aby fala je wyprężała; linami temi związane nawy; kłocę drzew piłami porzniete a na pomoście z nich górą ułożony chróst, usypana ziemia i ustawione poręcze, aby widokiem wody nie strachały się konie i pociągowe bydłeta. Kserkses słów Megaklesa słuchał z wyteżoną ciekawością i z coraz widoczniejszym rozradowaniem. Znać było, że radość i tryumf, jakich doznawał coraz więcej zwalniały te wodze, na których poczucie majestatu trzymało przyrodzoną mu ognistość. Tysiąc dumnych myśli przelatywać musiało po jego głowie, która na znak pochwały, słowom Megaklesa udzielanej, podnosząc się to skłaniając, z tyary sypała deszcze błasków; szerokim, prawie dobrodusznym uśmiechem rozwarły się jego czerwone, winem zwilżone usta. Róg nosorożca, który trzymał w ręku, wznosząc nieco, zawołał:

— I sam, Megaklesie, umysłem swoim objąć nie możesz, jak wielkie dobro zrządziłeś mnie

i sobie, tak nadzwyczajne dzieło spełniając. Ażeby zaś niebo i ziemia wiedziały, jak Kserkses wynagradza wiernych niewolników swoich, tobie, uczony mężu, darowuję na wino i jarzyny to z miast mojego państwa, które sam sobie wybierzesz. Będiesz niem rządził i takie z niego daniny ciągnął, jakie sam zechcesz!...

Kiedy Megakles, porwawszy się z siedzenia, z dziękczynieniem na twarz upadał, Kserkses wypuścił z palców wypróżniony róg nosorożca i na grzbietach lwów wyciągając ramiona, mówił:

— Gdy tylko na tron ojca mojego wstąpiłem, o, mężowie perscy, u boku mego stanęła troska. Dziw was zdejmuję, z dusz niedowierzających skryte powątpiewanie wyslizguje się wam na oblicze. Czegóż lęka się ten, którego strzegą miryady? Czego pożądać i ku czemu wzdychać może posiadający wszystko? Jednak, powiadam wam, że to jest prawda. Zaledwie dobre genjusze z ciała ojca mojego duszę wywiodły a ja w starem Persepolis szatę Cyrusa przyobleczony, zżółłem liść mastykowy i włosy swe poświęconym olejkiem namaściłem, u boku swego zobaczyłem troskę. Była ona blada jak mara strachu a okryta płaszczem z płomieni, które znamięnowały żądzę. Nie opuszczała mnie nigdy,

ani w dzień, ani w nocy, ani przy biesiadzie, ani wśród samotnego namysłu. Gdziekolwiek się znajdowałem, przybywała ze mną, czegokolwiek używałem, odrywała mi dla siebie połowę duszy. Mieszała się z winem, które piłem, rozluźniała mi ramiona, gdy w nich trzymałem niewiastę. Nikt ze śmiertelnych takiej troski nie znał, bo towarzyszy ona tylko wyniosłym sercom bogów. Była ona, o persowie, strachem, abym co do sławy i potęgi nie pozostał w tyle za tymi, którzy przedemną na moim tronie siedzieli, była też ona żądzą powiększenia sławy i potęgi Persyi. W sobie Persyę, a w Persyi samego siebie kochając, nie chciałem, żeby za mną stojące postacie przodków, cieniem swoim okryły mnie, ani ażeby cień jakiego innego narodu, z mojej winy we wzroście nieposkromionego, spłynął na nią...

Z pochylonemi głowy i splecionemi u piersi rękoma obecni mowy królewskiej słuchali, nie tylko słowem, lecz głośnem choćby odetchnięciem, przerwać jej nie śniąc, on zaś, misę z jadem, którą klęczący Pytyon mu podawał ręką odtrąciwszy, bo gdy o trosce swojej myślał, ze wzgardą odwracał się od wszystkiego, mówił dalej:

— Jak wzrastaliśmy i rozkwitali, odkądśmy panowanie nad światem od medów przejęli i jakie państwa i kraje pod stopę Persyi rzucili Cyrus, Kambyzes i Daryusz, wszyscy o tem wiedzą. Cóż pozostawało dla mnie, dziedzica tak wielu chwał i zwycięstw? Miałem jak niewiasta, bielić swoje ciało w puchach rozkoszy, przez innych zdobytej, lub jak nasycony tygrys, wyciągać leniwe członki w upale słońca, przez innych zapalonego? Na Ormuzda, persowie, tak być nie miało! Każdy z królów przynosi na świat duszę świeżego pokarmu łaknącą. Moja nowonarodzoną jest i nieznającą jeszcze smaku własnych tryumfów, więc i głodna i spragniona węszy zdobycz...

Tu dłoń jego na łeb lwa opadła z taką siłą, że głośno zabrzęczały uderzone o śpiż jej pierścienie i z postacią, która raz jeden tylko ruchem gwałtownym zakołysana, wnet znowu nakształt sztaby żelaznej się wyprostowała, lecz z szybko i szeroko rozwierającemi się nozdrzami, mówił dalej:

— Za morzem, usianem wyspami, które nam hołdują, to zobaczyłem, co dla mnie pozostawili przodkowie: kraj ciasny, ale przez bogów obficie zaopatrzony w wody, które na posłu-

sznych grzbietach noszą wojenne i kupieckie nawy, w łagodne słońce, które oliwkom dojrzewać pozwala, w wyborne wina i rozkoszne gaje. Miałżeby mały, lecz rajski ten kraik sam jeden bogactwa i przysmaki swoje umknąć dłoni i podniebieniu persów? Możeby jednak, dla małości i nikczemności swojej umknął ich oku, ale zamieszkująca go garść zuchwalców ściągnęła na siebie ich pomstę. Nie oniż to, posłom wielkiego Dariusza odmawiali zawsze ziemi i wody? Nie oniż to, zbrojnemi nawami i hufcami wspierali zbuntowanych jończyków a na czele ich w granice mego państwa wpadłszy, zburzyli w Sardes mnogie pałace i świątynie? Nie oniż to, na Maratońskim polu, przez niepojęte zrządzenie losów, zwycięstwo odniosłszy, na ostatnie lata Dariusza zmierzch chwały sprowadzili? Ja więc teraz za niego prędzej walczyć nie przestanę, dopóki kraju tego nie zdobędę, miast jego z dymem nie puszczę i jak jadowite gady nie podepcę tych, którzy ojcu mojemu, mnie i Persyi, zrzadzili tak srogie krzywdy. Jakto? mógłżeby dłużej istnieć na ziemi kraj, persom odmawiający ziemi i wody! Jakto! mógłżeby w bezpieczeństwie długo żyć lud, który na krwawem polu nad pobitymi persami, wydawał

zwycięskie okrzyki? Nie, na Ormuzda! to się nie stanie!

Umilkł, ale na sukni jego nie było ani jednego dyamentu, któryby nie podnosił się i nie migotał od wzburzonego oddechu jego piersi i namiętnych poruszeń ciała. Trwało to przecież krótko, bo wnet znowu majestat zamkniętego w sobie bóstwa objął go od stóp do głowy — z wyjątkiem oblicza, zdradzającego niepokojną pożądlivość, z jaką odpowiedzi obecnych oczekiwał. Oczekiwał zaś jej nie dlatego, aby czyjekolwiek potwierdzenie, na zamiary jego i chęci wpływ wyrzucić mogło, ale dlatego, że serce jego pragnęło chwalby, tak jak podniebienie wina i dlatego jeszcze, że głęboko a potajemnie nurtowały go niepewności, których chwilowe uspokojenie znajdował w wywoływanych często upewnieniach i przepowiedniach kapłanów. Mógł być teraz, jak zresztą zawsze, zadowolonym. Odpowiedzią na jego słowa, był szereg głów chylących się w pokorze i chór głosów, namiętnemi okrzykami głoszących jego wspaniałość i potęgę. Lecz z tego chóru wybił się i sam jeden rozbrzmiewać zaczął najmilszy mu, bo najlepiej sztukę zachęcania go i uspakajania władnący, głos Mardoniusza. Gdy ten mówił,

możnaby mniemać, że po komnacie płynęły potoki miodu, lub że z kolei, rozbrzmiewał w niej zagrzewający do walki huk trąb i kotłów.

— O panie! Najdostojniejszym i najgodniejszym chwały jesteś z pomiędzy persów nietylko dziś żyjących, lecz i tych wszystkich, którzy pomarli i tych także, którzy narodzić się mają. Tyś wszystko najjaśniej przejrzał, najmądrzej obmyślił i najwspanialej przedsięwziął. Ty wiesz, że nie o jeden tylko kraj grecki wojować idziemy, lecz że za nim, w przestrzeni szerokiej rozlega się ziemia wielka, dziwów i skarbów niepojętych pełna, która nazywa się Europą. Ty wiesz, że jedni tylko grecy, są dość zuchwali, aby przed twoją wszechpotęgą bezskutecznego oporu próbować i że gdy ich rozgniewasz, zniszczysz, zdepczesz, pójdiesz dalej z hufcami twemi i jak błyskawice pomykają po niebie, światłość w ciemnościach roznosząc, jak orkany suną po pustyniach piaski przed sobą zamiatając, imieniem swoim rozświecisz ciemne, bo ciebie nieznaną kraje i zmieciesz zamieszkujące je ludy. Wtedy, o panie, ziemie perskie z błękitem Ormuzda graniczącemi uczynisz i nie będzie już słońce patrzyło na żaden ląd, ani na żadne morze graniczące z twojemi, bo wszystkie, które istnieją,

w jedną dzielnicę, twojem dziedzictwem będącą, zamienisz. Lecz, aby to powszechne królestwo twoje osiągnąć, greków ci naprzód zawojować trzeba, czego też i dokonasz, bo ani ludek ten nie jest dość silny, by twe niepoliczone wojska zwyciężyć, aniby na to pozwoliło niebo, które już powielekroć i jak najlepsze zamiarom twoim wróżby zsylało a teraz, przez dokonane dzieło uwięzienia morza, raz jeszcze je potwierdziło. Idź więc naprzód, o wielki! zdobywaj, rozkazuj, panuj! My słudzy i niewolnicy twoi!

Zadowolonym był Kærkses; słowa Mardonia balsamem gojącym lały się mu na tajemne rany, lecz właśnie dla tego, że otwierał je głód chwały a jątrzyła niepewność przyszłości, najłżejsze i z każdąkolwiek pochodzące zadraśnięcie było im nieznośnem. Pochodziło zaś ono w tej chwili, — jak zresztą zwykle bywało — od Artabana. Ten starzec z białą brodą i gołębiem okiem, lecz z postawą jak u młodzieńca silną, w nieugiętej postawie siedział podówczas, gdy wszyscy inni, aż ku ziemi skłaniali głowy a gdy wydawali okrzyki zachwycenia i chwalby — milczał.

Odkąd w Suzie jeszcze, przeciwne zamiarom królewskim rady na ustach mu stłumionemi

zostały—milczał, ale samego tego milczenia, teraz szczególnie, gdy na niespodziewanie tutaj wzniesionym tronie zasiadał i gdy potoki wina ogniem po żyłach rozpływać się zaczęły, poblaźliwie znieść nie mógł Kserkses. Ten człowiek, którego przez pamięć dla szczerze kochanego ojca i przez wrodzony persom szacunek dla starości, z drogi swej sprzątnąć nie mógł, stał mu na drodze, jak jedyne sprzeciwieństwo, jak potwierdzenie własnych jego, tajemnych obaw, jak zła wróżba. Spuszczając więc ku niemu wzrok świecący tryumfem i szyderstwem, z tym nawpół dobrodusznym, a nawpół srogim uśmiechem, który mu często wargi czerwone nad białymi zębami rozchylał, Kserkses zawołał:

— Chciałbym, Artabanie, abyś teraz, gdy ze wszystkimi już zgromadzonemi wojskami niedaleko granic państwa mego się znajduję, gdy całą potęgę, przeciw grekom zgromadzoną zobaczyłeś, a zdania o niej najprzedniejszych mężów mego państwa usłyszałeś, abyś teraz wypowiedział, co o wyprawie mojej i mających ją spotkać kolejach mniemasz? Nie myślę bowiem, abyś trwał jeszcze w radach, które mi objawiałeś w Suzie i chęć mię bierze usłyszenia od ciebie przeciwnych. Nuże, synu Histaspa i bracie Daryusza, otwórz usta i przemów!

Jaśkolwiek wielką była jego władza nad ludźmi, nie mogła ona w głowie tego człowieka zniszczyć myśli, przeciwnych jego myślom. Wiedział o tem i tem silniej pragnął, aby upokorzył się on i gwałt sobie zadając, wymówił słowa z myślami własnymi sprzeczne; a im nie-szczerszemi byłyby one i z większą boleścią wy-dobywanemi, tem jawniejszym i słodszy był-by jego tryumf! Ale Artaban, gdy spojrzenia wszystkich biesiadników z palącą ciekawością w nim utkwiły, spokojnie swoje wzniósł ku Kserksesowi i po krótkim namyśle mówić za-czął:

— Jestem, o synu, człowiekiem, który wi-dział na świecie wiele dziwnych i niespodziewa-nych zdarzeń, silnych twierdz, obalonych przez słabe wiatry, małych robaków, które śmiertelne żądła zapuszczały w depczące po nich stopy. Pomnę, jak smutnie zakończyła się wyprawa Kambyzesa przeciw etyopom; towarzyszyłem Daryuszowi w nieszczęsnej jego wojnie ze scy-tami. Co więc tych przodków twoich spotkało z osiedleńcami pustyni, to tembardziej, jak mniemam, spotkać może ciebie, gdy do ludu, wszystkiemi przymioty etyopów i scytów prze-noszącego, poniesiesz mord i zagładę. Bo winy

któremi, synu, greków obarczasz, nie są winami, lecz tylko prawą z ich strony obroną ojczy-
stych ziem i źródeł, prawdziwym zaś powodem,
który pcha cię ku nim, jest ta mara, która ci
towarzyszy, a która, czem jest, sam to powie-
działeś. Nie potępiam ja słusznej żądzy dorów-
niania mężom wielkim i podniesienia blasku oj-
czyzny, lecz strzeż się, abyś tych dobrych pier-
wiastków Ormuzda nie przemienił w chuć du-
szy, niczem niesytej i wiecznie pragnącej wię-
cej niż posiada. Zbyt pyszne bowiem twory czę-
sto gromem zabija Bóg, a drobnemi niekiedy
opiekuje się z czułością. Tak i ziemia by naj-
żyźniejsza, ogładza zbyt liczne usta, a morze,
choćbyś je okuł w niejeden, ale i wiele mostów,
nie przestanie w swem łonie ukrywać burz, zni-
szczyć mogących nawy najliczniejsze. To ci,
Kserksesie, mówiłem w Suzie i to samo teraz,
gdy do mówienia wezwałeś mię, powtarzam.
Nie przeto myślę, jakiegokolwiek przeszkody za-
miarom twoim stawiać. Na swego następcę wy-
brał cię Daryusz, kapłani w Persepolis oblekli
cię suknią Cyrusa i tamże zżuleś liść mastyko-
wy. Jesteś prawym królem Persyi, czyni tedy
jako chcesz, mnie pozwól milczeć!

— Pozwalam ci, synu Histaspa, natychmiast do Suzy odjechać, wśród ciszy ogólnego przerażenia rozległ się głos Kserksesa; słusznem jest bowiem, abys mi nie towarzyszył na wojnie, której przyganasz, lecz pospołu z tchórzliwymi niewiastami i bezsilnymi dziećmi oczekiwał jej końca, w którego chwałach i korzyściach, pospołu z niewiastami i dziećmi, żadnego udziału nie przyjmiesz.

Ciężka, bo z pohańbieniem złączona, kara spadała na siwą głowę Artabana, którą przecież pochylił on nisko na znak zgodzenia się i pokory. Ten, który go nią obarczał, nie został w Persepolis obleczonym suknią Cyrusa i nie zżuł w tedy suchej figi i mastykowego liścia? Głowę pochylając, Artaban ujrzał Dilorama, który klęczał mu u stóp i do ust przyciskał skraj jego sukni; przerażenie zatrzęsło jego rysami i nad samą twarzą młodzieńca, szepnął:

— Precz ztąd, synu .. hamuj się... Strzeż się!...

Była to przecież przestroga spóźniona, bo bystremu oku Kserksesa nic z tego, co otaczało go, umknąć nie mogło. Śmiał się jednak; z oczu strzelały mu błyskawice, lecz śmiał się szerzej

i głośniej niż kiedykolwiek przedtem, a róg nosorożca ku klęczącemu jeszcze przed Artabaniem Diloramowi wyciągając, zawołał:

— Na Ormuzda, podoba mi się ten młodzieniec do dziewczyny podobny, który w obecności króla persów, kogo innego za Boga sobie obiera! Ale przebaczam ci to, synu Pytyona, dla miłości ojca twego, którego jestem gościem. Powstań i śmiało powiedz, jakim jest twoje mniemanie, co do moich zamiarów na Grecyę?

Tu pośród komnaty rozległ się stuk metaliczny, sprawiony przez złotą misę, którą Pytyon z ręki wypuścił, sam nad rozsypanem u stóp jego pieczonem ptactwem, w swej powłóczystej sukni słupem stając. Słup ten miał zbladłe jak płótno oblicze i oczy utkwione w podnoszącego się z klęczek młodzieńca. Ale Diloram, ani zbladłego oblicza ojca, ani dwóch braci swoich: Bubaresa i Toraksa, którzy z amforami w dłoniach, po dwu stronach Pytyona skamienieli, nie widział. Nie widział także, jak ramiona biesiadników, kielichy do ust niosące, zatrzymały się w powietrzu, a wszystkie ich twarze, zadziwione lub szydercze, zwróciły się ku niemu. Na Melisę patrzył. Kiedy Kserkses do Dilorama przemówił, ona uczyniła ruch taki,

jakby naprzód poskoczyć i okrzyk jakiś wydać miała, ale na obnażonem jej ramieniu, z taką rozkazującą mocą i tak od pierścieni twarda oparła się ręka króla, że jak gołębicą, gdy skrzydeł jej dotkną jastrzębie szpony, zdrętwiała ona, od czoła do stóp bladością oblana. Przez chwilę tylko Diloram patrzył na nią, a wielkie, czarne, aksamitne jego źrenice pełne były takiego smutku, wobec jakiego, nakształt niedostrzegalnej drobiny, pierzcha wszelka trwoga. Dalekim już od niego był ryk tygrysi, który mu pierś rozdzierał, tam, na tarasie, gdy Kserkses ku sobie przyzywał jego kochankę. Teraz cichym był i tylko wydawał się zarówno bez granic smutnym jak odważnym. Wzrok ku królowi podnosząc, bez zuchwalstwa i bez pokory przemówił:

— Duch Ormuzda rzekł królowi przed urodzeniem jego: „Powierzam ci ziemię, abys strzegł ją od krwi i trupów, wody stojące, abys je z mułu i jadowitych płazów oczyszczał, wody biegnące, abys im czystość i rąchość zachował. Nie będziesz przed porą zrywał ani owoców z drzew, ani żywotów ludzkich. Najlepszym z królów jest ten, który czyni ziemię urodzajną, a długowiecznymi ludzi“.

Słowa te były wyjątkiem ze świętych persom ksiąg Zoroastrowych, nikt więc z obecnych sarknąć na nie, ani ich powtórzeniu przyganiać nie mógł i nie śmiał. Mag Sorab z zadziwieniem i podejrzliwością wpatrywał się w lidyjczyka tak biegłego w religii Ormuzda i każdyby poznał, że niemilem mu było to wmieszanie się do dziedziny, którą na wyłączną swą własność zagarniał, to zstąpienie ku jądro nauki, dla którego giętkimi rękoma urabiał on stosownie do dnia i chwili łupinę. Milczał jednak, nie mógł słowom ksiąg świętych przyganiać, Kserkses mógł wszystko, lecz milczał także i—rzecz dziwna! ostre błyskawice jego oczu zagasły, ustępując przed chmurną zadumą. Spuścił powieki, na pierś pochylił głowę i głosem człowieka, w którego umysł wpadły ziarna wątpliwości, mówił:

— Tak duch Ormuzda rzekł królowi przed urodzeniem jego, biada zaś mocarzom, którzy mu są nieposłuszni! Lecz duch Ormuzda mieszka wysoko... niechby na ziemskie równiny zstąpił! niechby zstąpił i to pogodził co siebie wzajem jak ogień i woda nie znosi! Niechby zstąpił i nauczył króla, jak ma ziemię ustrzedz od trupów i zarazem ją zawojować... Żywotów ludz-

kich nie skracać, a bunt postrzekać i ludy przed sobą jak piaski pustyni zmiatać... urodzajną ziemię czynić i liczne wojska po niej prowadzić... Wysoko mieszka Ormuzd! Niechby zastąpił...

Wierzącym umysłem króla zatrzesły znać, niespodzianie usłyszane rozkazy Ormuzda; o dziecku, z którego ust one wyszły, zapomniał. Lecz nic dorównać nie mogło uniesieniu miłości, z jakim Pytyon rzucił się ku stopniom tronu. Już, już mniemał, że zuchwałe pacholę samo zdruzgotaniem zostanie i jego o utratę szczęścia, które najwyżej sobie cenił, a tak wielkim kosztem zdobywał—przyprawi, gdy tymczasem on, ten najpotężniejszy, był także najłagodniejszym i zamiast unieść się gniewem, w pobożne popadł rozmyślanie...

To też, na klęczkach, splecione dłonie wysoko wznosząc, śpiesznemi słowy Pytyon mówić zaczął:

— Wszystko, com od młodości mniemał o wielkich sprawach tego świata, potwierdzenie znalazło w tobie! Nazywali ludzie Pytyona rozumnym człkiem i zaprawdę był on takim, bo świadectwa zmysłów nie potrzebował, aby odgadnąć i zrozumieć — ciebie! Ujrzały cię nako-

niec oczy moje, usłyszały uszy i stwierdziły, żem w błąd nie popadł. Szczęściem jest dla człowieka, który nie był tylko dwunożnem bydlęciem, gdy w starości, spojrzawszy za siebie, przekonywa się, że gmachu swego życia na marnym piasku nie budował i nie trwonił daremnie swojej czci i wiary, jak trwonią kroki i trudy wędrowcy, ścigający na pustyniach majaki złudnych miast i ogrodów.

Im więcej mówił, tem większy unosił go zapal, pierś głośno dyszeć, słowa mu w ustach plątać się zaczynały, aż porwał się z klęczek, zwyczajnym sobie giestem, mieniające się i szerokie rękawy sukni na plecy sobie odrzucać zaczął i wołać:

— O, głupi Pytyonie, który siebie za coś ważnego poczytywałeś a teraz wobec chęci swoich okazujesz się marnym człeczyną! Czemużem, o Cybello, nie posiadał sto razy więcej sił i rozumu i sto razy więcej trudów nie poniósł, aby sto razy większe gromadzić bogactwa i módz przez nie teraz serce swoje zadowolnić? Spojrzyj, o królu, na wszystko, co w tym domu przez długie lata zgromadziłem, marne to śmiecie wobec twej wielkości, zawierają przecież w sobie niemało drogiego metalu i tej kusztownej

pracy człowieka, która nazywa się sztuką. Spójrz, wybieraj, bierz, uwoź ze sobą, albo do Suzy odsyłaj wszystko, co tylko oczy twoje zabawić lub serce ucieszyć może... Gdybyś i wszystko zabrał, Pytyona nie zgubisz, ale tylko nad wszelką wartość uszczęśliwisz. Stać go bowiem na sprawienie nowych dla domu swego ozdób a w radości i pokoju późny wiek jego spływać będzie ku swemu kresowi, na skrzydle myśli, że owocami trudów swej młodości przyozdobił on dom królewski...

Pokornym był, jak czciciel przed bóstwem swoim a raczej przed tem, co wieki późniejsze oznaczyć miały nazwą ideału, ale zarazem i dumnym. Bystrą myślą rachował cenę przedmiotów, na które gestem ramienia szerokim, błagalnym, lecz zarazem i może pomimowoli dumnym, wskazywał. W tem, niespodzianie, z za pleców wystąpił mu najstarszy syn jego, Bubares i w sukni złotemi hafty pobłyskującej, w wysokiem perskiem obuwiu, czarnowłosy, ciemny, chmurny, jak to podziemie, w którem większą część życia przepędził, zachwycone oczy wzniosł ku królowi.

— Niech mię Cybella zdruzgocze—zawołał—jeżeli dusza moja nie powtarza słowo w słowo

wszystkiego, co mówią usta mego ojca! Od dzieciństwa w górnicze roboty wdrożony i zdala od świata żyjący, prostakiem jestem, o królu, i mowy swojej kwiatami zdobić nie umiem. Niemniej przecież mam serce tkliwe, które dziś napełnionem zostało wielką dla ciebie miłością. Wspaniałość twoja olśniła moje oczy a dobroć, którą niewolnikom swoim okazałeś, podbiła serce! Nie słabym wcale stworzyli mnie bogowie, lecz teraz, nadludzką uczuwam w sobie siłę. Rozkaż, a młot porwawszy, Tmolus roztrzaskam, aby z wnętrzości swoich wysypał ci do stóp wszystkie swoje bryły złota!...

U drugiego boku Pytyona, Toraks— pomimo bogatych sukien, które go okrywały—wzór i uosobienie ogorzałego, gruborękiego, z rozrosłemi barami rolnika, w pokłonie czołem ziemi dotykał; tak te latorośle, w uczuciach swoich podobnemi się stały do drzewa, które im dało życie. Jak obraz milczącym Kserkses pozostał przez chwilę i tylko szerokim, powolnym oddechem zdawał się wciągać w siebie tę miłość i te hołdy, które słodsza nad arabskie kadzidła wonią, z dołu ku niemu buchały, aż uśmiech przyjazny i wdzięczny twarz mu okrywać począł i uczynił ją miękką, łagodną, prawie rozrzewnioną.

— Nad miód Hymetu, po który z wojskiem mojem dążę — rzekł — słodsze jest sercu króla, gdy drogę mu znajdzie człowiek dobry. Dobrym jesteś, starcze lidyjski, i pobudzasz mnie do wdzięczności, którą też ci okażę. Dosyć już wielkie złożyłeś mi dary gościnne i domu twego nie będę odzierać z ozdób, które w nim zgromadziłeś. Bogatym jest król persów i nowych bogactw mniej potrzebuje, niżeli sług wiernych. Dlatego, i, aby tobie, Pytyonie, cześć niesłychaną wyrządzić, ze wszystkiego, co posiadasz i mnie tak hojnie ofiarowałeś, wybieram i biorę sobie tylko tych oto synów twoich...

Tu palcem z wielką pieczęcią na Bubaresa i Toraksa wskazał a satrapa Lidyi, Artafernes, jak sprężyną rzucony, na łożu się podniósł i ręce splatając, śpiesznie mówił:

— Gniew twój najwyższy ściągnąłbym na siebie, gdybym ci nie oznajmił, że Pytyon lidyjszy, w zamian synów swoich i chcąc ich od niebezpieczeństw wojny uchylić, złożył kiesy złota, za które w Abydos, na rynku niewolników, kupiłem i uzbroiłem pięćdziesięciu scytów, jakoteż nawie jednej dostarczyłem dziesięciu fenicyan.

Przestraszonym wydawał się Artafernes i wzrok jego od twarzy królewskiej latał ku twarzom

Pytyona i jego synów, na stopniu tronu przemienionych w posągi niepokoju i oczekiwania. Lecz Kserkses z pobłażliwym ruchem dłoni i z tak jak wprzód przyjaznym uśmiechem odpowiedział:

— Najmniej mnie nie dziwi, że mąż tak dostojny jak ten lidyjczyk, do widoku synów swoich zmieszanych z pospólstwem wojskowym, odrazę uczuwał. Godni są oni najwyższych miejsc w mojem wojsku, otrzymają je też w mojej miryadzie nieśmiertelnych...

Tu wśród zadziwionych ale milczących biesiadników, wzrokiem wyszukał dowódcę pułków perskich, Otanesa, i zapytał:

— Nie odzyskaliż zdrowia dwaj młodzieńcy z Persepolis, których dla ciężkiej niemocy pozostawić musieliśmy we frygijskiej Kelanei i nie danoż im jeszcze zastępców?

Teść królewski, chyląc głowę, odpowiedział:

— Nie podźwigną się już tamci ze srogiej niemocy swojej, o królu, a wielu najznakomitszych młodzieńców perskich, do stóp mi upadało, błagając, abym dziś, gdy w Sardes już staniemy, do twego świętego ucha za nimi przemówił.

— Zawiedzionemi zostaną nadzieje najznakomitszych młodzieńców perskich — odpowiedział

Kserkses — bo tych synów Pytyona lidyjczyka, u boku swego posiadać pragnę. Odkąd Mitra słońce zapalił na niebie, po raz to pierwszy, ludzie z rodu obcego persom dzierżyć będą w swych rękach oszczepy ze złotym granatem i jak cień nieodstępnie postępuje za człowiekiem, nieodstępnie królowi swemu towarzyszyć. Taką ja łaskę wyrządzam tobie, lidyjczyku, za miłość, którą mi okazałeś, i taką chwałę zlewam na twoją głowę. Tobie zaś, Otanesie, rozkazuję, abys natychmiast młodzieńców tych wziął do boku swego, a gdy odjeżdżać ztąd będziemy, w mi-ryadzie mojej, na miejscach, które tamci, w Kelanei pozostawieni, zajmowali, za sobą ich powiodł.

Otanes ruchem ręki dał znać Bubaresowi i Toraksowi, aby zbliżyli się ku niemu, zaś inni biesiadnicy o chwale wielkiej i niesłychanej, która Pytyona spotkała, gwarnie rozprawiać a hojność i wspaniałość, z jaką król okazaną sobie miłość wynagradzał, wysławiać zaczęli. Tylko Pytyon w swej powłóczystej sukni stał znowu przez chwilę jakby w słup przemieniony, jakby tego, co z ust królewskich usłyszał, pojąć nie mogący. Coś bardzo podobnego do bólesci i przestachu powieki i policzki wprowadziło mu

w drganie, aż nakoniec zrozumiał wielką i niesłychaną chwałę, która na niego spłynęła, zrozumiał i, na klęczki padając, z głową schyloną zawołał:

— Niech się tak stanie! o, wielki, niech stanie się, jako rzekłeś!

I było to podobne do bolesnego, acz pokornego i nawet chętnego ofiarowania bóstwu części ciała od serca oderwanej. Potem zaś, przy radośnym i los jego wysławiającym gwarze biesiadników, o tem słuchając, że synowie jego miejsce zajmą w hufcu, złożonym z pokolenia wydającego królów i jak cień nierozłącznie postępuje za człowiekiem, mocarzowi towarzyszyć będą, z pobladłego zarumienionym, z przestraszonego dumnym stawać się i w dziękczynieniach rozplýwać się zaczął.

Ale teraz, niewolnicy Pytyona do komnaty wnieśli wieńce z kwiatów i kosze pełne rumianych jagód, wydających z siebie woń przedziwną a tak silną, że stłumiła zapachy kadzideł. Były to szeroko słynne z woni, smaku i czarodziejskich leczniczych własności maliny, u szczytu góry Idy rosnące, a którym podobnych nie było na całym świecie. To też Mardoniusz, który w wojennych pochodach przebywając Lidyę,

rzadkiej tej jagody już niegdyś kosztował, jął opowiadać królowi jak była ona wyborną, jakich trudów wymagało samo jej na wielkich wysokościach i w głębiach puszczy zdobycie, jakich cudów prawie przemysłności trzeba było na to, aby ją w porze tej, w miesiącu kwiatów—posiadać. Nawet Artaban i Otanes, najsurowsi z biesiadników, ciekawi byli skosztowania jagody, której sokiem i wonią poili się niegdyś mieszkańcy starej i sławnej Troi.

Gobryasz i Arzames, z łaskawością panów, którzy z niewolnic swoich zadowolonymi się czują, na rozwartych dłoniach podawali je ulubienicom swoim; Histaspes zaś, biorąc od niewolnika wieniec różany i na szyi Labdy go zawieszając a maliny, nakształt rubinów z białych palców do czary sypiąc, zawołał:

— Zdaje mi się, o królu, że zbyt już długo zajmowały nas mowy i rozmyślenia poważne. Cenny dar niebios występnie trwoni ten, kto bez rozchmurzenia czoła i rozwiązywania pasa, dniu wesołości przeminąć pozwala!

Gobryasz, ramieniem otaczając kibić towarzyski, Histaspowi zawtórował:

— Blask oczu kochanej niewiasty słodszy jest sercu nad sam blask sławy a wieniec z różmilszym głowie nad zdobną w perły tyarę...

— Gdy Mitra słońce na niebo wprowadzał, rzekł mu: „błogosławionem będziesz, ilekroć podniebienia syte i serca wesole sług Ormuz dających oświecisz!“ ozwał się Sorab i jedną ręką po wonny wieniec a drugą po wonniejsze jeszcze nad kwiaty jagody wyciągnął.

Poważniejszy od innych, ale uczcią rozweselony Artafernes, opowiadać zaczął:

— We frygijskiem mieście Kotajonie, u otworu skały, zawierającej zwłoki umarłych, widziałem grobowiec pyszny a na nim nadpis: „Dwóch miast świetnego Prymnesu i mądrego Kotajonu obywatelem byłem i oto, co przyjaciółom moim ze świata zaludnionego cieniami doradzam: Roskoszy i wesołości oddaj się! żyj! bo umrzeć musisz! Pij, tańcz, używaj!

Mardoniusz zauważył:

— Gdyby ów mądry obywatel Prymnesu i Kotajonu nie frygijczykiem był, ale persem, radzie swojej dodałby jeden jeszcze wyraz: zdobywaj!

A do Fredegunda, który ku niemu zbliżał się z amforą, czarę wyciągając, zawołał:

— Po scytyjsku nalewaj!

— We wszystkim przodując światu, mająż persowie pierwszeństwa w picu ustąpić dzikim scytom?... — ze śmiechem zapytał Gobryasz.

A w tejże chwili, Kserkses, na rozwartej dłoni podając maliny Melissie, ku bratu swemu Mazistowi zwrócony, zapytywał:

— Nie jestże w twoich oczach, Mazistasie, tak jak i w moich, ta dziewczica lidyjska w sposób zadziwiający do twojej małżonki podobną?

Ręce u piersi splatając i złośliwe błyski źrenic pod spuszczałą się powieką kryjąc, Mazistas odpowiedział:

— Jakąż radością przejmuję mnie to, Kserksesie, iż boskie oczy twoje odkryły w świecie niewiastę do mojej małżonki podobną!

Histaspes, palony przez czarne oczy Labdy a przez wypite wino ośmielony, wzrok ku królowi podniósł i mówił:

— Spróbój, o królu, na godzinę stać się prostym śmiertelnikiem i nas przez to do używania dnia wesołości ośmiel. Marzenia o sławie na rzeczywistość roskoszy, tyarę na wieniec zamień!

— Niech się tak stanie, o królu — chórem potwierdzili biesiadnicy a Histaspes lekką stopą wbiegał na stopnie tronu, aby tyarę od drogich kamieni ciężką, zdjąć z głowy królewskiej.

Wtedy do Pytyona, ciche rozkazy niewolnikom wydającego, zbliżył się Indantyr i z niskim pokłonem, cichym szeptem oznajmił mu,

że żona jego, Gorgo, pragnie z nim widzieć się natychmiast.

— Jończyk Chileas, rozkazał powiedzieć ci, panie — dodał fenicyanin, — abyś koniecznie przybył a rozmowa z dostojną małżonką twoją, zabierze ci tyle tylko czasu, ile go potrzeba do wysączenia jednej czary wina...

Po chwili, zasłona z kobierców we wdzięcznych festonach wijąca się pośród kolumn zapadła za Pytyonem, który w komnatce małej, nikłą lampą oświetlonej, oko w oko spotkał się z Gorgą i rękę swoją uczuł w uścisku dwóch suchych, gorących dłoni. Nigdyby przedtem nie przypuszczał, aby te małe, zwiędłe, spracowane ręce kobiece tyle siły posiadać mogły; uścisk ich drżący był a zarazem wydawał się żelaznym. Twarz Gorgi, z pod żółtego zawoju zapadłemi oczyma świecąca i na policzkach ogniem rumieńca okryta, przychyliła się prawie do samej jego twarzy a usta śpiesznie, tak śpiesznie i drżąc, że wydawały się liśćmi przez wiatr miotanemi, szeptały:

— Nie gniewaj się, Pytyonie... nie mogłam wyrzec się widoku twojej chwały i tylu wspańiałości... z Chileasem więc tu przyszedłam i z za uchylonej zasłony patrzałam... Cieszę się, Py-

tyonie, o jakże się cieszę wszystkim, czego dziś używasz... łaską, którą okazuje ci najpotężniejszy... pochwałami tylu dostojnych mężów... tem, że tyle posiadasz... wszystkim... Dziękuję bogom, żeś dnia tego doczekał, Pytyonie, i... cieszę się...

Wraz z ostatnim wyrazem, łzy jak deszcz spływały na rozpalone jej policzki i na rękę Pytyona, którą do ust cisnęła. Kibic w tej chwili miała tak gibką i z takim nieśmiałym, błagającym wdziękiem do boku jego ją tuliła, jakby jeszcze była tą wysmukłą, szczęśliwą, niewinną dziewczicą, którą przed wielu laty poślubił. Przyjaźnie też, chociaż i niecierpliwie, Pytyon zapisał:

— Jeżeli, jak prawej małżonce przystoi, cieszysz się szczęściem i chwałą moją, czegoż płaczesz?

— Nie tylko widziałam, ale także słyszałam wszystko — odpowiedziała.

Wtedy oczy Pytyona zmąciły się i jak ptaki na odgłos groźnego szmeru, niespokojnie komnatę do koła oblatując, unikały spotkania z dwojgiem wznoszących się ku niemu łzami zalanych oczu. Spotkały się w zamian z wysoko i cienką postacią Chileasa, który z cienia wyszedłszy, z uśmiechem na wąskich ustach przemówił:

— Wiesz o tem, Pytyonie, że najcenniejsza z niewiast mniej jeszcze rozumu posiadać może od najlichszego z mężów. Kiedy tam—tu cienki palec, ku biesiadnej komnacie wyciągnął — dwóch synów twoich tak wielkie, tak niesłychane szczęście spotykało, Gorgo niewieścim swoim rozumem pojąć go niezdolna, byłaby padła na ziemię, gdybym ją w ramionach swoich nie podtrzymał i do ust jej nie wlał leku, który mam zawsze przy sobie, kiedy znajduję się przy niej... Wtedy też niewolnika posłałem z błaganie, abys przybył, bo rzekła, że o czemś niezmiernie ważnem pomówić z tobą musi...

— Chileas myli się — żywo przerwała Gorgo — nie wierz mu, Pytyonie... Nie jestem tak głupia, abym nie rozumiała, że to dla nich wielkie i niesłychane szczęście... Widziałam przecież z górnej galeryi domu, widziałam tych cudnych rycerzy... pancerze ich połyskują, jak łuska rybia... na oszczepach złote granaty... z rodu wydającego królów... i tacy piękni... jak pięknymi będą w tej zbroi i w tych ozdobach Bubares i Toraks... Jak cień przy człowieku, zawsze u boku mocarza... Jakże cieszę się... jak dumną jestem, że ich urodziła, że pod mojem okiem wzrosli ci, którzy pierwsi z pomiędzy ludzi,

persami nie będąc, w miryadzie nieśmiertelnych zajaśnieją... Tylko... Pytyonie...

Tu tchu jej zabrakło, nowy deszcz łez z oczu popłynął i tak jak pierwszy wnet osechł. Pochyliła się, obie dłonie do piersi przycisnęła i szeptem dokończyła:

— Tylko mię, Pytyonie, boli...

Istotnie też, dłońmi pierś cisnąc, z bólu jakby zwinęła się cała i osunąwszy się na ziemię, w szacie Pytyona głowę kryła. On, z rękoma w szerokie rękawy sukni wsuniętymi, stał chwilę nieruchomy a na twarzy mieniły się i mieszały wyrazy uczuć bardzo ze sobą różnych: gniewnego znecierpliwienia i głębokiego zmieszania. Chlebas zaś, ku samemu prawie uchu jego usta przybliżając, z uśmiechem, który ich nigdy nie opuszczał, — szepnął:

— Szczęście twoje wielkiem jest, Pytyonie, i na te kobiece biadania nie zważaj... Tylko te kawki i kruki... te obrzydłe kawki i kruki, które niedawno mnie nad zwłokami obrońców Miletu ukazywałeś... Nie nad buntowniczą Jonią tylko latają one... nie nad Jonią tylko... Widziano niedawno ogromne ich gromady lecące ku zachodowi... powiadam ci, że leciały tam, kędy wojsko najpotężniejszego dąży, leciały te przebrzydłe kawki i kruki...

Pytyon, jakby ze zmaconej zadumy nagle mu ukazaniem straszidłem zbudzony, zadrżał a rozniewanym wzrokiem przeszywając jończyka, tak aby Gorgo nie słyszała go, odpowiedział:

— Mścisz się, lisie! lecz dom twój, zdrajco, pustym jest, mnie zaś, wiernemu niewolnikowi pana swego, pozostanie jeszcze trzech synów...

I wnet głowy Gorgi dłonią dotykając, głośno rzekł:

— Trzej synowie jeszcze pozostaną przy tobie, Gorgo!

— Czy pozostaną? — słuch jego musnął szept tak cichy, że sam na pewno powiedziećby nie mógł, czy wyszedł z ust jończyka, lub z jego własnej, w różne kierunki rozkołysanej myśli.

— Niechaj zostaną... o, niech zostaną! — ramionami kolana męża oplatając, zawołała Gorgo i z twarzą ku niemu podniesioną, znowu śpiesznie, bardzo śpiesznie mówiła:

— O tem to właśnie z tobą, Pytyonie, pomóc musiałam... umarłabym zaraz, gdybym nie powiedziała ci tego...

— Lękam się... Fredegund taki mądry... Wamik tak wymowny, Diloram zuchwały... zlituj się! Tyś mądry... wiesz co czynić, ażeby oni...

zlituj się! Powinieneś mi przebaczyć, bo nie było nademnie małżonki miłującej więcej i wierniejszej... powinieneś mi przebaczyć.... Melissa, u stóp jego siedzi a on jej ramienia i włosów dotyka!... Jak liść na drzewie drżałam, kiedy Diloram do króla przemawiał... Pytyonie, kiedy odjadą ztąd ci bogowie? Powinieneś mi przebaczyć... cieszę się chwałą twoją, lecz takem zlekioną... Z tamtymi stało się... ujmą w ręce złote granaty i odjadą... Niech stanie się wola najpotężniejszego! Chwała jemu i im, tym robakom moim... ale już dosyć! Pytyonie, prawda, że dosyć? Zlituj się... tyś mądry, wszystko wiesz jak uczynić...

Podniósł ją z klęczek i ręce jej w swoich ścisnąc, z połączeniem współczucia i rozśmieszenia mówił:

— Czyś oszalała! Mniemaszże, że Tantalosem jestem, który odwiedzającym go bogom dał na zjedzenie upieczone członki swojego syna, albo że królowi smakowałaby taka potrawa? On najpotężniejszy i najdoskonalszy. Łaska bije z oblicza jego i na kochających go spływa. Co uczynił, dobrem jest. Bubaresa i Toraksa wysoko wyniósł, na moją głowę koronę chwały włożył. Błogosławionym niech będzie!

— Niech... — bardzo cicho powtarzać zaczęła Gorgo, ale dokończyć nie mogła i po chwili dopiero u piersi męża nieco ukojona, słowami jego pocieszona, ze słodkim uśmiechem rzekła:

— Idź już... chwały i radości swojej używaj... bądź błogosławionym!

VII.

Słońce zbliżało się ku zachodowi i z za Tmolusu, który szlakiem olbrzymich cieni zaścielał skraj widnokregu, wysyłało na niebo smugi i snopy szkarłatnych i złotych światła. Do koła pytyonowego domu, powietrze pełnem było nieustannego szumu, który do wydymających się, to znowu opadających, lecz ani na chwilę nie cichnących podmuchów wiatru był podobnym. Spływał szum ten na równinę z za wzgórz kasztanowych, których szerokie stoki okrywał tłum koni i ludzi zbrojnych; ci ostatni przecież konie swoje i część zbroi porzuciwszy, na mnóstwo siedzących, stojących, leżących gromad podzieleni, używali z zabawą i uczta połączonego spoczynku. Z głębin lasu, dochodziły tu przez oddalenie osłabione śpiewy fletów i trąb, z którymi wierni Cybelli odprawiali święte gonitwy i tańce; gdzieś tam, nad drzewa unosiły się złote i różowe dymy, znamionujące miejsca, w których palono ofiary a z części zwierząt ku

czci bogini mordowanych, dla korybantów i ludu sprawiano uczty.

Jednak przed domem Pytyona szeroka przestrzeń okryta była tylko drzewami, których wierzchołki gorzały w ostatnich światłach słonecznych i kwiatami, które usypiały w cieniach, ogarniających już podścieliska ogrodów i sadów. Zrzadka tu tylko błyskały zbroje na równinie rozstawionych wojennych straży, niewolnik w jaskrawej sukni, szybko z poselstwem jakimś przebiegał,— w gęstych krzewach szemrały szepoty niewolnic, na ciekawe dla nich widoki a pojętniejsze jeszcze spojrzenia perskich wart, czyhających. Od tarasów i wschodów ciężkiego, ciemnego gmachu, droga złotym piaskiem usypana daleko wśród traw i kwiatów sunęła, przez chwilę równolegle towarzyszyła błękitnej wstędze Paktolu, aż przepadała w oddali, gdzie na rozległych niwach i łąkach, na ciemnym tle gęstych winnic, niewyraźną chmurą stały wozy, muły, wielbłądy króla i nieodstępnych jego rycerzy.

Żadne już teraz światło i żaden dźwięk z zewnątrz przez grube ściany z odłamów skał wzniesione nie przenikały do wnętrza pytyonowego domu, gdzie coraz swobodniej i weselej ku

swojemu końcowi staczała się biesiada. Rzęsiście, w gęstej mgłę dymu, płonęły tam lampy, z głów posągów lub gałęzi metalowych drzew wyrastające i płomienie na trójnogach wciąż podsycane, w tem zaś świetle obfitem, ale ponurem, bo jaskrawem i dymnem, mnóstwem odbić połyskiwały na niskich stołach szklanne i metalowe naczynia w nieładzie powywracane, rozbite, w gąszczu więdnących kwiatów sączące krople i strugi czerwonych i złotych cieczy. Kwiaty przez niewolników rozsypywane gęsto okrywały stoły i łóża a tu owdzie znikały pod niemi kunsztowne wzory fenickiej posadзки. Kwieciste wieńce spoczywały na głowach mężczyzn i obnażonych szyjach kobiecych, zielenią mirtu, purpurą róż i białemi gwiazdami narcyzów otaczając twarze rozkwitłe rumieńcami i uśmiechami upojenia, oświetlone oczami, które na podobieństwo gorejących w komnacie jaskrawych i dymnych płomieni gorzały jaskrawo i mglisto. Tam, gdzie mieniła się suknia Labdy, nakształt połyskliwego węża wila się obok Histaspa i gdzie ametystowym fioletem, albo żółtością szafranu iskrzyły się stroje towarzyszących persom niewiast, widać było wśród rozrzuconych kap i poduszek ręce łączące się

w uściskach, ramiona oplatające szyję, oczy nawzajem przenikające się do głębi, pieszczotliwe ręce, brzegi czar przykładające do warg rozgorzałych. Wszystkiemu temu towarzyszyły szmery szeptów, wybuchy śmiechu, głośne okrzyki, urywki poważnych, albo swawolnych rozmów. Nad tem zaś wszystkim z wysokości tronu swojego panując, Kserkses ramieniem obejmował Melisę, która już nie u stóp, ale u boku jego siedziała. Od tyary uwolniona, z pod wieńca z róż i mirtu, gęstwina kruczych włosów nisko spływała mu na ramiona i plecy i ze spiętrzoną brodą zlała się w jedną chmurę. Pas rozluźniony perłowemi frendzlami dotykał dziobów jego obuwia; w kwiecistych poduszkach zanurzając plecy, twarz rozgorzałą od wina i wzruszeń, przybliżał do twarzy towarzyszki, takie w niej topiąc spojrzenie, jakby samą jego siłą podnieść chciał jej spuszczone się ciągle powieki. Nie wyglądała już ona w tej chwili, ani tak dumną, ani tak szczęśliwą, jak u początku biesiady. Gdy po raz pierwszy uczuła na swej kibici obejmujące ją ramię, od stóp do głowy zadrżała, tak jakby to dla niej było niespodzianką, lecz czy bolesną, albo radosną, napelniającą ją ohydą, albo rozkoszą? — nie zdradzały tego zmar-

twiały jej rysy. Ale nie była już podobną do świeżo rozkwitłej wiosny; przypominała raczej kwiat w podmuchu zbyt upalnego i gwałtownego wiatru szybko więdnący.

Otanes tymczasem, po obu stronach swoich Bubaresowi i Toraksowi usiąść rozkazawszy, wiódł z nimi przyjacielską rozmowę, o wysokiej godności, która na nich spłynęła i towarzyszących jej powinnościach. Na widok synów poufale zasiadających u boku królewskiego teścia i niespodziewanem wyniesieniem swoim widocznie upojonych, Pytyon pozbył się do szczętu tego zmieszania, które w czasie rozmowy z Gorgą okazywał i zapadł w pełne mądrych uwag i błogich nadziei rozmyślanie. Bo też kobiecym tylko, marnym umysłem przystawało biadać nad tem, co się stało. On, człek mądry i spraw świata świadom, wiedział o tem, że tak hartownym i silnym młodzieńcom właściwem było przywdziewać zbroję i na polach bitew sławę i wyniesienie znajdować. Co tam ten joneczek skwierczał o kawkach i krukach? dziecinne strachy! czyste przywidzenia! Zsynami jego łaska Cybelli a Mitra z Kserksesem! Ludek zwycięzców przeciw któremu idą, jak mgła z ich drogi pierzchnie, na oścież przed nimi rozwiera

jąc wrota tej rozległej, nieznanych dziwów pełnej ziemi, która nazywa się Europą, o której mówił Mardoniusz, a ku której, on, Pytyon, sam już nieraz, w swoich kupieckich wędrówkach, posyłał tęskne myśli i spojrzenia. Ile tam pewno we wnętrzu tej ziemi i na jej powierzchni znajduje się skarbów i płodów, któreby mogły zadziwiać i wzbogacać Azyę? Z jakąż palącą ciekawością i niewymowną rozkoszą, wsiadłby on jeszcze na swego Mosza i z nieodstępnyim swoim Wamikiem, z gromadką sług w kupieckiem rzemiośle biegłych, zapuścił się w te kraje, dla Persyi podbite i nowemi źródłami bogactwa bijące! Na stare lata jeszcze wzniósłby on gmach złoty, wyższy od tego, który w młodości i dojrzałości wznosił. A wzniósłby go teraz daleko prędzej, z daleko mniejszemi trudami, bo działałby z wielką sumą doświadczenia i z pomocą synów, tak umiętynnych, żwawych, przebiegłych, jakimi byli Fredegund i Wamik. Raz jeszcze wiara całego jego życia stwierdzenie otrzymywała. Najpotężniejszy, był także najmędrszym z ludzi. Myśl jego, jak myśl boga wznosiła się nad ziemią i oko, jak oko bóstwa obu jej krańców sięgało. Małoż zaiste potrzeba było mądrości, odwagi, żądzy sławy, wszystkich

słowem przymiotów bóstwu właściwych, aby powziąć zamiar spojenia granic Persyi z błękitem Ormuzda! Nie będzie już na ziemi lądu, ani morza, graniczącego z Persyą, mówił Mardoniusz,—albowiem wszystkie zleją się w jedno dziedzictwo Kserksesa. Jego, a więc także i niewolników jego dziedzictwo! Rozsypią się oni po niem jak barany po żyznem, rozległem pastwisku, jak krety wedrą się w jego wnętrzości, jak objuczone wielbłądy, z różnych stron jego do domostw swoich znosić będą zdobycze i zyski!

Wielkim, nieporównanym, bogów godnym a ze wszystkim, co on sam przez całe życie mniemał i czcił, doskonale zgodnym był zamiar Kserksesa. Lecz był on także do wykonania trudnym; jak wszystkie rzeczy wielkie, posiadał tajemnicze głębie i przepaście. Gdyby jednak tak się nie stało! — dłonią gładząc siwą brodę, w myśli rozważał Pytyon. Niech się tak stanie! — wołał — Cybello, Atysie, Ormuzdzie, Mitro! wszyscy bogowie ludów wszystkich, niech się tak stanie!

Na uboczu nieco i w niejakiem od biesiadników oddaleniu stojąc, handlarz lidyjski stał się w tej chwili mężem stału, ważącym w umyśle

niezmierne korzyści, które z przedsięwzięcia króla na Azyę, jej mieszkańców i na niego samego spłynąć miały, wając też trudy i koszta niezmierne, których wykonanie jego wymagało. Teraz, czuł się on nawet bardzo szczęśliwym i dumnym z tego, że Bubares i Toraks czynny udział w tem wykonaniu przyjmą. Myślał, że głupcem był i niewiernym sługą, gdy wszystkich synów swoich od niebezpieczeństw, ale zarazem od tak wysokiej chwały i od spełnienia powinności niewolników względem pana, robaków względem słońca, uchylić pragnął. Nie jest-że bowiem powinnością psa, iść wszędzie za tropiącym zwierzynę myśliwcem a obdarowanego biedaka, cześć i dziękczynienie składać do stóp dobroczyńcy? Zaś, on, nie byłże hojnie obdarowanym chwałą przez króla, synom jego udzieloną łaską, przyjaźnią, samą nawet obecnością jego? Przedewszystkiem, nie byłż słu- sznem, i z porządkiem rzeczy ludzkich zgod- nem, aby rozumni i możni z całych sił swoich dopomagali w spełnianiu zamiarów, najro- zumniejszemu i najmożniejszemu? Pierwszym z pomiędzy ludzi będąc, Kserkses jest przecież człowiekiem, więc za narzędzia dla swoich my- śli—ludzkich ramion i serc potrzebuje. Jeżeli

prawdą ma być, to, co szeroko o Pytyonie głośzono i co sam on o sobie zawsze mniemał,— jeżeli prawdą ma się okazać, że Pytyon jest mądrym i możnym, teraz mu tedy najwyraźniej tego dowieść, ważną jakąś pomoc, wielki dar przysługę skuteczną Kserksesowi złożyć wypada. Dogodziłby przez to swojemu sercu, które go wielbi, swojej rachubie, która mu w oddaleniu wprowadzie, lecz najponętniejsze słodyczne i zysk ukazuje, swojemu nakoniec własnemu pragnieniu potęgi, która najwidoczniej, przez dopomóżenie tak ogromnemu dziełu, przed nim samym i przed światem całym stwierdzoną zostanie. Wówczas, w głowie jego błysnął pomysł, a w sercu powstała walka... Więcej jeszcze na ubocze zeszedł i nie głaszcząc już, ale targając siwą brodę, z wlepionemi w ziemię oczami, pomiędzy chęcią poniesienia wielkiej ofiary a starą swoją miłością dla złota miotany, rozmyślał, wahał się, postanawiał, postanowienie cofał, niezrozumiałe coś do siebie szepcząc, palcami poruszał tak, jak skąpiec, który w śpieszącej się i bezładnej myśli bogactwa swoje rachuje...

Przez długą chwilę mógł Pytyon spokojnie i na uboczu oddawać się rozmyślaniom, bo Artafernes, najlepiej świadom wszelkich spraw

kraju, którego był wielkorządcą, Megaklesa, Mazistasa, Soraba i innych, którzy tylko słuchać go chcieli, opowiadaniem lidyjskich dziejów i podań zabawiał.

— Na stoku wielkiej góry Sypilos—mówił— jak szmaragd w pierścień skał oprawiony, błyszczący okrągłe Saloe, jezioro, którego zielone wody stoją dziś tam, gdzie wznosiła się niegdyś wspinała stolica Tantala, króla Lidyi, Frygii i wielu innych krajów. O sposobie, w jaki powstało to jezioro, taka wśród lidyjczyków krąży opowieść: Tantalos możliwym był, bogatym i tak wiele o sobie mniemającym, że raz bogów do siebie na ucztę zaprosił, gdy zaś oni przez wdzięczność za otrzymane dary gościnne dali mu napić się ambrozyi, pijany radością i dumą, upieczone członki własnego syna, jako potrawę zastawił im do zjedzenia. Ohydą i gniewem za ten nieludzki postępek zdjęci, bogowie Tantalosa do piekieł stręcili, gdzie cierpi dotąd męczarnie wiecznego pragnienia i głodu a stolicę jego trzęsieniem ziemi zburzywszy, na jej miejsce, z łona ziemi, zielone jezioro wywiedli.

Tu Artafernes, twarzą pochyloną zwrócił się do króla, który ku niemu mowę zwracał.

— Obyczajów lidyjskich dobrze świadomy,

znasz zapewne, Artafernesie, ten z nich, o którym nieco zasłyszałem, a który dziewicom lidyjskim rozkazuje słodyczą miłosnych uścisków obdarzać ludzi obcych wprzód, nim na zawsze jako małżonki poślubionemi one zostaną. Prawdaż jest, że ten obyczaj panuje w Lidyi?

— Niegdyś panował on, królu — odrzekł satrapa Lidyi — lecz odkąd, wraz z coraz gęściej osiedlającymi się w Azji grekami, pojęcia greckie przybywać tu zaczęły, z rodów i domów moźnych i dostojnych zniknął on bez śladu i odkryć go jeszcze można tylko wśród nieoświeconej i grubiańskiej gawiedzi.

— W Babilonie — rzekł król — nieraz widywałem, obchodzone według tamtejszej wiary święto bogini Melitty. W dniu tym babilończykowie ugaszczają cudzoziemców ofiarowywaniem im niepokalanych dziewic. Nie rozkazujeż tego samego wyznawcom swoim lidyjska Cybella?

Daremnie złośliwe, lub niespokojne spojrzenia ostrzegały Artafernesa przed nowem zaprzeczeniem pytania króla i daremnie on sam cel zadawanych mu pytań rozumiał. Ufny w stare zasługi swoje, kłamać nie chciał i odpowiedział znowu:

— Nie, królu. Ofiarę, o której mówisz, spełniają w Lidyi tylko te niewiasty, które przyj-

mują udział w świętych orgiach, sprawianych na cześć Cybelli.

Zachmurzyła się twarz Kserksesa, bo jakkolwiek mógł wszystko, lubił czyny swojej wszechmocy z praw i obyczajów podległych mu ludów wywodzić. Ale przed chwilą właśnie na uboczy stojący Pytyon, postanowienie, które czas jakiś ważyło się w jego umyśle i z przeciwnemi mu uczuciami walczyło, powziął i zbliżywszy się, na stopniu tronu ukląkł. Teraz, wzrok wielbiący, ale także i głębokiego namysłu pełen, ku królowi podnosząc, głosem człowieka, który mówi o ważnych i dobrze przez siebie wyrozumianych sprawach, zaczął:

— Wielkiem i ze wszechmiar mądrym, o najpotężniejszy, jest wojenne przedsięwzięcie twoje i Pytyon staremi oczami swemi wszystkie jego korzyści i trudności przejrzał. Bogów rzeczą jest sława nieśmiertelna i panowanie nad światem, tobie też, królu, przypadną one w udziale. O wiele niższemi i drobniejszemi są zamysły i zdobycze prostych śmiertelników, lecz z nich, jak olbrzymia świątynia z małych cegieł, buduje się wielkość państwa. Prostym śmiertelnikiem będąc, policzyłem te korzyści, które odniesie Azja, gdy przed nią Europę na oścież otworzysz

i z tej ostatniej pokorną jej hołdownicę i niewolnicę uczynisz. Nie będzie wówczas dla handlarzy perskich, frygijskich, lidyjskich granic, ani przeszkód na całym świecie. Przez żaden opór niepowstrzymywani i przez żadne strachy nieodpędzani znikąd, dotrą oni wszędzie, wynajdą wszystko, w ruch zamiany wprawią i w źródło zysków zamienią martwo dotąd spoczywające w ziemi metale i marnie nad nią wzrastające płody. Bogactwo ludów twoich wzrośnie wtedy do nigdy przedtem nieznaniej wielkości i sto razy większą jeszcze, niż dotąd, ciesząc się pomyślnością, sto razy większe dani-ny będą one mogły składać tobie. Ty więc, o panie, potęgą i skarbami dorównasz bogom a niewolnicy twoi tyle posiadać będą, ile przed twojemi czasy, posiadali sami tylko królowie. Tak to, najwspanialszy, przeniknąłem sam szpik przedsięwzięcia twojego i taką przyszłość, którą dla siebie i twoich ludów ona zgotuje, zobaczyłem. Że zaś, rzecz tak ogromna, ogromnych trudów i kosztów wymaga, umyśliłem w jej zdobyciu na ile tylko mogę być ci pomocnym. Doświadczonym będąc bowiem, wiem, iż najczęściej wiele zyskuje ten, kto dzisiejszego dobra wyrzeka się, dla osiągnięcia jutro daleko więk-

szego a ograniczonym umysłem przez bogów nie zasmucony, rozumiem, iż człowiek nie jest bydlęciem, o smakowitą paszę tylko dbającym, lecz istotą, mogącą się w szerokich planach i dalekich celach tak rozkochać, że największa dla nich ofiara, największą sprawia mu rokosz...

Istotnie, musiał on być zdolnym do rozkochania się w szerokich planach i dalekich celach, bo i teraz, mówiąc o nich, miał pozór człowieka przejętego ognistym natchnieniem; siwe, bystre jego oczy gorzały i czoło z pod nawpół okrywającej je mitry ukazywało się gładkie i jasne, jak porwanego świętym zapalem młodzieńca, ale postawa jego pomimo że kłęczał, była pełną powagi właściwej człowiekowi, który z głębokiem rozumieniem sprawy wielkiej, wielką dla niej ma złożyć ofiarę.

— A teraz, najpotężniejszy — kończył — posłuchaj tego, co twój niewolnik wypowie: Posiadam dobra różnej natury a wśród nich pieniędzy gotowych dwa tysiące talentów w srebro i w złocie cztery miliony staterów. Te wszystkie ofiarowuję tobie. Pyłem są one, ale gdy motykami rozkopujemy górę, świadectwo oczu nas przekonywa, że składa się ona z py-

łów. Przyjm, najukochańszy, ofiarę moją a czyniąc to, Pytyona przecież nie zgubisz, lecz owszem, nadmiarę go uszczęśliwisz. Albowiem, po pozbyciu się tych pieniędzy posiadać jeszcze będę pola, trzody, niewolników, kopalnie, śpichrze i skarbcę, które mi nietylko wyżywienie obfite ale różnorodne rokosze zapewnią.

— W spokoju zaś i w błogości słusznej dumy, późny wiek mój ku kresowi swojemu spływać będzie na skrzydle myśli, żem tyle zdobył i zapracował, iż w dokonaniu rzeczy wzniosłej i zdumiewającej, choć małą częścią tobie mogłem dopomódz...

Umilkł i wszyscy obecni w osłupieniu i przerażeniu milczeli, bo po twarzy Kserksesa rubinowo w czarnej chmurze włosów zarumienionej, ciekły powoli łzy. Wdzięczność i rozrzewnienie spostrzegano w nim nie po raz pierwszy. Mardoniusza wyniósł nad miarę wysoko, za to, że ten najlepiej zamiarom jego sprzyjał; olbrzymie wojsko swoje zgromadzone po raz pierwszy ujrzawszy, zapłakał nad tem, iż z tyłu ludzi żaden, lichych stu lat wieku nawet nie przeżyje. Teraz więc także, miłość dla niego, a bardziej może dla nadwszystko umiłowanych jego zamiarów, przez Pytyona okazana, rozrze-

wnieniem zwyciężyła w nim surowość i powagę majestatu. Wielka przyjaźń i wdzięczność rysy jego uczyniła łagodnemi a głos miękkiem i prawie cichym, gdy ku klęczącemu starcowi ramię wyciągając, odpowiedział:

— Odkąd z zamiarem uszczęśliwienia Persyi w sposób dotąd niesłychany, Suzę moją opuściłem, żadnego nie napotkałem człowieka, któryby przedemną i przed mojem wojskiem gościnne dary zastawił i do kosztów wojny ofiarą swego majątku dobrowolnie chciał się przyczynić, oprócz ciebie, najlepszy z ludzi. Twardogłowym i niewdzięcznym jest ród ludzki, wielkich zamysłów zrozumieć i tym, którzy z nadzwyczajnemi trudy spełnić je zamierzają, dziękować nie umiejący! Tyś, pośród niego, lidyjczyku, perlą i pierwszej wielkości klejnotem. Lecz nie pozwoli prześcignąć się we wspaniałości król persów, nawet najlepszemu i najrozumniejszemu z niewolników swoich. Dwóch tysięcy talentów srebra i czterech milionów staterów złotych, które mi ofiarowujesz, nie przyjmuję, dość bowiem bogatym jest władzca świata, aby przez składane jemu daniny, świat uszczęśliwiać. Lecz w zamian miłości twojej dla mnie i dla tego co zamierzam, oto, czem ciebie obda-

rzę. Naprzód, lidyjczyk, ja, Kserkses, syn Daryusza, syna Hystaspa, zawieram z tobą w tej chwili związek gościnnej przyjaźni a po raz to pierwszy ziemia widzieć będzie związek taki, zawarty pomiędzy panem a niewolnikiem. Potem, wyrządzam łaskę dwom młodszym synom twoim, ażeby, wobec chwały i korzyści, które spływać będą na starszych, nie czuli się oni pokrzywdzonymi. Nie do pospolitych szeregów wojennych zaciągną się oni, ale ich między łuczników, którzy przed wozem Mitry postępują, zaliczam. Zawsze i wszędzie stać oni będą na straży Boga słońca, przez to Persyi, mnie i samym sobie opiekę jego i łaskę jednając. Zechciej, Mazistasie, u boku swego natychmiast dwóch tych młodzieńców umieścić i o wielkiej chwale, która ich spotkała a także o powinnościach, które, jako łucznicy Mitry, pełnić odtąd będą, im rozpowiedzieć. Ty zaś, dobry lidyjczyk, posiadaj dalej ten sam majątek, który dziedzyczyłeś dotąd i w szczęściu, które sprawiłem ci, opływaj!...

Że to ponowne szczęście, które spotykało Pytyona było wielkiem, równie wielkiem jak pierwsze, bo łucznicy Mitry cieszyli się w wojsku takimiż dobrami, jak nieśmiertelni króla a nosili

wzniosłą nazwę stróżów-boga, potwierdził to jednogłośny okrzyk biesiadników, wspaniałość Kserksesa i chwałę Pytyona wysławiający. Ale, jeżeli za pierwszym razem umysł Pytyona przed rozpoznaniem i słusznem ocenieniem szczęścia, które go spotykało, zawahał się był przez chwilę, teraz wahanie się to trwało daleko dłużej. Zdawać się nawet mogło, że jakkolwiek bystry i w różnych sprawach doświadczony, umysł ten pod brzemieniem spływających nań pomyslności skamieniał i ruch członkom a mowę ustom odebrał. Zamiast, jak przystawało, na twarz upaść i w dziękczynieniach się rozplynać, Pytyon z klęczek wstał i sztywny, z czołem nad podniesionemi brwiami zmarszczonem, ze wzrokiem mętnym i z rozwartemi nieco ramiony, we wzór osłupienia się zamienił. Pośród kamiennej sztywności, która od stóp do głowy go zdjęła, tylko drobne i gęste drgnienia, po powiekach i policzkach jego przebiegające, zdradzały w nim życie, aż nareszcie, z trudem wielkim język poruszył się mu w ustach i głosem ochrypłym trochę, urywaniem, bełkotać zaczął:

— O, wielki, czym dobrze usłyszał? Wamik... Fredegund... i oni!... a jaż?... Któż przy mnie?... łucznicy Mitry?... kawki i kruki!... Panie! nie-

zmierną wyrządzasz mi łaskę... ale zapomniałeś... zapomniałeś o jednym... jam stary... i ojciec!...

Nie wszystkie z tych słów bezładnych i cichych usłyszeć mogli obecni, ale na Pytyona spoglądając, dziwili się mocy, z jaką niespodziewane szczęście w człowieka niekiedy uderza.

Kserkses zaś rozweselony, z tych hołdów i roskoszy, które go dziś niespodziewanie spotkały, najlepsze wróżby dla siebie ciągnąc, na znak, że biesiadę za ukończoną poczytuje, wieńiec z włosów zdejmował, pas do stóp mu zwisający ściągał i zawołał:

— Perkalo! Tyjo! Mandano! Wam tę dziewicę lidyjską, która wiosennemi wdziękami swemi oczy i serce króla podbiła, powierzam. Nieśmiałą gołąbkę z niespodziewanem szczęściem, które spotkało ją oswójdzie i na największym z wozów pomiędzy sobą umieściwszy do Sardes uwieźcie. Tam, niech ją znajdę w pałacu moim, gdzie przez wszystkich szanowana i w roskoszach opływająca, u boku mego pozostanie ona dopóty, dopóki mi się to będzie podobało...

Uległe, rozbawione, współpiane, porwały się z miejsc swych przez króla wezwane niewiasty i jak motyle różnobarwne i lekkie ku nowej

swej towarzyszcze biegły. Z nią zaś, z Melissą, stała się rzecz nagła i tajemnicza. Przy słowach królewskich, szybkim jak błyskawica ruchem, porwała się ona z siedzenia i stanęła zrazu prosta, sztywna, blada. Potem, osunęła się na klęczki i pyszne zwoje brązowych swych włosów tak gwałtownie na twarz zsunęła, że oplatające je perły białym gradem posypały się z pod jej palców. Co czuła wtedy, gdy jak struna wyprostowana i jak lilia blada powstawała a potem w błagającej postawie włosami sobie twarz zasłoniła? Byłże to grom radości, albo bóleści, druzgocącego wstydu lub szalonej dumy? Nikt nie dowiedział się o tem, bo klęczącą, zwojami włosów osłoniętą i gradem pereł rozplakaną, otoczyły perskie kobiety i szczebiocząc, śmiejąc się, tysiąc pieszczotliwych nazw jej nadając, ze stopni tronu sprowadziły. Ale po spłynięciu tej fali drobnych stóp i purpurowych, albo żółtych sukien, na jednym z tych stopni ukazał się człowiek bardzo młody, w tunice bogatemi haftami okrytej i przewiązanej drogocennym pasem, w mitrze, której tęczowe opale oświecały twarz ściągłą i śniadą, nad bogate hafty i tęczowe opale piękniejszą. W postawie, której wysilenie woli nadawało pozór spokoju, z rękami

nawet na znak pokory u piersi splecionemi i powiekami spuszczonemi dlatego może, aby ukrywał się pod niemi piekący płomień oczu, drżącemi usty przemówił:

— Ta lidyjska dziewczyna, którą, królu, do pałacu swego w Sardes uwieźć rozkazałeś, jest oblubienicą moją, którą wkrótce z wolą tych, którzy mi dali życie, poślubić miałem...

— Diloramie! o, Diloramie! — tuż za mówiącym zaszemrał grozą przejęty szept Pytyona.

Artaban, cały podając się naprzód, przychylnością dla młodego zuchwalca uniesiony, zawołał:

— Zamilknij, synu!...

— Powściągaj się, młodzieńcze! — bardzo szybkie lecz współczujące wejrzenie na Dilorama rzucając, wyrzekł Mazistas, którego ciągle pochurność zdradzała, iż sam zbyt często powściągać się musiał.

Ale Diloram, zdając się nie słyszeć, albo może w istocie nie słysząc nic, dokończył:

— Biorąc ją sobie, o królu, zabierasz własność nieswoją i ranę głęboką zadajesz temu, który nie uczynił ci nic złego...

Jak szybko pod wpływem nadlatującego wichra najpiękniejsza pogoda zamienia się w bu-

rzę, tak szybko w wesołości i prawie tkliwej ła-
skawości Kserksesa, wybuchnął gniew.

— Oto już po raz drugi, w domu swego ojca,
obraża mię to chłopię! -- ze wzgardliwym śmie-
chem, ale srogimi błyskami oczu, zawołał. —
Biorę was wszystkich za świadków, krewni
i przyjaciele moi, że po raz drugi obraża mię
ono, zamiarom i czynom moim przyganiając...

Tu wzrok jego spotkał się z twarzą Pytyona
i gniewne uniesienie, w przyjaźni i wdzięczno-
ści, które dla tego człowieka powziął, stopniało.
Pozostała po niem tylko we wzburzonej i dya-
mentami migocącej piersi Kserksesa niechęć głu-
cha, z nienawiścią graniczącą ku temu swawol-
nemu chłopięciu, które po dwakroć już go obra-
ziło, tylko ku niemu jednemu... Z wyrazem tej
niechęci w spojrzeniu, głosie i tym srogim uśmie-
chu, który mu niekiedy białe zęby pośród czer-
wonych warg ukazywał, rzekł:

— Na śmierć przez rozpiłowanie ciała lub
stratowanie końmi zasłużyłeś, ale dla miłości
ojca twego, z którym związek gościnny zawar-
łem, życia ci nie odbiorę, lecz tylko z sobą na
wojnę zabrawszy, inaczej myśleć i czuć nauczę.

Tu zwrócił się do Mardoniusza.

— Tobie, najwierniejszy, chłopię to powierzam. Z najprostszem pospółstwem wojskowem zmieszany, patrz, aby za pana swego walcząc, głód i niewygody cierpliwie znosząc, wyzionął on z siebie gada, który w nim wyrósł i swój pyszny, zuchwały umysł odmienił...

A na Pytyona znowu spojrzawszy, łagodnie dodał:

— Tobie, starcze, tym rozkazem swoim żadnej ujmy przynieść nie chcę. Sam mi powiadałeś, że wzrósł on z ciałem do trzciny a umysłem do mgły podobnym. Więc pośród trudów i niebezpieczeństw wojny, albo zginie, albo rozumu i hartu nabędzie a cokolwiekby stało się z tego dwojga, ty, gościnny mój przyjacielu, żadnej szkody ztąd nie poniesiesz...

Długo mógłby każdy do Pytyona przemawiać, bez otrzymania odpowiedzi żadnej, bez najmniejszej nawet pewności, czy ten człowiek w tej chwili cokolwiek słyszy lub widzi, czuwa lub w niezmierzony sen jest zaklętym. Najpodobniejszym był on do kogoś, kto rojąc sen dziwny i straszny, niedowierza mu, walczy z nim, zrzucić go z siebie usiłuje. Jestże to sen, albo rzeczywistość? Co dzieje się? Czy stało się to naprawdę? Dla czego tak się stało? zapyty-

wały we wsze strony latające jego źrenice i szybko mrugające nad nimi powieki. Byćże to może? Istnieją na ziemi takie dziwne, niespodziane, z nieba promiennego padające gromy? Zdawały się zapytywać rozwarte i trzęsące się jego usta. Ratunku! wołała pierś dysząca. Obudźcie mię! błagały dłonie bezładnie i nieprzytomnie szamoczące się u piersi.

Ale Kserkses i jego dworacy nie mieli czasu do zwrócenia na niego zbyt pilnej uwagi. Przed królem teraz ukłękły dwie kobiety i gorącą do niego prośbę zносиły. Jedna z nich, w sukni na wzór węzowej skóry mieniającej się różnemi barwami, z połyskliwym węzem owiniętym do koła włosów, które mnóstwem czarnych tasiem po plecach i piersiach jej spływały, czarne, palące, zalotne oczy ku królowi wznosząc, głosem takim, jakim morskie syreny żeglarzy ku sobie wabić musiały, błagała, aby z królem i rycerzami jego, ztąd, z tej lidyjskiej pustyni ku Hellespontowi i za Hellespont udać się mogła.

— Frygijką jestem — mówiła — więc miejsca te zawsze były dla mnie obce, a ludzie, z którymi żyłam, niemili. Lecz odkąd was, o półbogowie, poznałam, życie w ponurym domu Pytyona, będzie mi wieczną i nieustanną męczarnią!...

Druga, z kibicią silną i wspaniałą, lecz mową powolną, w zębiastym dyademie, z pod którego aż do stóp opływała ją przezroczysta zasłona, mówiła królowi o swej niezmiernej miłości dla męża i o tem, że woli rozstać się z życiem, niż z nim. Wiele niewiast różnego pochodzenia i stanu pochodowi wojsk perskich towarzyszy, niechże i ona pomiędzy niemi maluczkie choćby miejsce otrzyma. Jakkolwiek z możnego, wysokiego rodu pochodzi, sługą, niewolnicą w królewskim obozie zgodziłaby się zostać, wodę w nim nosić i wielbłądy poić, byleby dnia każdego wiedzieć mogła, czy Toraks jej żyje jeszcze, a jeśli zginąć od greckiej strzały mu przyjdzie, zwłoki jego na polu bitwy, pośród tysiąca innych wyszukać... Płacz cichy, ale głęboki, mowę jej odjął i zdradził w niej naturę, która pod powłoką ciszy i spokoju, niemniej była upalną i sprzeciwienstwa nieznoszącą od tamtej, buntowniczej, śmiałej, zalotnej.

Nie wiele było na świecie prośb miłszych królowi nad te, które zaniosły do niego Labda i Antela. Lubił on, aby w wojennym pochodzie towarzyszył mu rój niewiast, chwile spoczynku i wesołości zaprawiający cennym dla niego powabem; te zaś, które dobrowolnie zwiększyć go

teraz pragnęły, były zarówno, jakkolwiek na sposób różny, powabne. Ale łaskawej i żądaniu ich zadość czyniącej odpowiedzi jego Pytyon nie słyszał. Tak jak wprzód, od biesiadników nieco oddalony, ciągle zdumiewał się on nad czemś, czemuś nie dowierzał, od czegoś nieznosnego otrząść się próbował; fenicyanin Idantys, z za zasłony biesiadną komnatę z dalszą głębią domu dzielącej, wyszedłszy, i bardzo śpiesznym krokiem zbliżywszy się do Pytyona, uszom własnym zaledwie uwierzył, szept pana swego wyraźnie słysząc.

— Czy Pytyon głupcem był? O, wielcy bogowie, czyliż mądry, możny, potężny Pytyon był głupcem?

Z niskim pokłonem, pierwszy sługa pytyonowego domu, śpiesznie i cicho mówił:

— Znowu, panie, jończyk Chileas błaga cię, abyś przybył do małżonki swojej, która umrzeć może, jeżeli natychmiast ciebie nie zobaczy...

Nagłym ruchem Pytyon twarz podniósł i coś, o czem nie pomyślał dotąd, pamięcią jego wstrząsnęło.

W tej samej, co wprzód, małej komnatce, jedną tylko lampą mętnie oświetlonej, na poduszkach, w kształt łoża z widocznym pośpiechem

ułożonych, spoczywała, a raczej w niezdolnych męczarniach wila się wysoka, szczupła postać kobieca. Kilka niewolnic, załamując ręce i różne inne znaki żalu okazując, z pomocą ku niej przypadało, ale Chileas ruchem ręki je oddaliwszy, głowę kobiety od żółtego zawoju uwolnił i w zsiniałe jej usta z błyszczącej flaszki wlał nieco zawartego w niej płynu. Wtedy, długie, krucze, gdzieś tam srebrem siwizny przeplecione włosy, osypały ramiona jej, piersi, i na twarz rzuciły przezroczystą zasłonę, z za której szmerząc zaczęły ciche, zdyszane, ale jak bystry potok pośpieszne i nieustanne słowa:

— Bogowie, czemuż kolebka moja nie stała w chacie nędzarza? Czemu za żonę nie pojął mnie pasterz trzódkę kóz chudych nad ustronnym strumieniem pasący? Dla czegom głodna, naga, poniewierana nie była? Czemu z takim staraniem, tak chciwie i bez spoczynku stróżowałam nad złotem, zbierałam złoto? Wszyscy... ach, wszyscy! Czysto, czyściuteńko dom mój wymieciony... bogowie! z ciała wymiećcież mi duszę!...

Tu urwała i oczy jej w śmiertelnem jakby przerażeniu rozwarły się szeroko. Zobaczyła zbliżającego się Pytyona; żółtą jak wosk rękę

z gęstwiny włosów wydobyła i ku niemu ją wyciągając, zawołała :

— O, ty... poznałam teraz ciebie i wszystko, otworzyły się na koniec moje oczy... Wiem, kim jesteś!

Śmiała się teraz, a spojrzenie, które wlepiała w niego, do żmii było podobnem, tyle mieściło się w niem nienawiści.

— Tantalos — szepnęła.

On, w swojej miękkiej, mieniającej się, powłóczystej sukni, szeroko z przodu inną, od tej bogatszą jeszcze ukazującej, patrzył chwilę na nią, na Chileasa, w przestrzeń, aż z cicha, w osłupieniu powtórzył znowu :

— Byłże Pytyon głupcem?

Ale teraz ją porwał nagły żal nad tem, co powiedziała i z błaganiem zwróciła się ku niemu.

— Przebac, Pytyonie... szaleństwo mię ogarnia i nie wiem co mówię... Błagam cię, nie gniewaj się na mnie i uczyn cokolwiek, coby mi choć jednego z pomiędzy nich zwróciło... Wiesz, jam głupia i słaba... Tyś mądry, możny, całe życie o tem tylko myślałeś, abys był możliwym... uczyn cokolwiek... Nie byłamże dla ciebie przez długie, długie lata małżonką, sługą, dóbr twoich wierną strażniczką?... nie byłam mo-

ja dusza wiernem echem twojej a wola posłusznem tylko powtarzaniem każdej twojej chęci?... Widzisz, ja wiele nie żądam... czyż kiedykolwiek żądałam wiele? Niech jeden... choć jeden... dopóki nie umrę... tylko dopóki nie umrę...

Namiętność, z jaką błagała go, sił jej dodawała, tak że zwlókłszy się z posłania, czołgała się mu u kolan, lecz gdy je objąć i pocałunkami okryć już miała, wstręt niezmożony całą ją w tył odrzucił i znowu z ogniem nienawiści w oczach, przerażonym szeptem wymówił:

— Tantalos...

Tym razem przecież, Pytyona ogarnął gniew przeciw tej zbuntowanej niewieście i po raz pierwszy może przypomniał sobie prawo i obyczaj swego kraju, które jemu wysokie a jej bardzo niskie miejsce wyznaczały.

— Zamilknij, zmij! — zawołał — panem twoim jestem i tylko łaska i dobroć moja przez długie lata czyniły cię...

Urwał i znowu w przestrzeń patrząc, cicho wymówił:

— Czy Pytyon głupcem był?

Potem, ku kobiecie, która we wpółkłęczącej a wpółsiedzącej postawie błędne i przerażone oczy ku niemu wznosiła, wzrok spuścił łagodniej nieco, choć jeszcze surowo i zapytał:

— Czego chcesz? o cóż błagasz? Czy ze wszelkiego rozumu odarta, mniemasz, że mogę z najpotężniejszym do walki stawiać!?...

Ona, do zupełnego wyrozumienia zapytań jego niezdolna, z za zasłony włosów beładnie mówić zaczęła:

— Widzisz, Pytyonie, i suka nawet nie mogłaby bronić jednego tylko ze swoich szczeniąt, gdy wszystkie jej porywają. Lecz są przyczyny, są słuszne przyczyny, Pytyonie... Bubares i Toraks, silni... Fredegund i Wamik przebiegli... Wszak lwom bogowie pazury dali, aby nimi bronić się i panowanie w puszczach zdobywać mogli!... O, biedna ja matka! Wybieram, wszak ja pomiędzy własnymi dziećmi, wybieram!... Lecz są przyczyny, są słuszne przyczyny, Pytyonie! Tamci wysoko wyniesieni, chwałą okryci... Ten... mój najmniejszy, ciało ma słabe a umysł zuchwały i na niego nie chwała i łaska, ale kara spadła.

— Sprawiedliwa! — zawołał Pytyon a policzki krwią mu nabiegły i ręce drżeć zaczęły. — Niech zginę, jeżeli kara ta sprawiedliwą nie jest! Pocóż kruchą głową o twardy mur uderzał i słaby targnął się na silnego? Najpotężniejszy jest także najlepszym...

Urwał znowu i znowu osłupiałym wzrokiem cicho samego siebie zapytał:

— Czy Pytyon głupcem był?

Ale wnet z uporem człowieka, który czuje że utonie, jeżeli ostatnią deskę rozbitego statku z ręki wypuści, uniósł się i zawołał:

— Najpotężniejszy jest najsprawiedliwszym. Cokolwiek uczynił, dobrze uczynił. Niech wysławionym będzie kto mu sprzyja, a kto do bluźnierczej walki z nim staje, niech cierpi i ginie!...

Teraz wzrok Gorgi w twarz męża, tego męża, którego jednak przez lat tyle kochała, wlepiony, od przerażenia i nienawiści, prawie obłąkanym stał się.

— Tantalos!.... — raz jeszcze syczącym szep-tem powtórzyła.

Bez łez i jak grób milcząca, na posłanie z poduszek opadła, Chileas zaś, jedną ręką obejmując ramię Pytyona, drugą mu na zasłonę z kobierców ukazał i prędko zaszeptał:

— Jeżeli masz, o potężny, prośbę jaką zanieść do najpotężniejszego, biegnij, śpiesz! Oto, powstał on już od biesiady, dom twój opuszcza, magowie nad nim błogosławiącą modlitwę głoszą...

Istotnie, z za zasłony dochodził uroczysty głos

Soraba, rozpoczynający modlitwę, która każdemu prawie krokowi króla towarzyszyć musiała.

— Niech Kserkses, syn Daryusza, syna Histaspas błogosławionym będzie i niech mu Ormuzd daje życie, a nad Persyą przedłuża dnie i lata jego, bo to król sprawiedliwy...

Tu wszyscy, w biesiadnej komnacie obecni, podjęli słowa Soraba i słychać było potężny chór głosów, z wyrazem błagania mówiący:

— Niech Ormuzd da mu łaskę w oczach wszystkich geniuszów nieba i wszystkich ludów ziemi i niech wierność wszystkich ludów ziemi zostanie z nim na zawsze, bo to król sprawiedliwy!...

Wtedy Pytyon rzucił się ku zasłonie ruchem tak gwałtownym, że rozwarła się i niby szero-kiemi skrzydłami za nim powiała jego miękka, długa suknia....

VIII.

Noc była tak jak wczoraj cicha i gwiazdzista, tylko że jej ciszę napępiał ciągly i głuchy szum z przeróżnych głosów i dźwięków złożony, a gwiazdy bladły, prawie nikły przed blaskiem mnóstwa pochodni, na tarasach i wschodach domu gorejących czerwonym pożarem. I na równinie także, przez niewolników w nieruchome posągi zmienionych trzymane, gęsto płonęły te języki i słupy ognia, wyrzucające z siebie grube kłęby dymu; miejsca jedne oblewały one tak obfitem światłem, że na murawach dostrzedz można było drobne trawy a na drzewach pozłoczone przez nie liście przeliczyć, inne pozostawały w grubym cieniu, przeszywanym tylko kołyszącami się i jakby płynnymi strugami jaskrawych blasków. Jakby przed chwilą spadł na nie deszcz z płomieni, tak stoki i wierzchołki wzgórz kasztanowych usiane były ognistymi punktami, przy których świetle, z oddalenia, miryada nieśmiertelnych ustawiająca się w konne szeregi,

przedstawiała pozór widmowy, w którym tłumy mętnych postaci ludzkich, mieszały się z sobą i z postaciami końskimi, żelazem, stalą i złotem błyskając a bijąc w nocne powietrze gwarem tłumionych rozmów, brzękiem zbroi, tententem i rzeniem koni. Z szerokiego tarasu, niewolnicy znosili tron przez Pytyona Kserksesowi ofiarowany i platan ze złota, aby je na wielbłądach, lub wozach za królewskim orszakiem postępujących umieścić; Kserkses zaś, przed dostojnikami swymi postępujący, w czerwonym pożarze oświetlających taras pochodni, wśród rosnących na nim a krwistym światłem nawskróś przejętych palm i mirtów, uczuł, że jakieś drżące lecz silne ramiona kolana jego obejmują i ujrzał przed sobą leżącego człowieka, którego bogata suknia szeroko rozpostarła się do koła a siwa broda, z pod stóp mu zmiatała uścielające taras zioła i kwiaty. Przez chwilę, człowiek ten nic przemówić nie mógł, aż podnosząc z nad ziemi twarz krwisto zarumienioną i całą drgającą, zaczął:

— Wielkie mi łaski zrządziłeś, o królu, i do wydania ostatniego tchnienia, Pytyon, lidyjczyk, czcić cię i miłować będzie, jak bóstwo... Lecz jedną jeszcze obdarz mię, panie, jedną tylko jeszcze... Srebro i złoto moje oddawałem tobie, ale

nie ich... nie ich wszystkich... Wszystkie zabra-
łeś mi, panie, nawet przybrane... Czysto, czy-
ściutko dom mój wymiotłeś... Cześć tobie... alem
ja stary i starą, chorą, biedną mam żonę, echo
mojej duszy, wierną dóbr moich strażniczkę....
Panie, gdy czterech za tobą pojdzie, piątego
przy mnie i przy niej pozostaw... jednego tylko...
aby głów naszych siwych i majątku mojego do-
glądał... aby stare nasze oczy cokolwiek jeszcze...
jeden jeszcze... tylko już jeden promień nadziei,
prócz grobów w skale wykutych, widziały... Nie
na wiele przydatnym on ci będzie, ten nasz
najmniejszy... słaby i wątły. Gdy tamci chwałą
okryci i na wysokich miejscach posadzeni, on,
gniewem twoim dotknięty, wieść będzie żywot
psa ściganego przez harapniki... jego wybrała
matka... jego mi oddaj, panie, tylko jego...
i niech cię błogosławią wszystkie geniusze nieba
i niech posłusznemi ci będą wszystkie ludy zie-
mi, boś sprawiedliwy....

Tej mowie zawikłanej, zdyszanej, jękami
i westchnieniami przerywanej, Kserkses przy-
słuchiwał się tak pilnie, że twarz nieco ku mó-
wiącemu pochylał i wzrok w niego wlepiał, aż
czarne brwi jego ściągać się zaczęły a na piersi
dyamenty poruszać się i migotać.

— Takąż to prośbę zanosisz teraz do mnie, gościnny mój przyjacielu — wymówił — i o takąż prosisz mnie łaskę? Kiedy ja sam z wojskiem mojem ciągnę na wrogów Persyi i za sobą wiodę braci, krewnych i przyjaciół swoich, ty mi pożałowałeś dziecka, które już dawno powinieś był dobrowolnie w służbę pana swego oddać...

Wraz z ostatnimi wyrazami, w sposób szczególny wzmacniać się zdawał gniew króla, srogie błyski przeszły jego źrenice i głos wzrósł w siłę, gdy zawołał:

— I o któregoż to z synów swoich dbasz najwięcej? Ktoregoż to najbardziej pragniesz pozostawić w puchach rozkoszy i powijakach piastunek? Tego, który najmniej podobał się panu twemu i przeciw niemu zuchwałym się okazał!

Tu przecież przypomnienie jakiegoś gniewu jego powściągnęło i mniej zapalczywie, w zamian przecież ponuro mówił jeszcze:

— Wiedz o tem, lidyjczyku, że w uszach człowieka zamieszkuje duch jego, który dobre rzeczy usłyszawszy, rozkoszą się napęlnia a na dźwięk przeciwnych gniewem nabrzmiewa. Wiele mi uczyniłeś dobrego i zasłania cię związek

przyjaźni, który z tobą zawarłem, dla tego zasłużonej kary nie otrzymasz; ale niech stanie, niech stanie przedemną ten, którego więcej nademnie kochasz i sam tę sprawę pomiędzy nami rozstrzygnie... Straż moja niech wynajdzie najmłodszego z synów człowieka tego i natychmiast przedemną go postawi!...

Z twarzy tych, którzy otaczali Kserksesa, poznać było można, że czuli dreszcze poprzedzające wszelką rzecz straszną. Znali go, więc wiedzieli co znaczy i czem grozi przytłumione a ponure brzmienie jego głosu i te błyski uśmiechów, które, to zjawiając się, to znikając, słowom jego zdawały się wtórzyc, jak błyskawice gromom. Do Pytyona, który nakształt zgniecionego robaka u stóp jego leżał, rzekł jeszcze:

— Losy najulubieńszego z synów twoich, starcze, w ustach jego spoczywają; ale zaprawdę, ośpiżaj, ośpiżaj przeciw nieszczęściu rogi, które mi ukazałeś, bo na ostrzu nożyc stanęła sprawa nasza...

W tej chwili wzrokiem spotkał twarz młodzieńca, który pomiędzy dwoma uzbrojonymi ludźmi na tarasie stanął.

W czerwonym świetle pochodni, wśród ciemno, albo złocisto rysujących się na tle tego

światła mirtów i palm, stali obaj naprzeciw siebie, mniej do dwóch ludzi, niż do obrazów dwóch sił przeciwnych sobie podobni. Jeden, najwyższej miary ludzkiego wzrostu dosięgający, w sukni twardej od okrywających ją dyamentów, z krzywym mieczem u boku a do koła z hucem zbrojnych niewolników; drugi: wysmukły, wątły, samotny i skrępowany, bo usłudze strażnicy, gniew pana widząc, ręce mu za plecami grubym powrozem związali. Jeden był cały namiętnością, żądze swoje i gniewy bez miary i granic po przestrzeni rozlewająca; drugi cały myślą, lotnym płomykiem wystrzelającą ku górze. W jednym można było dostrzedz obraz tej potęgi, która szaleńcem porwana zdruzgoce, w drugim tej, która miłością przejęta druzgotać się daje. Z pozoru mniemaćby można, że były to naprzeciw siebie stojące: kolos i trzcina. Lecz kolos jest niewzruszony — Kserksesem zaś miotaly gniew i nienawiść; trzcina jest chwiejną i giętką, a Diloram, gniewem i nienawiścią tamtego, jak podmuchem wichru owiany, okazywał się spokojnym...

Była to widać natura skupiona w sobie, do krzyków, złorzeczeń, szamotań się niezdolna, lecz przez to właśnie ciche skupienie uczuć

i woli niezłomnie uparta. Spokojnym wydawał się on, jak wówczas, kiedy okrutnemu rozkazowi ojca swego opór stawiał i tak jak wówczas, w aksamitnych jego żrenicach zapaliły się złote światła a rumieniec do zorzy podobny, powoli mu oblewał śniade policzki i czoło, nad którem niby łązy wielkie, tęczowymi blaskami drżały tyrały jego zdobiące opale. Zapytanie Kserksesa ku niemu zwrócone usłyszawszy, w chwilowej zapewne walce z grozą przewidywaną a ludzkiej naturze przeciwną, głowę pochylił, lecz wnet ją podnosząc, głosem, w którym nie było ani trwogi, ani gniewu, ani pokory, ani zuchwalstwa, odpowiedział:

— Zapytujesz mię, królu, czy chcę z tobą iść przeciw Grecyi? Kłamstwa sługom swoim zabrania Ormuzd i nie wymawiały go nigdy usta moje. Odpowiadam ci tedy, panie, że przeciw Grecyi iść nie chcę, bo ją kocham. Możesz mię, jako niewolnika, przemocą tam prowadzić, ale dusza moja pozostanie wolną i z całej swej siły sprzeciwić się będzie...

Tu głos jego utonął w gwarze, pośród orszaku Kserksesa powstałym. Mardoniusz wołał:

— Rozkaż mu milczeć, panie, bo słowa takie niosą obrazę świętym uszom twoim!...

— Milcz, szaleńcze! na głowę twojej matki zaklinam cię... — przestrzegał Artaban.

— Niech mówi! Niech przejrze do dna tego gada buntu! — tak ponuro, że prawie cichym szeptem rozkazał Kserkses.

Lecz w miarę, jak dokoła niego burza wzrastała w gwałtowność, wzrastał też ten wewnętrzny upór młodzieńca, który na zewnątrz objawił się tylko bladości twarzy, nagle zastępującą rumieniec i wzmożonem światłem oczu. Chciał też ramię ku górze wznieść, lecz uczuł, że jest ono skrępowanem, więc tylko ze wzrokiem z zadumą błędzącym wśród złotych w blaskach pochodni szczytów palm, ciszej jeszcze niż wprzód, mówił:

— Chcesz, królu, do dna przejrzeć duszę moją? Dobrze. Geniusz-stróż mój rozkazuje otworzyć mi ją przed tobą. Czyś widział palmę, która pod zwalouem na nią brzemieniem ugina się ku ziemi, ale nie łamie się nigdy i wnet swą wyniosłą postać odzyskuje? Taką jest Grecya. W Atenach będąc, nauczyłem się przysłowia: „bogowie człowiekowi połowę cnoty odbierają, gdy czynią go niewolnikiem“. Tak mniema ten drobny ludek i przez to jest silnym... Są bowiem na ziemi... dwie siły, z których jedną ty, o po-

tężny, posiadasz, a drugiej wcale nie znasz, bo nie w mieczu i mnogości niosących go ramion, ale w duszy i cnotach ją zamieszkujących, źródło swoje bierze. Dla tego, o królu...

Tu po raz pierwszy głos jego nabral brzmień doniosłych i pełnych a na cichej, skromnej, prawie nieśmiałej twarzy zajaśniał blask uniesienia. Ramienia wzniesć nie mogąc, podniósł czoło, nad którym znowu, jak łyzy błysnęły opale.

— Dlatego, o królu, pod stopą twoją jęknie ten drobny ludek, lecz rozdeptanym nie będzie, bo jak palmę, wyprostuje go odwaga, która w nim mieszka... Przez nią gnane, wojska twoje, jak mgła rozsypią się po świecie... rwąc włosy i jęcząc, matki perskie wiatrów błagać będą, aby im odniosły prochy poległych synów, a cyrusowa córka, szaty na sobie rozdzierając, żalosnych gońców zapyta, po jakich lądach i morzach, Kserkses, któremu życie dała, unosi je ku ojczyźnie, przed ścigającymi go grekami...

— Biada! biada! — rudą brodę targając i suknię pytyonowem winem oblaną u piersi rozdzierając, krzyknął mag Sorab. — Nie słuchaj dłużej słów takich, królu, bo niosą one ze sobą złą wróżbę... ofiarę bogom złożyć ci trzeba... błagalną ofiarę bogom złożyć, aby od słów tych uszy odwrócili...

Jak wicher, orszak królewski zaszumiał.

— Nigdy jeszcze świat zuchwalca takiego nie widział!...

— Nigdy nikt taką ohydą nie dotknął uszu królewskich...

— Ukrzyżować go!...

— Pod ostrą piłę położyć ciało jego...

— Pod kopyta koni!...

— Koni! — krzyknął Kserkses a głos jego z potężnej i pijanej winem i gniewem piersi wydobyty, jak ryk lwa rozległ się po równinie. Drżał przytem cały; zły wróżby zląkł się.

— Tam, pośród gładkiej murawy, skrępowanego uniesiecie! Koni! Hej, perska jazdo moja! Nieśmiertelni moi, ruszcie się! lećcie!

Wszyscy wiedzieli dobrze, co czynić im wypadało. Zbrojni strażnicy, wraz z młodzieńcem, którego jak pająk pochwycony owad, powrozami z lnu fenickiego oplątali, z tarasu zniknęli, zaś Mardoniusz, złotą trąbkę u piersi swej pochwyciwszy, wydał z niej gwizd jak wręca niecierpliwość urywany, a tak przenikliwy, że rozległ się on od krańca do krańca równiny i mnóstwem ech jękliwych, drżących, wołających, rozl gł się po wzgórzach. Lecz z rąk głównego dowódcy wojsk swoich Kserkses trąbkę wydarł i do ust własnych ją przyłożył.

— Hej, hej! nieśmiertelni moi! ruszcie się! lećcie! przed króla! przed króla!

Wtedy szeroka przestrzeń, cieniami nocy oblana i gęsto ognistymi punktami usiana, nappełniła się całą tem gwałtownem wołaniem, które przez coraz śpieszniejsze, częstsze, przenikliwsze gwizdy, wydawał kolos, w błyszczących, migocących i iskrzących się dyamentach, z okiem krwią nabiegłym i latającemi, jak orle skrzydła nozdrzami, na wysokim tarasie, w czerwonym pożarze pochodni, stojący. Wiedziano dobrze, tam na szlakach i wierzchołkach wzgórz, mowę i rozkazy, w gwizdach tych zawarte, to też w pośpiechu i trwodze ludzi i zwierząt, wzniagał się i wzdymał szum tam panujący i w mętnej świetle ognistych punktów coraz wyraźniej i pełniej widać było powstające, skupiające się, jak niezliczone pierścienie niezmiernego węża, spajające się ze sobą szeregi jazdy.

— Hej! hej! perska jazdo moja! Przed króla! przed króla! Całą rącością nóg twoich ruma-ków, całą siłą oddechu twych piersi, przybywaj! leć! zdepcz! pomścij!

Z przestrzeni cieniem nocy oblanej, z tego jej miejsca, na które pochodnie rzucały tylko chwilejące się, jakby płynne strugi czerwonych blasków,

wzbił się głos łagodny, jak prośba dziecka a czysty i dźwięczny, jak dźwięk metalu i mówił:

— Modłę się całym, pełnem sercem; czystością myśli, czystością słowa, czystością czynu. Wyrzekam się wszelkiego złego. Oddaję się w opiekę geniuszom dobrym i jasnym. Niechaj ciało i dusza moja poświęcone będą duchowi dobra i światłości. Wołam go pełnością serca. Zbawienie Ormuzda sprawiedliwemu...

Dalszych słów modlitwy skazańca nikt nie usłyszał, bo ze wzgórzy, cały w połyskach żelaznych pancerzy i u oszczepów wyrastających złotych granatów, stoczył się grzmot, orkan, bożą chłostą zda się gnany ocean ludzi zbrojnych, z grzbietami koni zrosłych i z szybkością myśli lub błyskawicy, pokrył sobą wszystko, cokolwiek przed wielkim, ciężkim, w pożarze pochodni płonącym domem Pytyona rosło i żyło...

Potem na tarasie głos maga uroczysty i wzruszony mówić zaczął:

— Niech Kserkses, syn Daryusza, syna Histaspas błogosławionym będzie i niech mu Ormuzd daje życie a nad Persyą przedłuża dnie i lata jego, bo to król sprawiedliwy!

Wszyscy zaś obecni, wielkim, wspaniałym chórem głosów męskich, podjęli:

— Niech Ormuzd da mu łaskę w oczach wszystkich geniuszów nieba i wszystkich ludów ziemi i niech wierność wszystkich ludów ziemi zostanie z nim na zawsze, bo to król sprawiedliwy!

Potem jeszcze dość długo, przed domem Pytyona rozlegał się szum złożony z gwaru głosów, brzęku zbroi, turkotu kół, tententu koni. Rozlegał się, przestrzeń napelniał i bardzo powoli, stopniowo oddalał się, przycichał, lecz i wtedy, gdy już zdaleka tu dochodził, czuć w nim było oddalenie się rzeczy jakiejś ciężkiej, ogromnej, groźnej, przechodem swoim na powierzchni ziemi wytłaczającej rysunki jej dziejów.

Potem wreszcie, na tarasie, zdala od gromady niewolników, którzy trzymając pochodnie nisko chylili pobladłe od trwogi czoła, lub zamieniali z sobą uśmiechy tajemne, skośne, złośliwe i tryumfujące, pozostał człowiek, pośród zdeptanych ziół i kwiatów, w szeroko do koła niego rozpostartej, bogatej sukni leżący. Czy żył? Poruszenia nie czynił żadnego. Białe włosy jego brody wikłały się z uschłemi liśćmi konieczyny, czoło, z którego zsunęła się tyara od drogich kamieni błyszcząca, ku ziemi przylgnęło

i rozpostarte szeroko ręce także przyłgnęły do niej tak mocno, jak gdyby całą siłą pragnął on wedrzeć się w jej przepaściste łono i w jego ciemnościach utonąć. Wyglądał on jak robak zdeptany, lub drzewo gromem rzucone na ziemię.

W drzwiach domu, przez które widać było palące się jeszcze lampy i na trójnogach dogorywające płomienie, zarysowała się wysoka, cienka, ciemnym turbanem zwieńczona postać Chileasa. Powoli zbliżył się on do leżącego, ramiona u piersi skrzyżował i chwilę w przestrzeń patrząc, milczał. Na wąskich ustach jego nie było teraz zwykłego im uśmiechu, ani wyrazu chytrej przebiegłości w zielonawych oczach. Owszem, z oczu tych łzy płynęły po policzkach, na których uczucie jemu jednemu tylko znane wytłoczyło dwie ogniste plamy rumieńców.

— Najpotężniejszy jest także najlepszym, powoli i z zamyśleniem powtórzył słowa Pytyona, poczem schylił się nad nim i, ramienia jego a potem głowy dotknąwszy, rzekł:

— Żyje!

Wtedy cicho i z miłą litością, u samego ucha jego wymówił:

— Powstań i według obrządku swego narodu, złotemi blaszkami zamknij na wieki oczy i uszy Gorgi, która ostatnie swe tchnienie wydała.

K O N I E C .







36.000

WYŻSZA SZKOŁA
PEDIAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

225917

Biblioteka WSP Kielce



0082850